



Przeżyłam Hiroszimę
Wstrząsający wywiad
z ocalałą dziewczynką

Polacy pod Narwikiem
Kulisy dramatycznej rozgrywki
o Norwegię

Kasiarze II RP
Najgłośniejsze skoki
i napady dwudziestolecia

NR 4(98)/2021 KWIECIEŃ 2021

CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
RZECZY
MIESIĘCZNIK LIŚCIKIEGO

9 772299 951509
ISSN 2299-9195
DO RZECZY HISTORIA
N: Indeks 296 031
04 >



Hiroszima i Nagasaki

ATOMOWA ZAGŁADA



PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2021



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: PIOTR WŁO CZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotodycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Getty Images/Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express”), **Paweł Zdziarski**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kłoc

Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),
Monika Doros, tel. kontaktowy: 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
tel. kontaktowy: 539 953 631
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedżać egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Paprocany, wiosna 1934 r.

Dzieci z kukłami marzanny i marzanioka



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Zbrodnia w imię demokracji

8.15. O tej godzinie – 6 sierpnia 1945 r. – zatrzymały się wskazówki na

wszystkich zegarach w Hiroszynie. Był to jeden z najważniejszych, a jednocześnie najbardziej mrocznych momentów w dziejach ludzkości. Nad miastem eksplodowała bomba atomowa. Pierwsza bomba atomowa użyta przeciwko ludziom.

Skutki eksplozji były przerażające. W ciągu kilku sekund – w błysku „jaśniejszym niż tysiąc słońc” – wielkie miasto przestało istnieć. Potężny podmuch fali uderzeniowej zmiotł je z powierzchni Ziemi. Zamienił ją w pustynię prochów i gruzów. Wraz z Hiroszimą unicestwionych zostało co najmniej 70 tys. istnień ludzkich.

Część ofiar natychmiast wyparowała, inne zginęły w straszliwych męczarniach – spalone żywcem, poparzone, przysypane gruzami. Trzy dni później druga bomba spadła na Nagasaki, zabijając co najmniej 40 tys. ludzi. Kolejne setki tysięcy Japończyków zostały kalekami i do końca życia borykały się z potwornymi następstwami chorób popromiennych. Wśród ofiar najwięcej było kobiet i dzieci.

Podwójny atak atomowy na Japonię to jedna z najbardziej przerażających zbrodni w dziejach ludzkości. Supernowoczesna technologia – która miała być nadzieją ludzkości – została użyta do barbarzyńskiego, prymitywnego mordowania ludności cywilnej. Paradoksem jest to, że sprawcą tej gigantycznej tragedii nie była totalitarna dyktatura, tylko „obrońcy demokracji i wolności”. Stany Zjednoczone.

Amerykański aparat propagandowy zaangażował wiele starań i środków w przekonanie świata, że „nie było wyboru”. To nieprawda. Wybór był. Ataki atomowe nie miały żadnego sensu militarnego. Zresztą użycia takiej broni przeciwko wielkim skupiskom ludności cywilnej nie da się niczym usprawiedliwić. Działanie takie jest sprzeczne z wszelkimi prawami ludzkimi i Boskimi.

Na szczęście tragedia Hiroszimy i Nagasaki nie pociągnęła za sobą kolejnych takich dramatów. Chociaż broń nuklearna znajduje się obecnie w arsenałach dziesięciu krajów świata, to żaden z nich nie zdecydował się jej użyć przeciwko ludziom. I miejmy nadzieję, że coś takiego nie stanie się nigdy. Katastrofa z 1945 r. nie może się powtórzyć. ©©

/ TEMAT NUMERU

.06 PIOTR ZYCHOWICZ

Atomowa zagłada

.12 SHIGEKO SASAMORI

Przeżyłam Hiroszimę

.16 PIOTR WŁOCZYK

Etyka bomby A

.20 PIOTR ZYCHOWICZ

Czy atomowe naloty skróciły wojnę?

/ CZASY I LUDZIE

.24 MACIEJ ROSALAK

PRL-owskie ucieczki za morze.28 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Czesi między UPA a AK.32 ASBJØRN JAKLIN
Kłęska i triumf pod Narwikiem.36 TOMASZ STAŃCZYK
Tatrzański król z Warszawy.39 PIOTR SEMKA
Przesiedlenia Polaków ze Wschodu.42 SŁAWOMIR KOPER
Poprzednicy „Szpicbródki”.45 MAREK GAŁĘZOWSKI
Duma o dwóch krechowiakach.48 MIKOŁAJ IWANOW
Stalinowska nostalgia Rosjan.52 TOMASZ KOSMAŁA
Samuraj, który urodził się za późno.55 JAKUB OSTROMĘCKI
Potwór w zbroi.58 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Studnicki: polski wyrzut sumienia.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Pistolet i niewidzialna ręka rynku

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Nikodem, ach Nikodem

/ FELIETONY

.68 JACEK BARTOSIAK

Kierunek kosmos!.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Marcowe Qui pro Quo.71 PIOTR SEMKA
Dobre czasy na razie nie wrócą.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Zapomniany trójmiejski Marzec '68

/ KRESY

.72 TOMASZ STAŃCZYK

Izraelici z pochodzenia, Polacy z przekonania

/ BATALIE I WODZOWIE

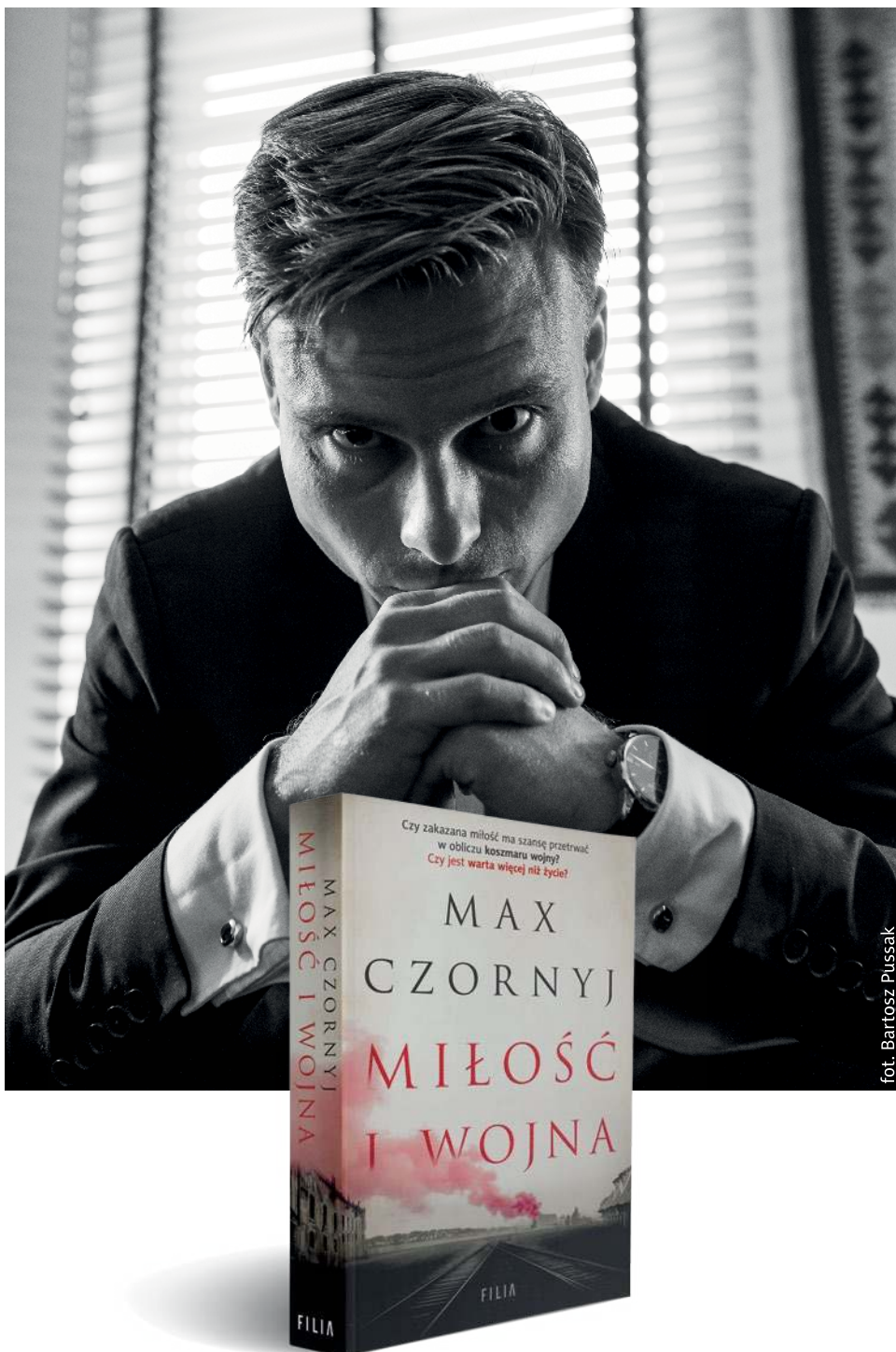


.76 MACIEJ ROSALAK

Zmarnowana wiosna zwycięstw

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
I MACIEJ JASIŃSKI**Dzielny chłopiec Marszałka**



CZY ZAKAZANA MIŁOŚĆ MA SZANSĘ PRZETRWAĆ
W OBLICZU KOSZMARU WOJNY?
CZY JEST WARTA WIĘCEJ NIŻ ŻYCIE?

wydawnictwo
FILIA

1945 r. / Nuklearny nalot na Japonię

Atomowa zagłada



Piotr Zychowicz

Nad Hiroszimą doszło do kolosalnej eksplozji. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi zostało unicestwionych w przeciągu ułamka sekundy

Seikō Ikeda miała 12 lat. Tego pięknego sierpniowego ranka mama odwoziła ją pod szkołę. Pocałowała ją na pożegnanie i wskoczyła do tramwaju, który akurat zatrzymał się przy chodniku. Dziewczynka uniosła dłoń, żeby jej pomachać. W tej samej sekundzie stało się coś zdumiewającego. Słońce eksplodowało.

Przerażająco jaskrawy błysk oślepił Seikō. Poczwała na cieple gorący podmuch, który zerwał z niej ubranie. Zdumiona zobaczyła, że tramwaj z jej mamą i innymi pasażerami wzlataje w górę jak dziecięca zabawka. Jeszcze w powietrzu rozpadł się, rozleciał w drobne kawałki. Dziewczynka poczuła jednocześnie, że jej ciało unosi się nad ziemię – wszystko działa się jakby w zwolnionym tempie... A potem nastąpiła ciemność.

Gdy Seikō odzyskała przytomność, zdumiała ją panująca wokół ciemność. Czyżby była już noc? I dlaczego jest tak cicho? Czyżby ogłuchła? Co się stało? Zdezorientowane dziecko z trudem podniosło się z chodnika. I wtedy zobaczyło coś, co przekraczało granice wyobraźni.

Na wiele kilometrów nad Hiroszimą unosił się gigantyczny grzyb dymu, który przysłonił słońce. A samo miasto... Miasto zniknęło. Po prostu go nie było. Tam, gdzie jeszcze kilka sekund temu wznosiły się wysokie budynki, teraz nie było nic. Płaska, dymiąca ziemia.

Seikō zobaczyła idące w jej stronę postacie. Przypominały zombie. Z rękami wyciągniętymi przed siebie, ze strzępami ubrań zwisających z nagich ciał. Całe we krwi i pęcherzach. Ze stojącymi dębami włosami. Pustymi oczodołami. Otwartymi szeroko ustami.

Skóra z ciał tych ludzi... spływała na ziemię. Odchodziła płatami od kości. Ich dłonie wyglądały jak „włożone na lewą stronę rękawiczki”. Dobra chwila minęła, zanim Seikō rozpoznała te postacie. To były jej szkolne koleżanki w asyście nauczycieli i nauczycielek!

Dopiero wtedy będąca w szoku 12-latką spojrzała na własne ciało. Było spalone. Z jej szkolnego mundurka zostały tylko kawałki łachmanów, które teraz opadały na ziemię z kawałkami skóry, do których się przykleiły.

Skóra na jej twarzy – z czego nie zdawała sobie sprawy – całkowicie się złuszczyła, nadając jej przerażający wy-

Atomowy atak na Japonię

gład. Seikō czuła potworny, piekący ból na całym ciele. Tak jak inni uniosła rękę, aby nie ocierać nimi o tułów, co zwiokrotniało katusze.

Z resztą ocalałych dzieci ruszyła w dół ulicy w przerażającym kondukcje pogorzalców. Po obu stronach jezdni leżały stosy ludzkich ciał. Straszliwie zdeformowanych, spalonych na węgiel, spopielenych. Z gardeł rannych – bardziej przypominających ochłapy ugotowanego mięsa niż istoty ludzkie – dobywały się charczące, agoniczne jęki.

Jakiś człowiek trzymał w rękach własne organy wewnętrzne wypływające z pękniętego brzucha. Przyglądał się im w szczerym zdumieniu. Ludzie byli pozbawieni rąk i nóg, mieli wduzione w głębi czaszek twarze. Na ulicach, niczym rozrzucone kręgle walały się ciała bez głów.

Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy to jakiś potworny koszmar senny? Gdzie jest mama?

Dziewczyna nie była w stanie słuchać błagań o pomoc docierających do niej ze wszystkich stron. Zakryła uszy i powtarzając: „Przepraszam, przepraszam”, szła przed siebie, szlochając. Chwiejąc się na nogach, dowlokła się do mostu na rzece Kyōbashi. Potykała się o trupy i gruzy, część drogi pokonała na czworakach.

Na przedmieściach jakaś litościwa kobieta narzuciła na jej spalone, zdeformowane ramiona kawałek lekkiego materiału. Dopiero wtedy dziewczynka zorientowała się, że jest zupełnie naga. „Byłam taka zawstydzona...” – wspominała po latach Seikō Ikeda (już jako dorosła osoba przeszła 15 bolesnych operacji plastycznych).

Seikō, której 6 sierpnia 1945 r. udało się przeżyć wybuch bomby atomowej, jest jedną z bohaterów wstrząsającej książki Paula Hama „Hiroshima Nagasaki: The Real Story of the Atomic Bombings and Their Aftermath”.

Śmierć w kuli ognia

Amerykański samolot B-29 „Enola Gay” nadleciał nad Hiroszimę o godz. 8.15. Pogoda była wspaniała, błękitne niebo niemal bezchmurne, widoczność – idealna. Tysiące zaciekawionych Japoń-

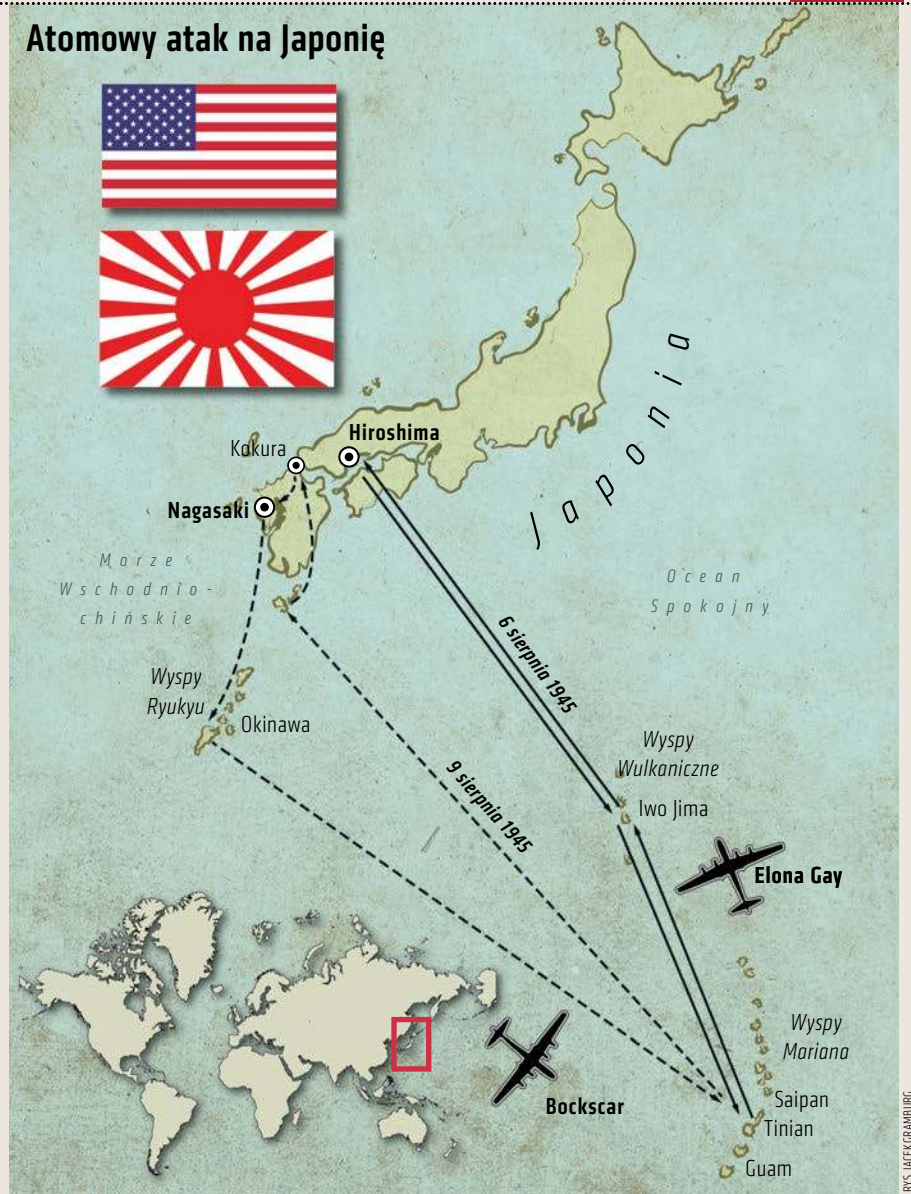
czyków obserwowało maszynę, mrucząc oczy i przykładając dłonie do czoła, bo słońce odbijało się na srebrnych skrzydłach samolotu.

Mieszkańcy Hiroszimy, przyzwyczajeni do takich lotów, byli przekonani, że to kolejny rekonesans. Nie spodziewali się bombardowania, bo Amerykanie bombardowali przecież japońskie miasta w nocy. Nagle spod kadłuba oderwał się jednak jakiś podłużny kształt, który z coraz większą prędkością spadał na miasto.

Po 45 sekundach, gdy przedmiot znajdował się 580 metrów nad ziemią, doszło do eksplozji. Zachodząca w bombie reakcja łańcuchowa wywołała osłepiający błysk o fali gorąca odpowiadającej temperaturze powierzchni Słońca. W środku wielkiej kuli ognia było milion stopni Celsjusza!

Po błysku przyszła fala uderzeniowa, która rozchodząc się koncentrycznie od centrum wybuchu, druzgotała wszystko, co napotykała na swojej drodze. Roztrzaskane resztki murowanych budynków wystrzeliwały w powietrze i – razem z samochodami, tramwajami, zaprzęgami konnymi i liniami elektrycznymi – zniknęły w pędzącym z prędkością 440 km/s nuklearnym wietrze.

Bomba eksplodowała bezpośrednio nad szpitalem Shima. W ułamku sekundy unicestwieni zostali wszyscy pacjenci, pielęgniarki i lekarze. Spotkało to wszystkich znajdujących się w promieniu 500 metrów od miejsca eksplozji. Żadna żywa istota nie miała szans na przeżycie. Ludzie ci po prostu wyparowali. W miejscach, w których stali, znaleziono





Załoga bombowca Boeing B-29 „Enola Gay” FOT. WIKIPEDIA

■ później na ścianach i chodnikach tłuste plamy – zarysy ich sylwetek.

Podmuch ekstremalnego gorąca – 3000–4000 st. C – który przetoczył się przez miasto, spalił każdy kawałek nieosłoniętej skóry ludzkiej w promieniu 2 km. Oczy pękały jak gotowane jajka. Innych fala uderzeniowa rozrywała na strzępy lub dekapitowała.

Ciśnienie wynosiło 32 tony na 1 mkw. Woda w zbiornikach się zagotowała, wszystkie metalowe elementy roztopiły, drzewa i rośliny spopieliły w ułamku sekundy. Wszystkie zegary w Hiroszynie stanęły dokładnie o godz. 8.15.

Jednym z ocalałych był 19-latek Shinji Mikamo, którego wspomnienia opublikowane zostały w przejmującej książce „Odrodzić się z popiołów”:

BEYSK

Ni stąd, ni zowąd pojawiła się przede mną gigantyczna kula ognia. Była co najmniej pięć razy większa i dziesięć razy jaśniejsza od słońca. Toczyła się prosto na mnie. A potem...

GRZMOT

Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby piorun uderzył z taką mocą. Ten dźwięk ogarnął mnie ze wszystkich stron. Jakby wszechświat eksplodował. Po moim ciele rozlał się palący ból. Skóra piekła mnie tak, jakby ktoś oblał mnie wiadrem wrzątku.

Twarz miałem sparaliżowaną. Mało co widziałem. W nozdrzach kręciło od swądu skóry spalonej aż do mięśni. Nagle poczułem ciepło i pieczenie na łydce. Opuściłem wzrok – to paliły się moje spodnie. W tym samym momencie ojciec doskoczył do mnie i zgasił płomień pełzający po mojej nodze.

Pierś i prawą rękę miałem całkowicie poparzone. Straszny piekący ból kąsał moje uda. Skóra zwisała ze mnie w strzępach, niczym podarte ubranie. Przyjrzałem się zdrowym okiem swoim ręką, nogom i brzuchowi. Poparzone do żywego mięsa przedramiona wyglądały jak słodkie ciasto, które moja matka piekła przed wojną. To ciasto śniło mi się po nocach.

W dzielnicy, w której mieszkał Shinji Mikamo – zbudowanej z drewna i papieru – po przejściu fali uderzeniowej wybuchł gigantyczny pożar. Kolejne tysiące ludzi, którzy przeżyli samą eksplozję, spłonęły teraz żywcem w płomieniach. Ciężko rannemu Shinjiemu i jego ojcu jakimś cudem udało się przedrzeć do rzeki i wskoczyć do wody.

Wokół nas szalały chaos, cierpienie i histeria – wspominał. – Tuż obok niemowlę, mały chłopczyk, jak gądyby nigdy nic, ssało pierś matki, która leżała nieruchomo na ziemi. Była praktycznie naga, a jej ciało

pokrywało czarne oparzeliny. Dalej zobaczyłem starszego mężczyznę. Leżał na brzuchu, a jego opuchnięte, poparzone do żywego plecy przypominały grzbiet hipopotama. Nie był w stanie się poruszyć.

Z wieloma ocalałymi z Hiroszimy rozmawiał John Toland. Relacje te znalazły się w jego książce „Wschodzące słońce”. Oto strzępy wspomnień świadków, które na zawsze – niczym fotograficzne klisze – wryły się w ich pamięć:

Ludzie snuli się beznamiętni i cisi jak lunacy, w wystrzępionych, tłuczonych ubraniach. Była to parada upiorów. Wizja buddyjskiego piekła.

Nic nie widziała – chyba oślepla! Usłyszała krzyk matki: „Tam zasypało moją córkę!”.

Michiko wędrowała przez świat jak z koszmaru. Zwęglone ciała, płaczące niemowlę uwiecznione za skręconymi żelaznymi belkami zawalonego żelbetonowego budynku... Dostrzegła znajomą i zawołała.

– Kim jesteś? – zapytała tamta dziewczyna.

– Michiko.

– Nie masz nosa i brwi! – Przyjaciółka gapiała się na nią.

Dwunastoletnia Miyoko Matsubara odzyskała przytomność na niewyobrażalnym pustkowiu. Żadnych ludzi, żadnych budynków, tylko bezkresne grzyzy. W talii miała jedynie biały płócienny pas, i to płonący. Zaczęła tłumić płomień, uderzając prawą dłońią, aż ze zgrozą ujrziała zwisające z niej paski skóry – swojej własnej.

Na drodze stał samotnie kawalerski koń. Był różowy: fala uderzeniowa zdarła zeń skórę.

John Hersey w wydanej wkrótce po wojnie książce „Hiroszima” przytoczył relację księdza jezuity, który wkrótce po eksplozji natknął się na grupę 20 młodych żołnierzy. W czasie ataku wszyscy stali obok siebie i patrzyli w stronę „Enola Gay”. Straszliwy błysk spowodował, że całej dwudziestce eksplodowały oczy. I teraz – czego świadkiem był ksiądz – spływały po policzkach niczym łzy.

Najbardziej przerażające są jednak relacje na temat gehenny dzieci, które stanowiły olbrzymią część ofiar atomowego Holokaustu.

Szkoła podstawowa Honkawa, która znajdowała się najbliżej detonacji – pisze Paul Ham – została całkowicie wypatroszona. Dyrektor, dziesięciu nauczycieli i 400

dzieci zostało zabitych na miejscu. Przeżyło tylko dwoje dzieci, które znajdowały się za ścianą. Promienie gorąca zwęgliły większość ofiar, gdy grały na szkolnym podwórku. Podobny los spotkał szkołę podstawową Fukuromachi.

Latem 1945 r. olbrzymia część japońskich dzieci powyżej 12. roku życia została

zmobilizowana do specjalnych formacji roboczych. Tak samo było w Hiroszynie. O godz. 8.15 – gdy na miasto spadła bomba – tysiące dziewczynek i chłopców pracowały na świeżym powietrzu, między innymi przy wyburzeniach. Tysiące innych uprawiały poranną gimnastykę.

Niemal wszystkie te dzieci zginęły. Ratownicy, którzy później przeszukiwali popioły Hiroszimy, znaleźli olbrzymią liczbę dziecięcych szkieletów tulących się do szkieletów dorosłych.

Piętnastoletni Iwao Nakanishi próbował pomóc małemu chłopcu z wylupionymi oczami, który błagał go o ratunek. Złapał go za ramiona, żeby pomóc wstać z ziemi. Ze zgrozą poczuł jednak, że ciało dziecka w miejscu, za które chwycił, odeszło od kości. „Nigdy tego nie zapomnę” – powiedział po wojnie.

Ciała najmłodszych ofiar bomby atomowej zawinięto później w trzcinowe maty i zgromadzono na szkolnych boiskach. Rodzice mieszkający na przedmieściach przyjeżdżali, żeby je zabrać i pochować. W zwęglonych, rozszarpanych ciałach nie potrafili jednak rozpoznać swoich dzieci... Matki długimi godzinami wyły w obłędzie.

Nawet wiele kilometrów od Hiroszimy chwilę po wybuchu z uszu i nosów najmniejszych dzieci popłynęła krew...

Wkrótce po ataku, gdy dymy pokrywające Hiroszimę zaczęły się rozwiewać, na głowy ocalałych spadły z nieba pierwsze smoliste krople. Coraz więcej i więcej. Krople te spływały szarymi strugami po ciałach, oparzeniach, ranach, głowach, wpadały do oczu.

Był to skutek eksplozji nuklearnej. Drobinki spalenizny i pyłów połączyły się z parą wodną i spadały teraz radioaktywnym czarnym deszczem. Pogorzeli w pierwszej chwili myśleli, że z nieba leje się benzyna, że Amerykanie chcą ich spalić żywcem.

Te czarne krople, których niektórzy próbowali, zlizując je z dłoni, były jednak dużo groźniejsze ze względu na napromieniowanie... Skutki dla organizmów,

które zetknęły się z radioaktywnym czarnym deszczem, były katastrofalne.

Kolejny dzień – gdy wstało słońce i pyły nad Hiroszimą się rozproszyły – dla tysięcy rannych oznaczał kolejne piekielne katusze. Panował straszliwy upał, brakowało wody i cienia. Poparzeni pogorzeczy gromadzili się na otwartych polach, na których garstki zagubionych sanitariuszy próbowały udzielić pierwszej pomocy tysiącom rannych. Bez bandaży, leków...

Moje pozbawione skóry ciało skwierczało wystawione na słoneczny żar – opowiadał po latach Shinji Mikama. – Słońce paliło żywe mięso. Czuję się tak, jakby co chwila, raz po raz, ktoś wbijał we mnie pęk igieł. Mój ból był wprost niewyobrazalny i chciałem jedynie uwolnić się od niego. Marzyłem o tym, aby poczuć dotyk śmierci. Umrzeć – to oznaczało koniec cierpienia.

Iludni ludzi zginęło 6 sierpnia 1945 r. w pierwszym ataku atomowym w dziejach ludzkości? Nikt tego nigdy dokładnie nie policzył. Najniższe szacunki mówią o 70–80 tys. W tym tysiącach dzieci.

Do tego przerażającego bilansu należy dodać kolejne dziesiątki tysięcy ofiar, które zmarły w kolejnych miesiącach i latach na chorobę popromienną i inne schorzenia. Choroby płuc, złośliwe, żarłoczne nowotwory. Kolejne dziesiątki tysięcy osób do końca życia pozostało kalekami, straszliwe poparzenia oszpeciły je na zawsze.

I jeszcze jeden, niezwykle przerażający i zarazem delikatny aspekt sprawy. Wiele młodych dziewcząt, które przeżyły atak na Hiroszimą, po latach urodziło zmutowane, potwornie zdeformowane dzieci. Był to kolejny krąg potwornego cierpienia spowodowanego przez amerykańską bombę.

A to był przecież dopiero pierwszy cios! Trzy dni później – 9 sierpnia 1945 r. – Amerykanie spuścili na Japonię kolejną bombę atomową. Na Hiroszimą spadł uranowy „Little Boy”, na Nagasaki zrzucono zaś plutonowego „Fat Mana”. Skutek był jednak taki sam. Apokalipsa.

Co najmniej 40–50 tys. mieszkańców Nagasaki zginęło na miejscu. Miasto zostało zamienione w pustynię. Wśród ofiar znaczny odsetek stanowili chrześcijanie i katolicy. W Nagasaki mieszkała bowiem większość japońskich wyznawców Chrystusa. Dlatego do końca wierzono, że rząd Stanów Zjednoczonych oszczędzi to jedno jedyne miasto.

Jak się okazało, była to fatalna pomyłka. Rząd Stanów Zjednoczonych japoń-

skich chrześcijan nie oszczędził. Musieli wypić kielich goryczy do końca, tak jak miliony innych Japończyków.

Hiroszima Afterparty

Załoga samolotu „Enola Gay” – nazwanego tak na cześć 50-letniej matki jego dowódcy, płk. Paula Tibbetsa – widziała skutek ataku na Hiroszimą. Zrzuciwszy bombę, lotnicy w chroniących przed blaskiem gogłach patrzyli na miasto.

Widzieli oślepiający błysk, a potem grzyb dymu, który wyrósł nad zgładzonym miastem na 14 km. Podmuch wybuchu wstrząsnął maszyną. W środku rozległy się krzyki będące mieszaniną ekscytacji, zdumienia i szoku.

– Chłopaki! – powiedział przez interkom płk Tibbets. – Właśnie spuściliście pierwszą bombę atomową w historii.

Drugi pilot, kpt. Robert Lewis, patrzył jak zahipnotyzowany na przerażający widok na ziemi.

– Mój Boże – szepnął. – Co myśmy zrobili?

Takie słowa zostały przynajmniej zapisane w dzienniku pokładowym. W rzeczywistości Lewis miał krzyknąć coś nieco innego:

– Patrzcie na to! Patrzcie na to! Patrzcie na to! Mój Boże! Patrzcie, jak ten sukinyś wałną!

Z oczywistych względów słowa te nie nadawały się jednak do uwiecznienia w oficjalnym dokumencie.

Samolot zatoczył koło nad Hiroszimą i ruszył w powrotną drogę do bazy lotniczej na wyspie Tinian. Nie niepokoiły go żadne nieprzyjacielskie myśliwce. Nad

Hiroszimą obrona przeciwlotnicza nie oddała w stronę „Enola Gay” ani jednego strzału. Lot był wyjątkowo spokojny. Zważywszy na idealne warunki atmosferyczne – wręcz przyjemny.

Bombowiec wylądował na Tinianie ok. godz. 15. Na pasach startowych czekał już podekscytowany tłum. Dziennikarze z aparatami fotograficznymi, naukowcy, żołnierze, marynarze i piloci. B-29 zakończył kołowanie i stanął. Gdy załoga otworzyła drzwi, rozległy się głośnie wiwaty i oklaski.

Uśmiechnięty gen. Karl Spaatz przypiął do piersi Tibbetsa wysokie odznaczenie – Krzyż za Wybitną Służbę. Potem nastąpiło krótkie badanie. Lekarze licznikami Geigera sprawdzili, czy załoga nie została napromieniowana. Okuliści zbadali oczy lotników, by się przekonać, czy nie ucierpiały od błysku bomby atomowej. Okazało się, że wszystko jest OK.

Dowództwo bazy Tinian, aby uczcić „dziejowy sukces”, urządziło wielką imprezę. Przygotowano tysiące kanapek. Otwarto niezliczone butelki bourbona. Piwo było darmowe i w dowolnych ilościach dla wszystkich. Wśród atrakcji wieczoru przewidziano konkurs w jedzeniu „mięsnych ciast” i mecz piłkarski.

Dzielnym lotnikom, którzy „spuścili manto Japońcom”, puszczone muzykę i wyświetlono film „It’s a Pleasure” z Sonją Henie w roli głównej. Był to pogodny musical komediiowy o miłości grającego hokeyowego do pięknej łyżwiarki figurowej.

Załoga „Enola Gay” świętowała więc swoje wielkie bojowe osiągnięcie na alkoholowej imprezie. W tym samym czasie w Hiroszynie osierocone dzieci konały w straszliwych męczarniach. Poparzone, oślepe, ze skórą odchodzącą od kości... Oszalałe z rozpacz matki brodziły w napromieniowanym pyłe, na próżno nawołując swoje zaginione dzieci...

Była to najpotworniejsza i najdłuższa noc w życiu setek tysięcy ludzi.

To jednak nie było ważne.

Ważne było to, że stojąca na straży cywilizacji zachodniej amerykańska demokracja zwyciężyła. Odniosła kolejny wspaniały triumf nad okrutną azjatycką satrapią, która zatrzymała się w rozwoju w „mrocznych czasach średniowiecza”. Jasność pokonała ciemności.

Gwiazdzisty sztandar nad bazą na wyspie Tinian dumnie powiewał w blasku wschodzącego słońca.



FRAGMENT NAJNOWSZEJ KSIĄŻKI PIOTRA ZYCHOWICZA „ALIANCI”, REBIS

Nowa bomba



Michał Mackiewicz

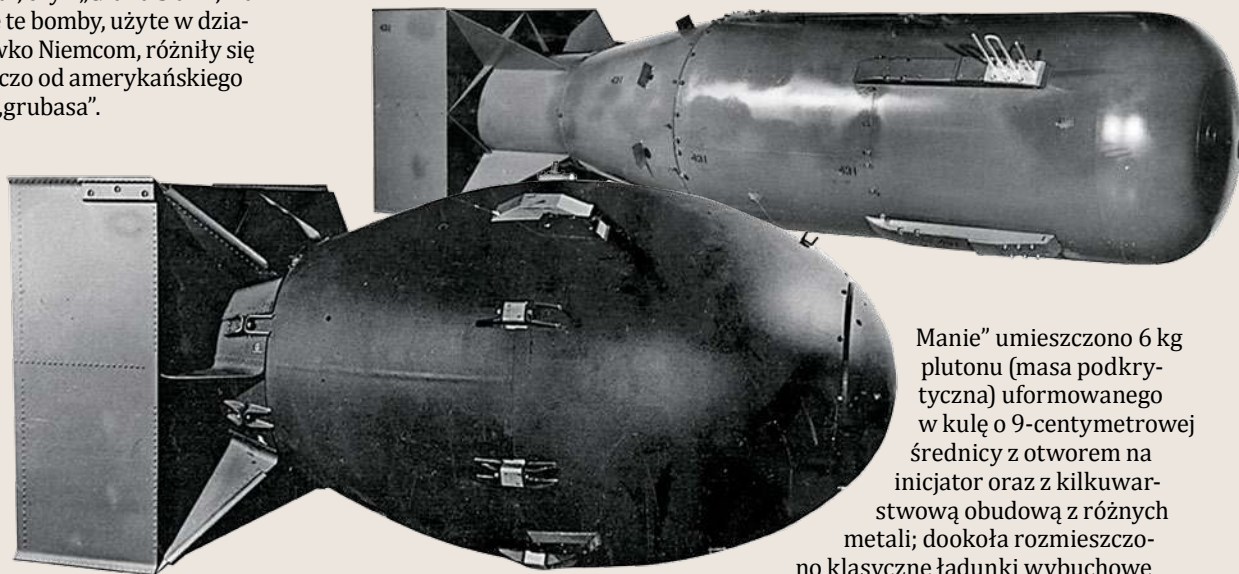
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

Ani „Little Boy” zrzucony 6 sierpnia 1945 r. na Hiroszimę, ani „Fat Man” użyty trzy dni później w ataku na Nagasaki nie imponowały rozmiarami

Little Boy” (na zdjęciu z prawej u góry) miał średnicę 0,7 m, długość 3 m i masę sięgającą 4 ton. „Fat Man” był nieco większy: 1,5 m średnicy, 3,2 m długości i masa 4,5 tony. Tymczasem angielski Tallboy, odnaleziony niedawno na dnie Kanału Piastowskiego w Świnoujściu i następnie zneutralizowany, miał 6,4 m długości i masę blisko 5,4 tony. Jego większy „kolega”, czyli „Grand Slam”, ważył 10 ton. Obie te bomby, użyte w działaniach przeciwko Niemcom, różniły się jednak zasadniczo od amerykańskiego „chłopczyka” i „grubasa”.

Raziły cel wskutek wybuchu konwencjonalnego, którego energia wytworzona w wyniku gwałtownego wydzielania się dużej ilości gazów powoduje nagły wzrost ciśnienia i w efekcie niszczącą falę podmuchu. Nieznaczna część tej energii wydziela się w postaci promieniowania ciepłego. Broń jądrowa natomiast zabija i niszczy w sposób bardziej różnorodny, a więc także znacznie efektywniejszy. I w tym przypadku ponad połowa energii powstałej wskutek różnych przegrupowań protonów i neutronów w jądrze atomowym przeistacza się w podmuch. Jest on jednak dużo silniejszy niż podczas konwencjonalnego wybuchu, a aż 30 proc. powoduje promieniowanie ciepłe

i świetlne, co należy do bardzo istotnych czynników niszczących. 10 proc. energii wybuchu stanowi skażenie radioaktywne, a ok. 5 proc. promieniowanie jądrowe zabójcze dla organizmów żywych. Warto dodać, że w ciągu ponad pół wieku od momentu wynalezienia promieniotwórczego radu wyprodukowano zaledwie kilka kilogramów tego pierwiastka. Podczas ataku na Hiroszimę do atmosfery przedo-



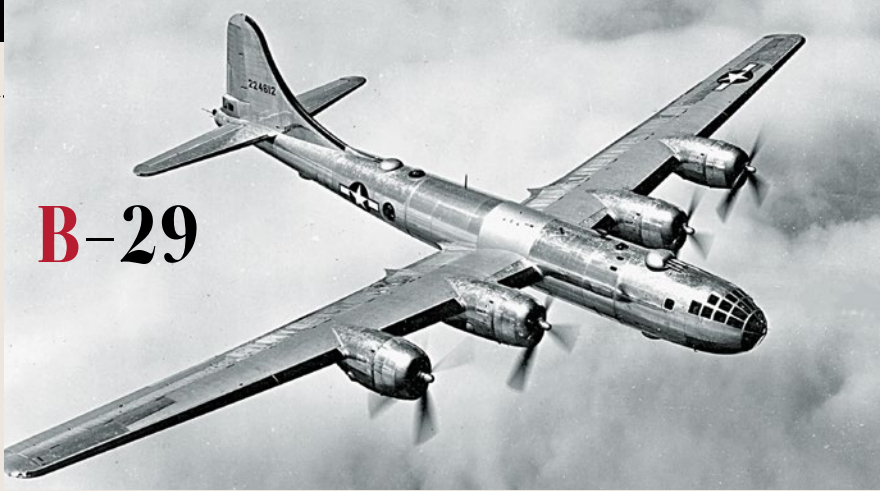
stały się substancje o promieniotwórczości równej 2000 ton radu.

Pierwszy ładunek jądrowy – Gadget zdetonowany 16 lipca 1945 r. na pustynnym obszarze poligonu Alamogordo w Nowym Meksyku – przypominał raczej kapsułę ładownika kosmicznego, ale te zrzucane nad Japonią z pokładów B-29 wyglądały już jak klasyczne bomby burzące. Składały się z metalowego opływowego kadłuba i stateczników. Wewnątrz kadłuba znajdowały się

ładunek jądrowy i urządzenie zapłonowe; ładunek składał się z materiału rozszczepialnego: dwóch porcji izotopu uranu U-235 w przypadku „Little Boy” i izotopu plutonu Pu-239 w „Fat Manie”.

Bomby te różniły się sposobem detonacji. W „Little Boyu”, który był tzw. chudą bombą, umieszczono 64 kg uranu rozdzielonego na dwa cylindry. Każdy zawierał masę mniejszą od tzw. masy krytycznej, a więc takiej, przy której następuje samoistna jądrowa reakcja łańcuchowa. Po usunięciu materiałów izolujących (wskutek zadziałania urządzenia zapłonowego) obie części materiału rozszczepialnego złączyły się ze sobą – nastąpiło wstrzelenie się jednego cylindra w drugi wskutek wybuchu klasycznych ładunków – tzw. koncepcja działa – a to spowodowało powstanie reakcji rozszczepienia i wybuch bomby na wysokości ponad pół kilometra nad ziemią (tzw. wybuch powietrzny). W „Fat

Manie” umieszczono 6 kg plutonu (masa podkrytyczna) uformowanego w kulę o 9-centymetrowej średnicy z otworem na inicjator oraz z kilkuwarstwową obudową z różnych metali; dookoła rozmieszczono klasyczne ładunki wybuchowe mające zainicjować reakcję. Po wybuchu ładunków fala uderzenia skierowała się do wewnątrz (tzw. fala implozyjna), wskutek czego nastąpiło ściśnięcie materiału rozszczepialnego i w efekcie powstanie reakcji łańcuchowej. Podobnie jak w „chudzielcu” wybuch nastąpił blisko pół kilometra nad ziemią. „Grubas” był bombą bardziej zaawansowaną technologicznie i potężniejszą, siłą eksplozji (wielkość działania burzącego) ocenia się nawet na 21 kiloton. W „Little Boyu” było to 12–18 kiloton. ©



B-29

Samolot, który w sierpniu 1945 r. zrzucił nad Japonią ładunki jądrowe, należał do najbardziej zaawansowanych technologicznie rodzajów broni drugiej wojny światowej. Koncepcja tego superbombowca narodziła się w końcu lat 30. XX w. Kiedy we wrześniu 1942 r. wzbił się w powietrze prototypowy XB-29, nic już nie mogło zatrzymać projektu, w który wciąż ingerowali szefowie sił powietrznych, stawiając coraz to nowe i – zdawałoby się – absolutnie niewykonalne wymagania taktyczno-techniczne. Rok później pierwsze B-29, ochrzczone mianem Superfortec, zaczęły trafiać do jednostek szkoleniowych, a w kwietniu 1944 r. zaczęto je przerzucać na Daleki Wschód.

5 czerwca przeszły chrzest bojowy podczas rajdu nad Bangkok. Dziesięć dni później ruszyła pierwsza od czasów słynnej akcji Doolittle'a (1942 r.) wyprawa nad Japonię. Wkrótce ojczyzna samurajów zaczęła ponosić kolosalne straty, przy czym najgroźniejsze okazały się bomby zapalające obracające wniwecz drewnia-

ną w większości zabudowę tamtejszych miast. W dwóch lukach bombowych można było przenosić ponad 9 ton śmiercionośnego ładunku, ale nie tylko imponujący udźwieg decydował o wyjątkowości B-29.

Swoimi rozmiarami dystansował inne ówczesne konstrukcje, nawet słynną Latającą Fortecę; powierzchnia płata wynosiła 161 mkw. (w B-17 – 131 mkw.), a rozpiętość sięgała 43 m (B-17 – 31). Masa startowa przekraczała 56 ton, podczas gdy w B-17 sięgała „zaledwie” 31 ton. B-29 mógł lecieć szybko i dalej: maksymalna prędkość na wysokości 7620 m wynosiła 576 km/h (w B-17 wersji G 462 km/h), a zasięg dochodził do 5230 km (B-17 – 3220). Samolot napędzany był czterema gwiazdowymi silnikami Wrighta wyposażonymi w turbosprężarki o mocy 2200 KM każdy. Uzbrojenie defensywne tego 10-załogowego kolosa składało się z 10 półcalowych karabinów maszynowych i 20-milimetrowego działka. Wieże strzeleckie sterowane były zdalnie. Wszyscy członkowie załogi znajdowali się w hermetycznych i ogrzewanych pomieszczeniach (kadłub ciśnieniowy). ©©

Katana

Koniec izolacjonizmu i początek budowy nowoczesnej japońskiej armii w XIX w. oznaczały jej gruntowną europeizację. Jednym z widocznych elementów była adaptacja klasycznej szabli zamiast tradycyjnego samurajskiego miecza, którego zresztą od 1877 r. nie wolno było stosować w cywilu (edykt cesarski). Istniało kilka wzorów japońskich szabel, oficerskie i podoficerskie piechotne, kawalerskie. Cechą charakterystyczną była forma oprawy rękojeści – otóż kabłąk jelca był nieznacznie tylko wydęty. Z chwilą wybuchu nastrojów patriotycznych i wraz z rozkwitem nacjonalizmu nastąpił powrót do dawnej samurajskiej tradycji. Skutkowało to oficjalnym przyjęciem miecza (zwanego też kataną) na uzbrojenie japońskiej armii w połowie lat 30. Epoka japońskiego miecza obejmująca lata 1877–1945 zwie się Gendai (okres nowoczesny). Zdecydowana większość mieczy produkowana była maszynowo i miała niewiele wspólnego z dawnymi arcydziełami mieczniczego rzemiosła. Niemniej japońska broń biała należała do trofeów najbardziej poszukiwanych przez żołnierzy alianckich w czasie drugiej wojny światowej. Na zdjęciu: miecz zdobyty przez szkockiego pancerniaka podczas walk w Birmie w 1945 r. ©©



Ki-100

Pod koniec walk na Pacyfiku japońskie samoloty myśliwskie – takie jak słynny Mitsubishi Zero (A6M Reisen) – które odniosły wiele sukcesów w latach 1941–1942, nie mogły już sprostać maszynom przeciwnika. Projektowane do zupełnie innych celów – z dużym zasięgiem i ze znakomitymi własnościami manewrowymi – ustępowały uzbrojeniem ofensywnym i opancerzeniem. Od 1943 r. zaczęły się pojawiać nowe maszyny, dorównujące – teoretycznie – najlepszym konstrukcjom amerykańskim. Było ich jednak zbyt mało, a problemy spowodowane



coraz większym niedostatkami surowców znacząco obniżały jakość, wobec czego nie odmieniły oblicza walk. W 1943 r. wzbił się w powietrze Kawasaki Ki-61, silnie uzbrojony, z samouszczelniającymi się zbiornikami paliwa i wyróżniający się wyglądem: zamiast silnika gwiazdowego zastosowano w nim rzędowy, kopię niemieckiego Daimler-Benz, co upodobiło go do myśliwców z europejskiego teatru działań bojowych. Samoloty te

broniły m.in. nieba nad Tokio, ale latające na dużych wysokościach B-29 okazały się poza ich zasięgiem. O wiele groźniejszym przeciwnikiem dla Superfortec i myśliwców osłony okazała się gruntownie zmodernizowana wersja Ki-61 – samolot Ki-100 (na zdjęciu). Wyposażony w dużo lepszy silnik gwiazdowy, potężne uzbrojenie ofensywne (m.in. dwa działka 20-milimetrowe), szybki i zwrotny, odnotował wiele sukcesów. Wszedł jednak do uzbrojenia dopiero w marcu 1945 r., wobec czego nie mógł już ograniczyć skali amerykańskich ataków. ©©

/ – Moja własna mama mnie nie rozpoznała. Tak potwornie spaloną miałam twarz – mówi Shigeko Sasamori, 89-letnia mieszkanka Hiroszimy

Shigeko Sasamori po latach z ciekawości sprawdziła na mapie, jak daleko znajdowała się od miejsca wybuchu „Little Boya”. Według jej obliczeń odległość ta wynosiła ok. 1,5 km. 6 sierpnia 1945 r. 13-letnia Sasamori, tak jak tysiące innych nastolatków z Hiroszimy, brała udział w przygotowywaniu swojego miasta na amerykańskie naloty.

– Hiroszima przed 6 sierpnia uniknęła bombardowania, które zrównało z ziemią inne duże japońskie miasta. Żyliśmy więc cały czas w napięciu, zastanawiając się, kiedy w końcu Amerykanie nas zaatakują – opowiadała Shigeko Sasamori w rozmowie z „Historią Do Rzeczy”. – Każdy musiał brać udział w przygotowywaniu miasta na bombardowanie. Starsi uczniowie pracowali poza Hiroszimą w fabrykach, a my – młodszy – poszerzaliśmy ulice, żeby ludzie mieli dużo miejsca na ucieczkę w przypadku bombardowania. To był dla mnie pierwszy dzień pracy.

6 sierpnia zapowiadał się na piękny, gorący dzień. Świadkowie wspominali, że tego poranka na niebie nie było widać ani jednej chmury.

– Właśnie rozpoczynałam pracę, gdy moją uwagę przykuł samotny samolot lecący nad Hiroszimą. Na całym niebie nie było innego samolotu. Miał srebrny kadłub i biały ogon. Błyszczał się cały, był taki ładny! Powiedziałam mojej koleżance: „Spójrz w górę. Zobacz ten samolot!”. Zobaczyłam też, jak coś dużego wypada z tego bombowca.

Bombardier „Enola Gay” Thomas Ferebee celował w przypominający literę T most Aioi nad rzeką Ōta, ale wiatr zniósł bombę o ok. 200 metrów. „Little Boy” spadał dokładnie 43 sekundy. Do wybuchu doszło na wysokości ok. 600 metrów nad centrum tego liczącego ponad 400 tys. mieszkańców miasta. Siłę eksplozji oszacowano na 16 tys. ton tro-



Przeżyłam

Świadek / Z Shigeko Sasamori, która przeżyła wybuch bomby atomowej



rozmawia Piotr Włoczyk

Hiroszimą

tylu (zdetonowana trzy dni później nad Nagasaki bomba „Fat Man” miała moc równą 21 tys. ton trotylu).

– Poczułam, jak potężny podmuch poderwał mnie do góry i rzucił mną o ziemię. Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna. Gdy w końcu otworzyłam oczy, widziałam tylko ciemność. Powietrze było czarne jak smoła. Nic nie słyszałam ani nic nie czułam. Wokół mnie była tylko ta czerń, która mnie otaczała. Po jakimś czasie ta smoła zaczęła powoli opadać i zobaczyłam ludzi, którzy szli bardzo powoli, jak w amoku. Ci ludzie posuwali się w kierunku przedmieść Hiroszimy. Każdy był ranny. Tego się nie da opisać. Ten widok ludzi całych we krwi, w poszarpanych ubraniach, ze zwisającymi kawałkami skóry...

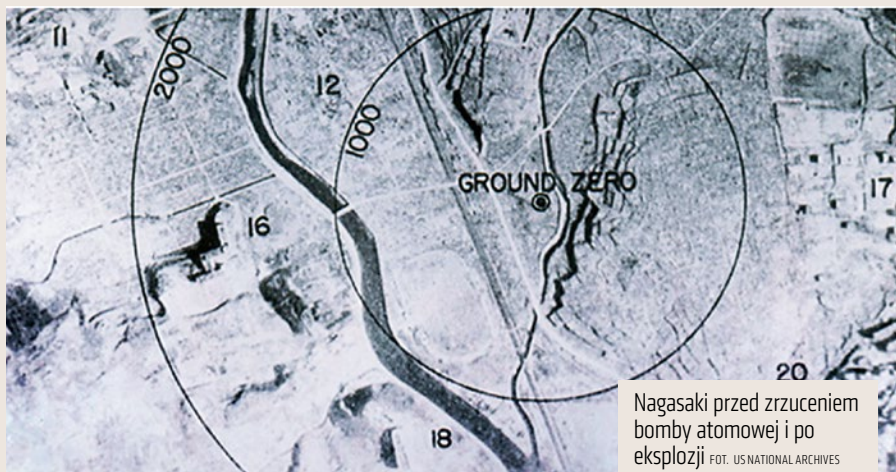
We wspomnieniach hibakusha (japoński termin oznaczający ludzi, którzy przeżyli ataki atomowe) widok przepływającej przez miasto rzeki Ōta jest szczególnie wstrząsający:

– Ranni ludzie szukali w wodzie ulgi dla palących ran. Ja jednak nie chciałam tam wchodzić, ponieważ pośrodku rzeki unosiło się mnóstwo ciał. Ludzie w rozmowach często nadużywają wyrażenia „piekło na ziemi”. Bardzo wiele rzeczy jest dla nich piekłem na ziemi. Tamten widok był tym prawdziwym piekłem na ziemi.

Shigeko Sasamori wraz z tłumem rannych dotarła do dziedzińca jednej ze szkół. Jak wspomina, żołnierze, którzy się tam pojawili, próbowali ulżyć w cierpieniu poparzonym ofiarom wybuchu. Używali do tego oleju jadalnego, którym smarowali krwawiące rany. Na dziedzińcu szkoły Sasamori poczuła, jak jej ciało zaczyna puchnąć. Dziewczyna straciła przytomność. Co się działo w tym czasie z jej rodzicami?

– Mieli ogromne szczęście. Nasz dom znajdował się również ok. 1,5 km od epicentrum. Został uszkodzony, ale się nie zawalił. To był zwykły drewniany domek, ale na nasze szczęście obok stał wielki betonowy budynek targu rybnego. Ta konstrukcja osłoniła nasz dom i dzięki temu mama, która była w środku, tylko lekko się potłukła. Ojciec z kolei opowiadał potem, że tuż przed wybuchem był akurat na targu. Gdy tylko zobaczył ten samotny samolot, od razu schował się w jakimś bezpiecznym pomieszczeniu w środku i w ten sposób przeżył.

FOT. JAKESHOELL/KOPIA/PIEAST NEWS



Nagasaki przed zrzućeniem bomby atomowej i po eksplozji FOT. US NATIONAL ARCHIVES

Przez pięć kolejnych dni rodzice prowadzili dramatyczne poszukiwania córki. Jak wspominali potem, szukając jej, zdarzało im się przewracać dziecięce ciała porozrzucane przez wybuch po ulicach Hiroszimy. Dziewczyna tymczasem leżała w budynku szkolnym zamienionym w prowizoryczny szpital. Co jakiś czas wykrzykiwała swoje imię i nazwisko, a także adres, licząc, że ktoś w końcu dotrze z tą informacją do jej rodziców.

– Mama po wbiegnięciu do sali, na której leżałam, krzyczała, rozglądając się po łózkach: „Shigeko! Shigeko!”. Odpowiedziałam jej: „Tu jestem!”. Wiele lat później mama w końcu posłuchała moich próśb i opisała mi w szczegółach tamten moment. Proszą sobie wyobrazić, że moja własna mama mnie nie rozpoznała. Tak potwornie spalona miałam twarz. Moja głowa pokryta była czarnobrązową mazią, która wypływała z moich ran. Mama powiedziała mi, że nie wiedziała, gdzie mam nos, gdzie usta, a gdzie oczy. Rodzice pielęgowali moje rany dniami i nocami, wycierali ropę i próbowali mi ulżyć nakładaniem warstwy oleju. Przez długi czas nie mieliśmy dostępu ani do lekarza, ani do lekarstw. Moi rodzice musieli sobie radzić sami. Bali się, że mogą umrzeć w każdej chwili. Ludzie z tak poważnymi oparzeniami w więk-

szości przypadków umierali. Ja jednak przeżyłam z jakiegoś powodu. To musiał być cud. Miałam spaloną jedną czwartą ciała. Powrót do jakiegoś takiego zdrowia zajął mi wiele lat.

Shigeko Sasamori miała dwie siostry i brata, ale szczęśliwie dla nich rodzeństwo było tego dnia poza Hiroszimą. 6 sierpnia 1945 r. 13-latką straciła sześcioro członków rodziny: wujków, ciocie i kuzynki. Inni krewni zmarli po latach na chorobę popromienną. Oboje rodzice Shigeko Sasamori zachorowali na raka, który ostatecznie ich zabił. Ona sama również cierpi na tę chorobę. Z jej ustaleń wynika, że koleżanka, która w momencie wybuchu stała obok niej, nie przeżyła ataku atomowego.

W 1955 r. Sasamori wyjechała z Hiroszimy do USA, korzystając z programu pomocy ofiarom wybuchów bomb atomowych. W Ameryce przeszła wiele operacji plastycznych i rozpoczęła studia pielęgnarskie, ponieważ – jak wspomina – jej marzeniem było „zostać pielęgniarką i troszczyć się o innych tak, jak o mnie się troszczono po ataku atomowym”. W Ameryce włączyła się w działalność ruchu antyatomowego. W 2011 r. za swoją działalność została uhonorowana specjalną nagrodą przez Fundację Pokoju w Erze Nuklearnej. Sasamori jest jedną

z bohaterek filmu dokumentalnego „Białe światło, czarny deszcz” opowiadającego historii hibakusha. Dziesięć lat temu, podczas premiery filmu na temat atomowego ataku na Hiroszimę, Sasamori miała okazję spotkać się z Theodore’em Van Kirkiem (1921–2014), nawigatorem „Enola Gay”.

– Oboje pojawiliśmy się w tym filmie, więc zaproszono nas na premierę. Oczywiście wydźwięk filmu był jednoznaczny: nigdy więcej wojny atomowej. Byłam bardzo szczęśliwa, że oto człowiek, który zrzucił tę bombę na moje miasto, na starość walczy o pokój na świecie. Po filmie rozgorzała dyskusja. Jednym z jej uczestników był właśnie Theodore Van Kirk. Usłyszał z sali pytanie: „Jeżeli jeszcze raz miałby pan przeżyć ten dzień, to czy zrobiłby pan to samo?”. Van Kirk odpowiedział bez wahania: „Oczywiście!”. Poczulałam się fatalnie, gdy usłyszałam z jego ust te słowa. Van Kirk był wręcz dumny z tego, że brał udział w tym bombardowaniu! Odjęło mi po prostu mowę.

Van Kirk starał się mnie przekonać, że dzięki zrzućeniu bomby udało się przyspieszyć koniec wojny. Zrobiło mi się żal tego człowieka, ponieważ to oczywista nieprawda. Chociaż rozumiem przy tym, że ci ludzie autentycznie w to wierzą. Tak im przecież mówiono. W rzeczywistości Japonia w tamtym momencie była już na kolanach i nie mogła kontynuować wojny. Cierpieliśmy nędzę, przemysł nie miał surowców na wspieranie armii. Amerykanie doskonale o tym wiedzieli. Nie byłoby żadnej inwazji, nasz kraj poddałby się i bez bombardowania atomem.

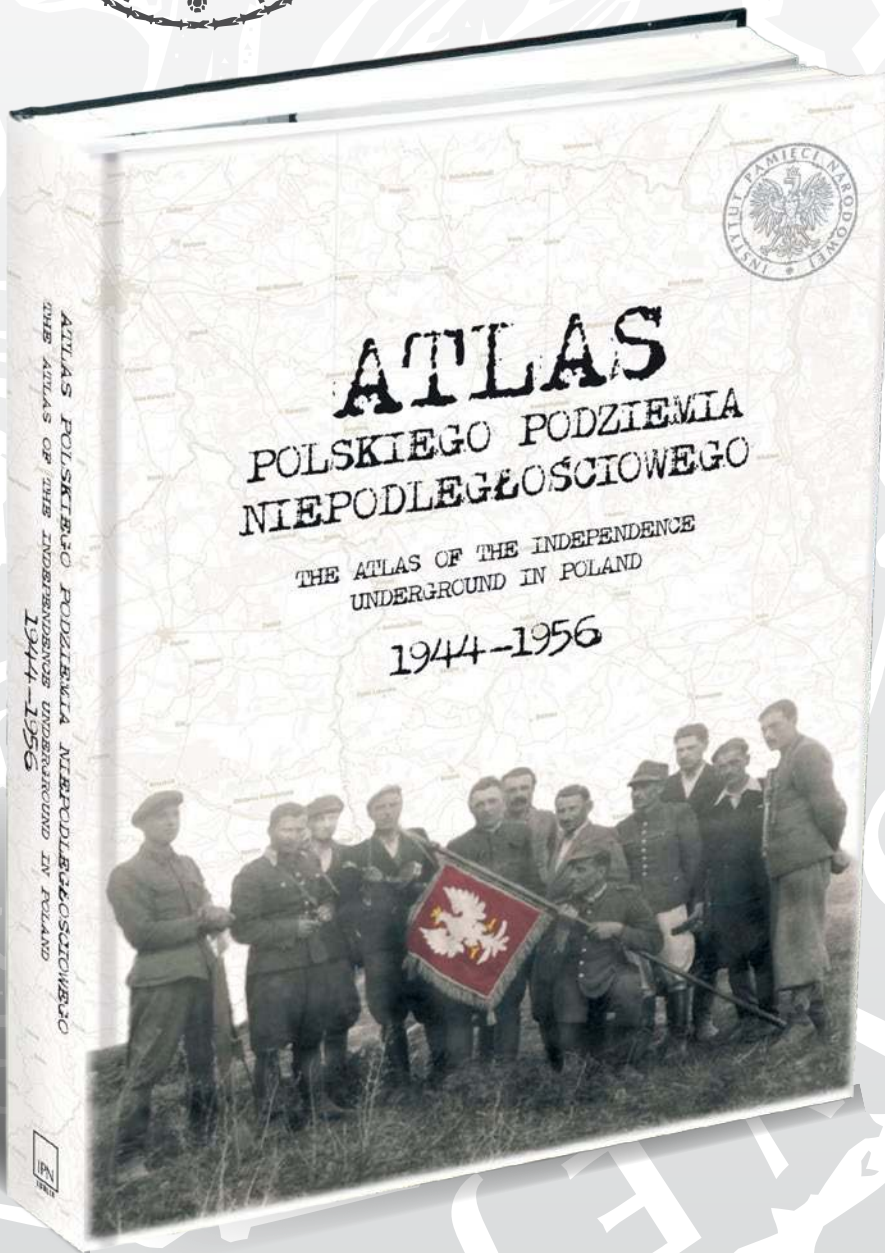
Waszyngton do dziś przekonuje jednak, że zrzućenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki było konieczne, ponieważ mimo wyniszczających nalotów konwencjonalnych Japonia nie zamierzała się poddać, co groziło koniecznością przeprowadzenia niezwykle krwawej inwazji na Wyspy Japońskie. Sasamori uważa jednak, że tak naprawdę chodziło o co innego.

– Amerykanie mogli jeszcze trochę poczekać, ale oni po prostu chcieli zrzucić tę bombę. Jeśli już się rozpocznie walkę, to chce się ją zakończyć totalnym zwycięstwem. Skoro Amerykanie stworzyli nowy rodzaj bomby, a koniec wojny był już bardzo bliski, to spieszyli się, żeby zdążyć ją jeszcze przetestować w warunkach wojennych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wydawnictwo IPN poleca!



**Nowe, poprawione
i uzupełnione
wydanie!**

Atlas prezentuje zasięg i struktury organizacji konspiracyjnych oraz zbrojną aktywność polskiej partyzantki powojennej.

Publikacja jest unikatowa ze względu na szczególność prezentowanych treści historycznych oraz bogactwo informacji z zakresu najnowszej historii Polski.

Już w sprzedaży!

Szukaj w księgarniach IPN i punktach sprzedaży w całej Polsce

Spotkaj nas na  : @ksiegarnia.ipn

Zostań w domu i kup na ipn.poczytaj.pl

Projekt Manhattan / 85 proc. Amerykanów poparło decyzję Trumana

Etyka bomby A

Test nuklearny na pustyni w Nowym Meksyku, lipiec 1945

FOT. UNITED STATES DEPARTMENT OF ENERGY/WIKIPEDIA



Piotr Włoczyk

Część naukowców pracujących przy Projekcie Manhattan protestowała przeciw zrzucaniu bomby na japońskie miasta. Prowadzone od dwóch lat naloty dywanowe uodporniły jednak amerykański rząd na wszelkie wątpliwości natury moralnej

Operacja została przeprowadzona dziś rano. Nie ma jeszcze pełnej diagnozy, ale rezultaty wydają się być zadowalające, wręcz przekraczają oczekiwania. Dr Groves jest usatysfakcjonowany – wiadomość tej treści dotarła 16 lipca 1945 r. do Harry'ego Trumana. Amerykański prezydent przybył właśnie do Europy, by wziąć udział w rozpoczynającej się

następnego dnia konferencji poczdamskiej. Treść wiadomości musiała wywołać na jego twarzy olbrzymi uśmiech.

„Operacją” była pierwsza eksplozja atomowa w dziejach ludzkości, tzw. test Trinity. Bomba plutonowa nazwana „Gadżetem” miała moc równą 20 tys. ton trotylu. Grzyb atomowy sięgnął wysokości 12 km, a huk eksplozji słychać było nawet 160 km dalej. Wymieniony w melodramacie „Dr Groves” w rzeczywistości był

generałem Leslieem Grovesem, szefem Manhattan Engineer District, zwanego potocznie Projektem Manhattan.

Dzień później do Białego Domu wpłynęła petycja napisana przez fizyka Leó Szilárda, którą podpisało 69 innych naukowców pracujących w Projekcie Manhattan. „Do niedawna baliśmy się, że w czasie tej wojny Stany Zjednoczone mogą zostać zaatakowane bombami atomowymi i jedyną obroną będzie kontratak z wykorzystaniem tej samej broni. Dziś, gdy Niemcy zostały pokonane, tego niebezpieczeństwa już nie ma” – stwierdzali naukowcy. Podpisani pod petycją do Trumana apelowali, by użycie bomb atomowych przeciwko Japonii było absolutną ostatecznością, gdy jasne się stanie, że żadna inna metoda nie zmusi tego kraju do kapitulacji.

„Wynalezienie broni atomowej da państwu nowe metody niszczenia przeciwników. Bomby atomowe, które obecnie mamy do dyspozycji, to zale-

mieć bombę. To właśnie on stał za innym listem, który w sierpniu 1939 r. trafił do Białego Domu. Podpisał się pod nim sam Albert Einstein. List był jednoznacznym wezwaniem amerykańskiego rządu do rozpoczęcia prac nad budową bomby atomowej.

O ile jednak apel z 1939 r. trafił na biurko Roosevelta i spowodował pożądaną reakcję, o tyle petycja z lipca 1945 r. nie została nawet doręczona amerykańskiemu prezydentowi. Amerykański rząd był już bowiem zdecydowany, by użyć tej broni przeciw japońskim miastom.

Przerazająca demonstracja

Profesor Farrington Daniels, dyrektor Met Lab na University of Chicago, które w ramach Projektu Manhattan prowadziło badania nad plutonem, zrobił wśród pracujących pod sobą 150 naukowców sondę na temat użycia broni atomowej (50 z nich podpisało petycję Szilárda).

15 proc. nie miało wątpliwości, że Amerykanie powinni użyć bomb atomowych przeciw Japonii, by zminimalizować straty własnych żołnierzy. 46 proc. opowiadało się za zrzuceniem bomby atomowej na niezamieszkane terytorium Japonii, by pokazać jej siłę. W przypadku, gdyby ostrzeżenie to zostało zignorowane, Ameryka miała według nich pełne prawo do użycia broni atomowej na zaludnionym terenie. 26 proc. było za sprowadzeniem do USA japońskich naukowców, by przeprowadzić na ich oczach test atomowy. Delegacja zostałaby następnie odesłana do Japonii, by mogła poinformować tamtejsze władze o skutkach testu. 11 proc. wykluczało użycie bomby w innych celach niż demonstracja w warunkach poligonowych. 2 proc. opowiadało się przeciw użyciu broni atomowej w wojnie z Japonią, a ponadto postulowało pełne utajnienie efektów Projektu Manhattan.

Inaczej wyglądała sytuacja w sercu amerykańskiego programu atomowego – Los Alamos. Rządzący nim żelazną ręką prof. Robert Oppenheimer (dyrektor naukowy projektu) jak taran parł do celu, dbając o utrzymanie odpowiedniej atmosfery w tym ośrodku.

– Naukowcy z Los Alamos nie wyrażali raczej zbyt wielu wątpliwości natury moralnej. Zmieniło się to nieco po teście Trinity, ale te głosy wciąż nie były zbyt głośne. Dopiero po Hiroszimie naukowcy zaczęli głośno wyrażać wątpliwości etyczne – mówi „Historii Do Rzeczy” prof. Alex Wellerstein, historyk ze Stevens Institute of Technology w New Jersey, badający amerykański program atomowy. – Sceptycy z Chicago byli przez wojsko trzymanymi w zasadzie w izolacji. Starano się nie dopuszczać tam do dyskusji na temat użycia broni.



Generał Leslie R. Groves i prof. Robert Oppenheimer

FOT. U.S. ARMY CORPS OF ENGINEERS/WIKIMEDIA

– Brytyjscy i amerykańscy naukowcy zaczęli pracować nad bombą w atmosferze strachu przed niemieckim programem atomowym. Wiedzieli oni, że przed taką bombą nie byłoby innej obrony niż tylko groźba odwetu z użyciem takiej samej broni. Żydowski fizyk, który musieli uciekać najpierw do Anglii, a następnie do USA, rozumieli od samego początku, jak ważne było odstraszenie – mówi „Historii Do Rzeczy” Richard Rhodes, autor wyróżnionej Nagrodą Pulitzera książki „Jak powstała bomba atomowa”.

dwie pierwszy krok w tym kierunku. Praktycznie nie ma limitów, jeżeli chodzi o niszczycielską moc bomb, które będą opracowywane w przyszłości. Dlatego naród, który jako pierwszy użyje tych nowo wyzwolonych sił natury, będzie ponosił odpowiedzialność za otwarcie drzwi erze eksterminacji na niewyobrażalną skalę” – pisali naukowcy.

Podpisani pod listem pracowali nad bombą atomową w laboratoriach w Oak Ridge w stanie Tennessee i w Chicago. Pod listem nie było podpisu ani jednego naukowca z centrali projektu w Los Alamos. Leó Szilárd, żydowski emigrant z Węgier, który zorganizował tę grupę sceptyków, był jednym z kluczowych mózgow Projektu Manhattan. To on jako pierwszy, jeszcze w 1933 r., wpadł na pomysł przeprowadzenia reakcji łańcuchowej.

Przez długi czas, dopóty, dopóki Niemcy stanowiły zagrożenie, Szilárd nie miał żadnych wątpliwości, że Ameryka musi

■ Jak tłumaczy Rhodes, Amerykanie bali się, że skoro w grudniu 1938 r. w Niemczech po raz pierwszy rozszczepiono jądro atomowe, to Hitler może mieć przewagę na samym starcie. Jak pokazuje to list Einsteina do Roosevelta z 1939 r., początkowo wizja stworzenia amerykańskiej bomby atomowej nie wzbudzała w środowisku naukowym właściwie żadnych kontrowersji. – Pod koniec 1944 r., gdy ostatnie niemieckie zapasy uranu zostały przejęte przez nacierającą US Army, uznano, że atomowe zagrożenie ze strony Niemiec zostało zażegnane – wyjaśnia Richard Rhodes.

W związku z tym część pracujących w Projekcie Manhattan fizyków jądrowych, wśród których było wielu żydowskich imigrantów z Europy, zaczęła mieć coraz poważniejsze wątpliwości. Czy skoro wiadomo już było, że Hitler nie zagrozi nikomu atomem, Ameryka powinna wciąż pracować nad taką bronią? Amerykański rząd miał jednak już wówczas na celowniku nie tylko Japonię. Kiedy pod koniec 1944 r. James Chadwick, brytyjski fizyk pracujący przy budowie bomby atomowej, zapytał gen. Lesiego Grovesa, szefa Projektu Manhattan, dlaczego wciąż pracują nad tą bronią, skoro Niemcy nie stanowią już w tym kontekście zagrożenia, ten odpowiedział: „Ta bomba dobrze nam się przysłuży... Do trzymywania w szachu Rosjan”.

Richard Rhodes zwraca uwagę, że wśród pracujących w Los Alamos naukowców jedynie fizyk Józef Rotblat zrezygnował z udziału w Projekcie Manhattan wobec klęski III Rzeszy. Był to jedyny obywatel II RP (żydowskiego pochodzenia), który zaangażowany był w prace nad amerykańską bombą atomową. Rotblat po wojnie bardzo mocno włączył się w działalność ruchu antyatomowego. Był współtwórcą organizacji Pugwash, która do dziś zrzesza naukowców opowiadających się za rozbrojeniem atomowym. Amerykańscy krytycy przekonywali jednak, że Pugwash wykazywał w czasie zimnej wojny zbyt dużą wyrozumiałość dla Związku Sowieckiego. W 1995 r., w 50. rocznicę ataków atomowych na Hiroszimę i Nagasaki, Rotblat został – wraz z ruchem Pugwash – uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla.

– Zawsze tłumaczę moim słuchaczom, że wszelkie wątpliwości natury moralnej związane z użyciem atomu zostały na dobre rozwiane w 1943 r., gdy mizerne



Leó Szilárd FOT. WIKIMEDIA COMMONS

rezultaty bombardowań niemieckich fabryk sprawiły, że najpierw Anglia, a następnie Ameryka rozpoczęły naloty dywanowe – mówi Richard Rhodes. – Stała za tym następująca logika: jeżeli bombardowanie fabryk zabija cywilnych pracowników, to dlaczego moralnie nie do przyjęcia miałyby być bombardowanie ich domów i mieszkań znajdujących się dokoła fabryk? Gdy już te masowe bombardowania, czyli po prostu zabójstwa cywili, stały się rzeczą akceptowaną, ta sama logika została użyta w przypadku Japonii. Do momentu, gdy zbombardowano Hiroszimę, konwencjonalne naloty wypaliły centralne dzielnice wszystkich japońskich miast liczących więcej niż 50 tys. mieszkańców. Przypomnijmy tylko, że pierwszy nalot na Tokio z użyciem bomb zapalających (marzec 1945 r.) zabił ponad 140 tys. i poważnie ranił ponad pół miliona cywili.

Bez konkurencji

Projekt Manhattan oficjalnie rozpoczęto w sierpniu 1942 r., ale w rzeczywistości prace nad amerykańską bombą zaczęły się jeszcze w 1939 r. W październiku tego roku swoją działalność rozpoczęła Komisja Doradcza ds. Uranu. W programie atomowym w okresie największego natężenia robót pracowało ponad 130 tys. Amerykanów. Projekt Manhattan kosztował amerykańskich podatników ok. 2 mld dol. Dziś to równość ok. 30 mld dol. Z perspektywy nie wydaje się on szczególnie drogi, skoro obecnie budowa tylko jednego lotniskowca to koszt ponad 10 mld dol.

– Tak naprawdę to nie był prawdziwy wyścig. W zasadzie jedynie USA serio się ścigały. Ameryka była jedynym krajem

w czasie drugiej wojny światowej, który prowadził prawdziwy program atomowy. Stało się tak dlatego, że Amerykanie bali się niemieckiej bomby A bardziej, niż Niemcy obawiali się amerykańskiej – podkreśla prof. Wellerstein. – USA były jedynym krajem, który był gotów przeznaczyć nieograniczone zasoby w celu szybkiego zbudowania broni nuklearnej. Dużo uwagi poświęca się środkom, które Amerykanie przeznaczyci na stworzenie bomby atomowej, ale jeszcze ważniejsza była wola Waszyngtonu, by dopiąć tego celu. Niemcy woleli wykorzystywać swoje zasoby na inne rodzaje broni, np. na rozwijanie technologii rakietowej.

– Żaden z innych krajów, które myślały o stworzeniu broni atomowej, nie miał potencjału przemysłowego, by osiągnąć taki cel w czasie wojny. Anglia planowała prowadzić taki program samodzielnie, używając Kanady jako bazy surowcowej, ale w związku z tym, że jej terytorium było bombardowane przez Niemców, Churchill stwierdził, że praktycznym rozwiązaniem będzie zawiązanie partnerstwa z USA – mówi Richard Rhodes. – Hitler tak naprawdę nie był do końca zainteresowany tym programem – wolał skupić się na rakietach. Podobnie myślał Stalin, który podejrzewał, że cała ta sprawa to sposób Amerykanów na wydrenowanie zasobów Związku Sowieckiego. Stalin na poważnie zainteresował się tą sprawą dopiero wówczas, gdy usłyszał o rezultatach bombardowania Hiroszimy. Z kolei Japończycy nigdy nie wyszli poza prace laboratoryjne, ponieważ zdawali sobie sprawę, że nie mają takiego potencjału przemysłowego. Do samego tylko wzbogacenia uranu potrzebowaliby więcej miedzi, niż byli w stanie wyprodukować w ciągu roku, a także jedną trzecią wytwarzanej w Japonii energii elektrycznej.

Sondaż Instytutu Gallupa przeprowadzony tuż po zrzuceniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki pokazał, że 85 proc. Amerykanów popierało decyzję Trumana. W 1991 r. odsetek ten stopniał do 63 proc. Obecnie decyzję o atakach atomowych na Japonię popiera nieco ponad 50 proc. Amerykanów. Z kolei w Japonii 79 proc. respondentów uważa za bombardowanie Hiroszimy i Nagasaki za nieusprawiedliwione, ale – co ciekawe – aż 14 proc. Japończyków twierdzi, że Amerykanie mieli pełne prawo zrównać w ten sposób z ziemią oba miasta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone


Już 19 kwietnia w „Do Rzeczy” dodatek

DODATEK SPECJALNY - część 7

Ideologia LGBT
na uczelniach

- Gender studies - nauka czy manipulacja?
- Ojcowie ideologii gender/LGBT
- Dlaczego ideolodzy gender chcą odrzucenia płci biologicznej

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI  FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI
www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl/a9472a0aee

Po ataku na Hiroszimę

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

Debata / Spór o atomowy nalot na Japonię

Czy bomby skróciły wojnę?



Piotr Zychowicz

/ Ataki na Hiroszimę i Nagasaki były wojenną koniecznością – twierdzili Amerykanie. W ten sposób usprawiedliwiali zagładę cywili

Amerykanie w 1945 r. z pełną premedytacją zrzucili bomby atomowe na ludność cywilną. Dobrze zdając sobie sprawę, że pociągnie to za sobą śmierć dziesiątek tysięcy niewinnych ludzi. Mężczyzn, kobiet i dzieci.

Podstawowe pytanie brzmi: Dlaczego? Jaki był cel tego czynu? Amerykanie na swoje usprawiedliwienie podawali – i do dziś podają – trzy argumenty:

1. To była kara (no bo przecież nie zemsta!) za zradziecki atak na Pearl Harbor.

2. To był jedyny sposób, żeby skłonić Cesarstwo Japonii do kapitulacji.

3. Gdyby nie doszło do ataków na Hiroszimę i Nagasaki, amerykańska armia musiałaby dokonać inwazji, która pochłonełaby „miliony” istnień ludzkich po obu stronach konfliktu. Bomba skróciła więc wojnę.

Zgodnie z tą „logiką” zrzucenie bomb atomowych na ludność cywilną jawi się jako akt pacyfizmu i humanitaryzmu. W gruncie rzeczy Amerykanie zrobili to dla dobra ludzkości i samych Japończyków. Japonia powinna im za to podziękować.

Należy jasno powiedzieć – to nieprawda.

Dar od Boga

9 sierpnia 1945 r. w uroczystej mowie radiowej do narodu amerykańskiego prezydent Harry Truman powiedział:

Świat zapamięta, że pierwsza bomba atomowa została zrzucona na Hiroszimę. Bazę wojskową. Stało się tak dlatego, że w pierwszym ataku chcieliśmy uniknąć zabijania cywilów. Ten atak jest ostrzeżeniem przed tym, co może nadejść. Jeżeli Japonia się nie podda,

bomby będą zrzucone na jej ośrodki przemysłowe i – niestety – tysiące niewinnych istnień ludzkich zostanie stracone. Wzywam japońskich cywilów do natychmiastowego opuszczenia miast przemysłowych i uratowanie się przed destrukcją. Dziękujemy Bogu, że dał broń atomową nam, a nie naszym wrogom. Modlimy się, aby Wszchemogący kierował nami w ten sposób, abyśmy używali tej broni zgodnie z Jego zamierzeniami i celami.

Licząca 318 tys. mieszkańców Hiroszima oczywiście nie była żadną „bazą wojskową”. Była celem cywilnym. Nalot nie był zaś żadnym „ostrzeżeniem”. Był przeprowadzonym z pełną premedytacją atakiem zaplanowanym tak, żeby unicestwić jak najwięcej ludzkich istnień.

Na punkt, na który miała spaść bomba, Amerykanie wybrali charakterystyczny, doskonale widoczny z powietrza most Aioi na rzece Ōta. Konstrukcja w kształcie litery T znajdowała się w samym środku Hiroszimy, w jednej z najgęściej zaludnionych dzielnic, Nakajima-chō. Obiekty wojskowe znajdujące się na obrzeżach miasta nie były celem nalotu.

W swoim wystąpieniu z 9 sierpnia 1945 r. prezydent Truman po raz pierwszy podał do publicznej wiadomości propagandowe uzasadnienie eksterminacji japońskich cywili, które obowiązują do dziś.

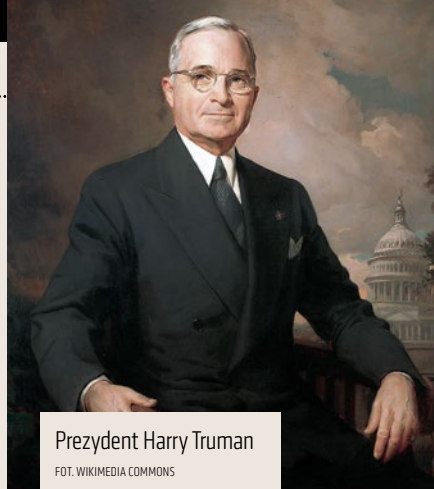
Użyliśmy bomby przeciwko tym, którzy bez ostrzeżenia zaatakowali nas w Pearl Harbor – oświadczył. – Przeciwko tym, którzy bili, głodzili i zabijali amerykańskich jeńców. Przeciwko tym, którzy nie przestrzegali żadnych międzynarodowych zasad prowadzenia wojny. Zrobiliśmy to po to, żeby skrócić wojenne cierpienia i ocalić życie wielu tysięcy młodych Amerykanów. Będziemy używać tej broni dopóty, dopóki całkowicie nie pozabawimy Japonii siły do prowadzenia wojny.

Zastanówmy się kolejno nad tymi trzema argumentami:

ARGUMENT 1. Odwet za Pearl Harbor

Pierwszy argument prezydenta Harry'ego Trumana odwoływał się do chęci pomśzczenia krzywd, których ze strony Japończyków doznali Amerykanie. Trudno jednak nie zauważyć, że owa zemsta była nieproporcjonalna.

Japończycy rzeczywiście zaatakowali amerykańską flotę w Pearl Harbor z zaskoczenia. Jest to jednak taktyka powszechnie stosowana przez wiele państw świata. Amerykanie, atakując i niszcząc w XX w. rozmaite państwa w różnych miejscach globu, również nie przesyłali im wcześniej oficjalnej deklaracji wypowiedzenia wojny.



Prezydent Harry Truman

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Najważniejsza różnica między Hiroszimą i Nagasaki a Pearl Harbor polegała jednak na czymś innym. Japońskie miasta były celami cywilnymi, a amerykański port był celem wojskowym. Japońskie samoloty, które 7 grudnia 1941 r. przyspuściły atak na Hawaje, miały wyraźny, surowy zakaz bombardowania Honolulu. Zakaz ten wydany został przez dowództwo japońskiej floty z pobudek humanitarnych.

W efekcie w ataku na Pearl Harbor zginęło 68 cywili. Resztę stanowiły ofiary wojskowe. Jeżeli więc przyjmiemy, że w Hiroszynie i Nagasaki zginęło minimum 130 tys. ludzi, proporcja zabitych wyniesie 1 do 1912. Za każdego zabitego hawajskiego cywila Amerykanie cztery lata później zabili ok. 2 tys. cywili japońskich.

Podobnie rzecz się ma z zemstą za mordy na jeńcach wojennych. Amerykanie podczas wojny na Pacyfiku również bowiem mordowali jeńców. Opowieści prezydenta Trumana, że należało ukarać tych, którzy „nie przestrzegali żadnych międzynarodowych zasad prowadzenia wojny”, należy więc uznać za przykład hipokryzji.

W całej sprawie najważniejsze jednak jest co innego. Nie chodzi tu przecież o licytowanie się, jeśli chodzi o liczby. Chodzi o to, że prezydent Truman nie mówił prawdy, gdy deklarował, że bomby spadły na tych, którzy dokonali ataku na Pearl Harbor i pastwili się nad amerykańskimi jeńcami. Bomby spadły na kogoś zupełnie innego.

Niemowlęta spalone w Nagasaki nie obcinały głów amerykańskich jeńców. Rozerwane na strzępy uczennice ze szkoły podstawowej w Hiroszynie nie siedziały w kokpitach samolotów atakujących Pearl Harbor.

Dla Trumana nie było różnicy między cywilem i żołnierzem – pisze Paul Ham w książce „Hiroszima Nagasaki”. – Między matką a potworem. W totalnej wojnie rasowej nie było miejsca na takie subtelności.

Zwycięzca wyznaczał zasady prowadzenia wojny. „Naród japoński” dopuścił się zbrodni na Amerykanach, przekonywał Truman. „Oni” złamali prawa wojny. Zatem „oni” muszą zapłacić za zbrodnie swoich władców. Truman reprezentował pogląd większości Amerykanów, że „Japońce” ponoszą odpowiedzialność zbiorową.

Stosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej i mordowanie ludzi dlatego, że należą do jakiejś nacji, jest oczywiście niedopuszczalne.

To, że japońska armia popełniała zbrodnie wojenne, jest poza dyskusją. Każda z nich była przerażająca i każda była godna potępienia. Jednak to, że jedna strona konfliktu łamie zasady, nie oznacza, że druga strona może odpowiadać tym samym. A w interesującym nas przypadku odpowiadać stokroć bardziej okrutnie i brutalnie.

ARGUMENT 2. Tylko tak można było zapobiec inwazji

Truman i inni amerykańscy politycy po wojnie utrzymywali, że zrzucone bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki było jedynym sposobem na szybkie zmuszenie rządu Japonii do kapitulacji. Alternatywą dla bomby atomowej była rzekomo amerykańska inwazja na Wyspy Japońskie.

Inwazja taka miałaby spowodować kolosalne straty ludzkie. Japonię trzeba byłoby zdobywać „jaskinię po jaskini”. Wszyscy mieszkańcy Japonii – 70 mln ludzi – zamieniliby się w jedną wielką armię fanatyków, która broniłaby do ostatniej krwi każdej piędzi ojczyźnej ziemi.

Truman raz mówił, że zrzucone bomby na Hiroszimę i Nagasaki uratowało ćwierć miliona amerykańskiej i japońskiej młodzieży. Innym razem, że pół miliona lub nawet milion. Gdy podczas publicznych przemówień porywały go wena i nastrój chwili, potrafił powiedzieć, że dwa atomowe błyski nad Japonią ocaliły nawet „miliony istnień”.

Tezy te podchwyciły amerykańskie środki masowego przekazu. Powstały tysiące artykułów, audycji, a potem książek i hollywoodzkich filmów przedstawiających tę wersję. Amerykanie – dzięki potędze i atrakcyjności swojej kultury masowej – przekonali do nich kawał świata.

Wyliczenia te były cytowane wszędzie, aby uzasadnić użycie broni atomowej – pisał Paul Ham. – Był to klasyczny przykład usprawiedliwiania czynów przeszłości poprzez informacje, które nie były znane w momencie podejmowania decyzji. W 1945 roku

nikt, kto miał jakikolwiek wpływ na amerykańską politykę, nie przewidywał tak astronomicznych strat podczas inwazji.

Jakie były rzeczywiste przewidywania? Pentagon na naradzie, która odbyła się 18 czerwca 1945 r., przedstawił szacunki, według których w czasie pierwszych dwóch tygodni inwazji amerykańskie straty wyniosą 31 tys. poległych.

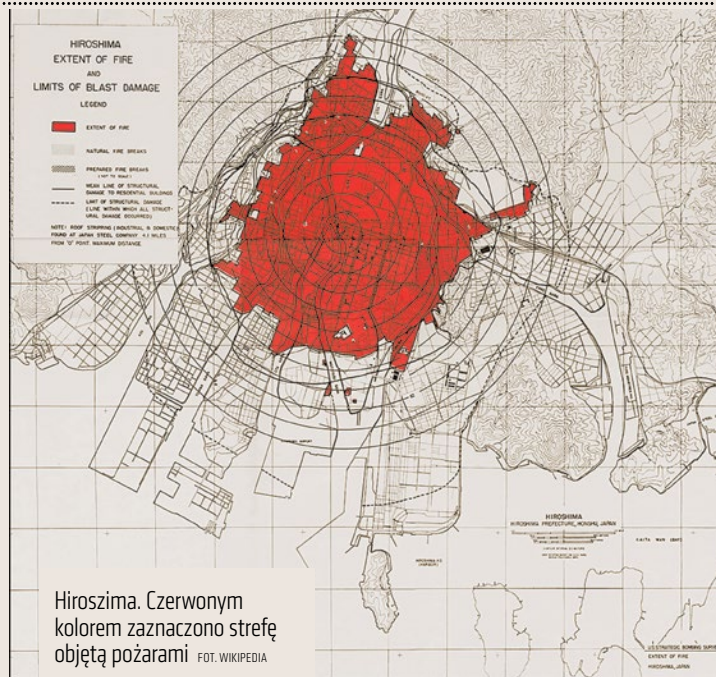
Z kolei adm. Ernest King uważał, że w inwazji zginie ok. 36 tys. żołnierzy. Znacznie wyższe szacunki podane przez adm. Williama Leahy'ego i byłego prezydenta Herberta Hoovera uznano za bezpodstawne. Dla porównania – amerykańskie straty podczas krwawego lądowania w Normandii wyniosły 42 tys. ludzi. Armia japońska w porównaniu z Wehrmachtem była zaś śmiesznie słaba.

Co jednak najważniejsze – atak atomowy na japońskie miasta w 1945 r. nie był wcale traktowany przez amerykańskich dowódców jako alternatywny dla inwazji na wyspy macierzyste. Przeciwnie, generałowie uważali, że nowa broń ma jedynie utorować drogę dla sił lądowych.

Generał Douglas MacArthur przewidywał, że na Japonię spadnie dziewięć bomb w trzech rzutach. A potem na atomową pustynię wkroczy piechota. Dowództwo US Army zamówiło ekspertyzy naukowe, by ustalić, czy żołnierze mogą bezpiecznie maszerować po terenach spustoszonych przez eksplozję atomową. Czy może lepiej będzie zdobyć je za pomocą czołgów.

Wszystkie te sztabowe dywagacje okazały się bezprzedmiotowe. Prezydent Harry Truman ostatecznie bowiem... wykluczył możliwość inwazji. I to tydzień przed pierwszym udanym testem atomowym w Nowym Meksyku! Uznał bowiem słusznie, że w obliczu agonalnego stanu, w jakim znalazły się gospodarka, armia i flota Japonii, inwazja jest po prostu niepotrzebna.

Nieależnie od tego, czy pochłonęłaby życie 31 tys., 36 tys. czy 50 tys. Amerykanów, po prostu nie warto było jej przeprowadzać. Nie była warta życia ani jednego amerykańskiego żołnierza.



Prezydent był zbyt sprytnym politykiem – pisał Paul Ham – żeby ryzykować polityczne samobójstwo poprzez utratę tylu młodych ludzi w walce z reżimem, o którym wszyscy w Waszyngtonie wiedzieli, że został już praktycznie pobity. W tym kontekście bomba nie miała być substytutem inwazji z tego prostego powodu, że Truman nie miał najmniejszego zamiaru jej przeprowadzić. Nie mógł tego powiedzieć po wojnie, bo to obnażyłoby jego twierdzenie, że bomba uratowała „milion” ludzkich istnień.

To jest właśnie sedno tej sprawy. Wbrew późniejszym opowieściom do pokonania Japonii wcale nie były potrzebne bomby atomowe. Dlaczego? Ponieważ Japonia w momencie ich zrzućcia była już pokonana!

Australijski historyk w książce „Hiroshima Nagasaki” wskazuje na cztery przyczyny japońskiej klęski.

Po pierwsze, Stany Zjednoczone pokonały japońską gospodarkę. Udało się to osiągnąć dzięki blokadzie morskiej, która odciąła cesarstwo od surowców i produktów żywnościowych z Azji Południowo-Wschodniej. W efekcie Japonia w połowie 1945 r. nie miała już możliwości kontynuowania wojny. Nie miała stali, ropy, aluminium, gumy. Ani żywności.

Efekt braku surowców był dla japońskiej maszyny wojennej dewastujący. Cesarskie stocznie stały beczynnymi – nie powstawały w nich nowe okręty. Z taśm produkcyjnych nie zjeżdżały samoloty. A te nieliczne maszyny, które pozostały, były unieruchomione z braku paliwa. Blokada morska była znacznie skuteczniejszym środkiem w walce z Japonią niż sto bomb atomowych.

Po drugie, USA pokonały japońską flotę. To, co było najbardziej niebezpieczną bronią i największym atutem militarnym cesarstwa, w 1945 r. przestało istnieć.

Po trzecie, Stany Zjednoczone pokonały japońskie lotnictwo. Z potężnej floty powietrznej, która w grudniu 1941 r. starła na miążgę amerykańskie okręty w Pearl Harbor, nic nie zostało. Lotnictwo cesarskie nie miało maszyn, paliwa, a nawet przyzwoicie wyszkolonych pilotów.

Ktoś może powiedzieć, że Japończycy również zestrzelili amerykańskie samoloty i zatopili okręty. Oczywiście, ale w miejsce każdego zestrzelonego samolotu rozpędzona machina przemysłowa USA produkowała kilka kolejnych. A w miejsce każdego zatopionego okrętu amerykańskie stocznie wodowały kilka nowych. Japończycy zaś swoich strat nie byli już w stanie uzupełniać.

Wreszcie czwarta sprawa. W opłakanym stanie znajdowała się armia lądowa. Po straszliwych, okupionych kolosalnymi stratami klęskach na Saipanie, Okinawie, Iwo Jimie, Filipinach i innych strategicznych punktach Pacyfiku śmietanka bojowa japońskiej armii leżała sześć stóp pod ziemią. Morale reszty było zaś w stanie rozkładu.

Amerykanie szacowali, że Japończycy mogliby przeciwko siłom inwazyjnym wystawić co najwyżej 35 kiepsko wyszkolonych i kiepsko uzbrojonych dywizji. Do tego 14 dywizji rezerwowych będących de facto pospolitym ruszeniem wyposażonym w bambusowe włócznie i łuki. To towarzystwo mogło zrobić wiele hałasu, ale nie mogłoby odwrócić biegu nowoczesnej wojny.

Japonia była smokiem, któremu wyrwano kły. Bezzębna bestia. Atomowe naloty na Hiroszimę i Nagasaki przypominają więc razez pastwienie się nad śmiertelnie rannym, rżącym zwierzęciem. A nie – jak twierdził Truman – cios zadany wciąż bardzo groźnej bestii.

ARGUMENT 3. Bomby zmusiły Japonię do kapitulacji

Ten argument również był zmyślony. Amerykanie przed podjęciem decyzji o zrzuconiu bomb atomowych nie tylko dobrze wiedzieli, że Japonia już leży na deskach.

Wywiad USA dekodował bowiem japońskie szyfry. Z przejętych depech dyplomatycznych Tokio dowiedział się, że Japończycy gotowi są na kapitulację. Pragnęli jedynie w tej rozpaczliwej sytuacji zachować twarz i uniknąć upokorzenia. Dla tego dumnego narodu była to sprawa życia i śmierci.

O co chodziło konkretnie? Otóż Japończycy nie chcieli się zgodzić na alianckie żądanie bezwarunkowej kapitulacji. Chcieli kapitulować honorowo. Ich warunkiem było zagwarantowanie przez zwycięskich aliantów, że po wojnie cesarz Hirohito będzie mógł nadal zasiadać na tronie Japonii. Nic poza tym.

Właśnie tę kwestię Japończycy próbowali wynegocjować z Amerykanami za pomocą nieoficjalnych kanałów. Starali się skłonić do mediacji i pośrednictwa Związek Sowiecki. Inne próby podjęcia rozmów pokojowych z Waszyngtonem podjęli na terenie krajów neutralnych: Szwecji, Watykanu i Szwajcarii. Od połowy 1945 r. Japończycy desperacko starali się zakończyć wojnę.

Do zakończenia wojny nie była więc potrzebna ani bomba atomowa, ani inwazja lądowa. Wystarczyło, by Ameryka zrezygnowała z żądania bezwarunkowej kapitulacji. Amerykanów otwarcie tej małej furtki dla Japończyków nic by nie kosztowało, bo – jak wiadomo – ostatecznie i tak się na to zgodzili. Hirohito pozostał głową państwa aż do śmierci w roku 1989.

Tymczasem zaś, aby zmiekczyć przeciwnika, Ameryka mogła dalej zaciskać obręcz blokady morskiej. I spokojnie czekać, aż – jak mawiają Japończycy – śliwka na tyle dojrzeje, że sama wpadnie jej w ręce.

Sceptyczny czytelnik może w tym momencie zapytać: Dlaczego w takim razie Japonia ogłosiła decyzję o kapitulacji 15 sierpnia 1945 r., tydzień po zniszczeniu Hiroszimy i Nagasaki? Czy to nie najlepszy dowód, że bomby atomowe jednak skróciły wojnę?

Nie, to tylko zbieżność dat. Z zachowanych japońskich dokumentów wynika niezbicie, że zniszczenie Hiroszimy

i Nagasaki nie było powodem kapitulacji cesarstwa.

Na twardogłowych militarystach – tworzących w Tokio frakcję prowojenną – utrata Hiroszimy i Nagasaki wcale nie zrobiła takiego wrażenia. Japońscy militaryści nigdy specjalnie nie przejmowali się losem ludności.

O wiele większe wrażenie zrobiło na nich przystąpienie do wojny na Pacyfiku Związku Sowieckiego, co nastąpiło 9 sierpnia 1945 r. Tego dnia potężny walec Armii Czerwonej zaczął się toczyć przez Mandżurię. Potem bolszewicy wysadzili desant na Kuryłach i zaatakowali południowy Sachalin. Podjęli marsz na Koreę.

Armia Kwantuńska, która uchodziła za doborową, najbardziej elitarną część sił zbrojnych cesarstwa, jak się okazało, była w stanie rozkładu. Stawiła niewielki opór siłom inwazyjnym. Sowietci bez trudu zajmowali kolejne japońskie terytoria.

Dla japońskich przywódców był to szok i potrójny cios. Po pierwsze, okazało się, że armia japońska jako siła obronna już nie istnieje. Po drugie, przed ich oczami stanęła przerażająca wizja Sowietów na ulicach Tokio i zamiany Japonii w państwo komunistyczne. Po trzecie, zgasła ostatnia nadzieja, że Stalin wynegocjuje dla Japonii honorowe warunki pokoju.

W tej beznadziejnej sytuacji – ocenili Japończycy – dalszy opór nie ma najmniejszego sensu. Trzeba natychmiast poddać się Amerykanom. 11 sierpnia wreszcie przyszła do nich z Waszyngtonu wiadomość, na którą tak bardzo

i desperacko czekali. Mowa o nocie Jamesa Byrnesa, która zagwarantowała Japończykom, że po wojnie będą mogli zachować system monarchiczny.

Cztery dni później cesarz Hirohito w orędziu wygłoszonym przez radio – poddani po raz pierwszy usłyszeli wówczas jego głos – ogłosił, że Japonia składa broń.

Jest więc jasne, że użycie bomby atomowej z punktu widzenia wojskowego nie miało sensu. Nie przyspieszyło zakończenia wojny nawet o jeden dzień.

W mojej opinii – pisał w pamiętnikach amerykański adm. William Leahy – użycie tej barbarzyńskiej broni w niczym nie pomogło w naszej wojnie przeciwko Japonii. Japończycy byli już pobici i gotowi do kapitulacji. A będąc pierwszymi, którzy użyli tej broni, przyjęliśmy etyczne standardy barbarzyńców z wieków ciemnych.

Do takich samych konkluzji doszła amerykańska komisja do spraw ustalenia skuteczności ofensywy powietrznej (USSBS). W lipcu 1946 r. ogłosiła ona raport, w którym stwierdziła, że użycie bomby atomowej było nieuzasadnione. Zanim spłonęły Hiroszima i Nagasaki, wojna była już bowiem wygrana.

O co więc chodziło? Po co Truman i jego współpracownicy zdecydowali się na zrzuconie dwóch bomb atomowych na ośrodki cywilne? Dlaczego wydali wyrok śmierci na 150 tys. niewinnych ludzi?

Otóż świat powoli wchodził w okres zimnej wojny. Stany Zjednoczone chciały więc pokazać Związkowi Sowieckiemu, na co je stać. Dwoma potężnymi tupnięciami osadzić sowieckiego niedźwiedzia i pokazać mu jego miejsce w szeregu.

Japonia? Japonia była już nieważna. Huk eksplozji nad Hiroszimą i Nagasaki miał przede wszystkim zatrzęsnąć szymbami w oknach gabinetu Józefa Stalina na Kremlu. To głównie dla niego został urządzony ten krwawy pokaz, ta demonstracja siły.

Japończycy zgładzeni w obu miastach byli więc pierwszymi ofiarami zimnej wojny. Jak wiadomo, również w tej sprawie kalkulacje Waszyngtonu okazały się fatalnie chybione. Bomby atomowe wcale nie spłoszyły niedźwiedzia. Ekspansja komunizmu w Azji i Europie Wschodniej nie została powstrzymana. A już po kilku latach czerwoni mieli własną broń nuklearną.

Smok został dobity, ale niedźwiedź się nie przestraszył.



Leczenie oparzeń popromiennych w szpitalu w Hiroszynie w 1945 r.

FOT. HIROSHIMA PEACE MEMORIAL MUSEUM

PRL / Dramatyczne dążenie na Zachód ku wolności

Ucieczki za morze

Kiedy patrzymy na ziemski globus, na którym dominują ogromne błękity oceanów, nasz Bałtyk wydaje się małą kałużą, której przemierzenie nie sprawi nikomu najmniejszych kłopotów. Tymczasem akwen ten bywa dla człowieka zdradliwy i groźny. W okresie supremaacji sowieckiej jego niewielkie rozmiary z jednej strony dawały Polakom nadzieję udanej ucieczki, ale z drugiej ułatwiały kontrolę komunistycznym funkcjonariuszom bezpieczeństwa oraz Wojskom Ochrony Pogranicza. Także natura często nie sprzyjała tym, którzy pragnęli uciec do „wolnego świata”.

Mimo burz i prądów

Częste zmiany pogody przynoszą burze i szkwały. Woda w Bałtyku jest zimna. Nawet latem jej temperatura na polskim wybrzeżu wynosi zwykle kilkanaście stopni. Kiedy wiatr zachodni przygania nagrzaną wodę z powierzchni, ludzie odważają się korzystać z kąpielisk, ale wiatr przeciwny sprzyja napływowi zimnej wody z głębin. Trzecia część pol-



Maciej Rosalak

/ Marynarze nie wracali na statki, piloci uprowadzali samoloty, a inni Polacy płynęli kutrami, łodziami, a nawet kajakiem, pontonem i wplaw

skiej strefy brzegowej objęta jest chłodnymi prądami wstępującymi i pływacy szybko kostnieją z zimna.

Szczególnie groźne są prądy strugowe, które występują blisko plaż, kiedy załamują się fale, a falochrony kierują ruch wody – zamiast wzdłuż wybrzeża – z powrotem na pełne morze. Siłę tych strug nie przeciwstawi się najlepszy pływak. Burze, zimno, fale i prądy – często spotęgowane charakterem akwenów – czekały na śmiałków również pod innymi szerokościami geograficznymi.

Najczęściej uciekali marynarze, którym najłatwiej było to uczynić i którzy na własne oczy widzieli wyższy poziom bytu i swobody życia na Zachodzie. Zwłaszcza od roku 1947, gdy komunistyczne władze dokreśliły śrubę oraz rozszerzyły sieć dostawców zarówno na okrętach wojennych, jak i na statkach handlowych. W razie podejrzenia ucieczki marynarza natych-

miast zdejmowano z pokładu. Postoje w portach zachodnich skracano, a zbiorowe wyjścia na ląd organizowano pod kontrolą „oficera kulturalno-oświatowego”, którym był funkcjonariusz UB. Za ucieczkę marynarza jego najbliższych wysiedlano z Wybrzeża, tracili pracę, mieszkanie i cierpieli nędzę.

Może dlatego na ogół uciekali najmłodsi, głównie chłopcy kuchenni i stewardzi. Oficerowie znacznie rzadziej decydowali się na ucieczkę. Na przełomie lat 40. i 50. statki Polskiej Marynarki Handlowej opuściło tylko czterech kapitanów. Najgłośniejsza była ucieczka w 1953 r. kpt. Jana Ćwiklińskiego, dowódcy flagowego statku PMH – transatlantyku „Batory”.

Od początku 1946 do września 1951 r. zeszło na ląd i na pokład nie powróciło 411 osób. W tym 217 osób uciekło z polskich statków w portach USA (niemal



Duńska wyspa Bornholm odległa od polskiego wybrzeża o 100 km. Często cel ucieczek

FOT. RADOSŁAW ORODZEWSKI/WIKIPEDIA

wszyscy w Nowym Jorku). W portach Ameryki Południowej zeszło z pokładów 45 osób, z czego 30 w Buenos Aires i, kolejno, w Santos i Montevideo. W Wielkiej Brytanii poprosiło o azyl 35 polskich marynarzy, 31 w Szwecji, 24 w Belgii, 21 w zachodnich Niemczech, 13 w Danii, a w portach francuskich – siedmiu. Dwóch wybrało wolność w Rotterdamie, a jeden w Helsinkach. W portach afrykańskich i azjatyckich pozostało 10 osób. O kilku brakujących w tym wyliczeniu marynarzach brak danych.

Próbowano uciekać także łądem – przez Czechosłowację do okupowanej przez aliantów strefy Niemiec – ale z granicami chronionymi przez liczne wartownie WOP i jeszcze bardziej brutalne oraz skuteczne służby pograniczne CSRS. Trasa przez Berlin zachodni wymagała z kolei wcześniejszego omińnięcia kontroli sowieckiej. Droga powietrzna była dostępna tylko dla nielicznych. Czmychnięcie przez Bałtyk wydawało się najłatwiejsze i na przykład w latach 1948–1949 odnotowano 22 udane ucieczki tą drogą.

W obrębie Bałtyku Polacy uciekali najczęściej na Bornholm, duńską wyspę położoną zaledwie 100 km w linii prostej od Kołobrzegu. Uprawdzali kutry rybackie (33 razy), a nawet samoloty wojskowe, ale bywało, że płynęli tu starymi łodziami wiosłowymi, zwykłymi kajakami czy nawet pontonem.

Z wystawy Bornholms Museum, która gościła w Gdańsku przed pięcioma laty, wynika, że w okresie 1947–1989 w 65 ucieczkach zbiegły z Polski Ludowej na Bornholm co najmniej 202 osoby. Najślawniejsza była ucieczka por. Franciszka Jareckiego na wojskowym odrzutowcu typu MiG-15 w marcu 1953 r. (patrz str. 79). Samolot stał się źródłem cennych dla NATO informacji o sowieckiej technologii. Wróćmy jednak na morze. Ucieczek

było na pewno znacznie więcej, a liczby osób, które utonęły w falach Bałtyku, nie osiągając swego celu – nie poznamy...

Za stalinizmu

Pierwsza fala ucieczek nastąpiła tuż po wojnie, kiedy na Zachodzie próbowali się schronić zwłaszcza zdecydowani przeciwnicy sowieckich porządków wprowadzanych w Polsce. Na ogół młodzi. Na decyzjach o ucieczce zaważyły: sfałszowane wybory, stopniowy zanik podziemia niepodległościowego, brak nadziei na zbrojną konfrontację mocarstw zachodnich z ZSRS. Zawiodły też oczekiwania na poprawę bytu. Poniżej przypomnę kilkunastu uciekinierów z okresu, w którym zapanował w Polsce szczególnie dotkliwy stalinowski terror.

Latem 1948 r. dwaj studenci z Gdańska – Jerzy Martula i Stanisław Rankin – ruszyli do Szwecji drewnianą łódką. Wprawdzie była wyposażona w żagiel, ale długość około 5 m, szerokość wynosząca mniej więcej 1,5 m i zanurzenie poniżej 1 m nie zapewniały spokojnego rejsu. A oni ze stoickim spokojem zwodowali swego „Ramara” na Martwej Wiśle i ruszyli, nie zwracając uwagi na posterunek WOP i krzyczących coś do nich żołnierzy. Przemierzali Zatokę Gdańską, w Jastarni zaopatrzyli się w chleb, wędzone szprotki oraz butle z wodą i wzięli kurs na Karlskronę – port odległy o 340 km w południowej Szwecji. Po przebyciu

dziesiątej części drogi, o północy wzmógł się wiatr, fale przelewały się przez burzę, a maszt zaczął pękać. Następnego dnia przestraszył ich... polski „Batory”. Obawiając się kontroli z jego strony, pozbyli się podejrzanych kompasów i map, a gdy transatlantyk minął ich obojętnie, nie wiedzieli, jak mają płynąć. Po 30 godzinach od wypłynięcia zaplątali się w sieci przy wybrzeżu zachodniemieckim, gdzie pomógł im szyper rybackiego kutra. On to ostatecznie dostarczył młodych Polaków wraz z „Ramarem” do Ystad w wymarzonej Szwecji.

W marcu 1949 r. były oficer Narodowych Sił Zbrojnych Jerzy Dobrzański postanowił wraz z towarzyszami broni przedostać się na Zachód kutrem, którego był współwłaścicielem. Załogę stanowiło trzech dobrze opłaconych Kaszubów, którzy potrafili nawigować i używać silnika, a wiedzieli jedynie, że na morzu niedaleko Helu uciekinierów przejmie duński kuter. Po nieudanej pierwszej próbie zabrania kolejnych pasażerów w pobliżu Sztutowa druga – w Stogach – się powiodła. Gdy jednak Kaszubi zorientowali się, że żadnego duńskiego kutra nie będzie, odmówili dalszej żeglugi. Ustąpili dopiero, gdy Dobrzański zagroził im bronią, ale przy pierwszej okazji uszkodzili kompas. Dalszą nawigację umożliwiła pomoc brytyjskich marynarzy z przypadkowo spotkanego statku. Bez dalszych przeszkód zawinęli do szwedzkiego portu Kalmar. Polski konsul ułatwił Kaszubom wyjazd do kraju, a Dobrzańskiemu wytoczył proces, oskarżając go o uprowadzenie kutra. Szwedzki sąd go jednak niewinnił.



Grudzień 1968 r. Rodzina Ciborowski na pokładzie kutra, którym uciekla na Bornholm

FOT. KONFRONTACJA.COM.PL

30 września 1953 r. na jachcie „Architekt” uciekli koledzy z klubu żeglarskiego: urodzony w Wilnie inżynier budowy okrętów Ludwik Zienkiewicz wraz z Jerzym Krasińskim i Janem Preussem. Zbrzydła im Polska Ludowa. W towarzystwie czwartego członka załogi Leszka X – niepoinformowanego o prawdziwym celu rejsu – skierowali się na szwedzką Gotlandię. Mapę Bałtyku Zienkiewicz starannie ukrył, bo za jej odkrycie na pokładzie groziło więzienie. Podczas odprawy w bosmanacie portu WOP-istów zainteresował jednak tylko duży zapas słodkiej wody na jednostce, która miała wypłynąć w krótki rejs szkolny. W końcu dali spokój i „Architekt” wypłynął w morze tuż po zapadnięciu zmroku, obierając początkowo kurs na Krynicę Morską, a następnie ku ostatecznemu celowi wyprawy. Rejs trwał 60 godzin, podczas których zerwał się sztorm, a uciekinierom mocniej zabiło serce. Otóż na mapie nie było dokładnych oznaczonych mielizn ani aktualnego spisu latarni morskich. W pewnym momencie niedaleko przepłynęły kutry powracające z połowów, jednak z ich pokładów nikt nie zauważył uciekającego jachtu. Wreszcie Polacy zawinęli szczęśliwie do szwedzkiego portu.

Pochodzący ze Śląska Zygmunt Resiak wraz z Witoldem Jarzyną ruszyli z okolic Niechorza w wielką podróż do Ameryki z przystankiem na Bornholmie. Na tamtejszym jeziorze Liwia Łuża, połączonym z morzem kilometrowym



Od lewej: Jan Preuss, Jerzy Krasiński i Ludwik Zienkiewicz rok po ucieczce

FOT. KULINSKI.ZAGLE.PL

kanalem, odkryli podczas wakacji wypożyczalnię kajaków. Zapas wiosł gromadzili codziennie, wypożyczając ten sam kajak i dwa wiosła, a oddając jedno. W piątek 13 sierpnia 1954 r. po zapadnięciu zmroku Resiak i Jarzyna odnaleźli „swój” kajak, zerwali uprzednio obluźowany łańcuch i odbili od brzegu. Bez przeszkód ominęli wojskowy postunek, potem oswobodzili się z zasieków drutu kolczastego na kanale i pieszo omijali kolejne przegrody. Na pełnym morzu, gdy już obrali kurs na Bornholm, usłyszeli motorówkę. Pozostali jednak niezauważeni i znów wzięli się do wiosł. Niebawem jednak wiatr osiągnął tej nocy prędkość 8 stopni w skali Beauforta, a fale zalewały niewielki śródlądowy kajak. Z nastaniem dnia morze się uspokoiło. Podczas dalszej żeglugi Ślacy żywili się i spali na zmianę. W niedzielę, 15 sierpnia, do łądu dotarli ostatkiem sił. Na najbliższym posterunku duńskich policjantów zadziwiło to, że ktoś zdołał do nich przepłynąć przez otwarte morze kajakiem. Po rocznym pobycie w Danii

otrzymali wize i wyjechali do upragnionej Ameryki. Władze PRL podjęły wówczas nareszcie słuszną decyzję: zlikwidowały przystań, a w jej miejsce utworzyły rezerwat przyrody.

3 maja 1955 r. na łowisku u wybrzeży zachodnioeuropejskich lugrotrawler „Cietrzew” (z lugami – sieciami przystosowanymi do łowienia ławic ryb) przybił do burty swojego statku-bazy „Morska Wola”, aby uzupełnić zapasy. Gdy na pokładzie „Cietrzewia” pozostało tylko czterech rybaków, ten błyskawicznie zaczął oddalać się w stronę angielskiego wybrzeża. Otóż mechanik Albert Ruszennik, asystent pokładowy Piotr Wiszniewski i sternik Tadeusz Dziwota postanowili wybrać wolność, a czwarte-

go, niedopuszczonego do spisku rybaka Jana Szumlakowskiego zamknęli w kabynie. „Morska Wola” zaczęła wzywać inne polskie statki do pomocy w pościgu, a „Cietrzew” prosił o ratunek. Najszybciej zgłosili się Anglicy, ale na pomoc z ich strony nie zgodziło się dowództwo „Morskiej Woli”, obłudnie przekonując, że to ona – ponieważ znajduje się najbliżej – pomoże „Cietrzewiowi”. No i „pomogła”. Uciekinierów zamknięto na statku pod nadzorem, a w kraju postawiono przed sądem. Otrzymali kilkuletnie wyroki, ale wyszli po dwóch latach, po październikowej odwilży.

A choćby i wplaw

Latem 1951 r., po zakończeniu pomiarów na wysokości Ustki, hydrograficzny okręt „Żuraw” powracający do Gdyni. Wtedy grupa marynarzy z antykomunistycznie nastawionym sternikiem Henrykiem Barańczakiem na czele uwięziła w kajucie zastępcę ds. politycznych por. mar. Bogumiła oraz szefa Biura Hydrografii MW kmdr. ppor. Iwanowa. Buntownicy zmienili kurs na szwedzki port Ystad, gdzie 2 sierpnia 12 podoficerów i marynarzy poprosiło o azyl polityczny. Reszta posłusznie wracała do kraju, ale gdy na spotkanie „Żurawia” wyruszył niszczyciel „Błyskawica”, oficerowie podali nieprawdziwe dane o położeniu jednostki. Chcieli uniknąć oskarżenia o organizację buntu i jego uśmierzenie dopiero przez niszczyciel Marynarki Wojennej. I tak nieniekajony „Żuraw” zawinął samotnie do portu wojennego na Oksywiu. Jego dowództwo i tak nie uniknęło procesu politycznego. Dowódcę, por. Arkadiusza Ignatowicza, zdegradowano i skazano na 15 lat więzienia, a Iwanowa i Bogumiła – na 12 i 15 lat więzienia. Podoficerów i marynarzy skazano na kary więzienia od 5 do 10 lat, a tych, którzy pozostali w Szwecji, zaocznie na kary śmierci.



Kajak Zygmunta Resiaka i Witolda Jarzyny

FOT. BORNHOLMS MUSEUM

Okręt o „haniebnej” nazwie „Żuraw” przemianowano na ORP „Kompas”, przebudowano mu sylwetkę, a wreszcie w 1977 r. wycofano go ze służby.

O zamiar ucieczki z parowca „Wieluń” słusznie podejrzewał kucharza Stanisława Kulkę oficer k.o. Edward Jagła, a to z powodu spakowania przezeń bielizny oraz pamiątkowych fotografii ze ścian kabiny. I gdy Kulka ciemnego wieczoru w Sztokholmie pojawił się z bagażem przy trapie we wrześniu 1951 r., Jagła rzucił się na niego wraz z sekretarzem POP PZPR. Zrewidowali go, przesłuchali, zamknęli w kabynie, a przy jej drzwiach postawili wartownika. Kiedy „Wieluń” gotował się już do odbicia od brzegu, na pokładzie pojawił się komisarz Danielson z czterema policjantami i oświadczył, że zamierza wyjaśnić doniesienie narzeczonej Kulki o pobiciu i uwięzieniu na statku jej wybranego. Po protestach dowódca statku zgodził się na spotkanie komisarza z kucharzem, a gdy ten zadeklarował pozostanie w Szwecji z powodów politycznych, Danielson oświadczył, że zabiera Kulkę na ląd dla wyjaśnienia sprawy, a jeśli mu się w tym przeszkodzi, to użyje siły. Protestowało dowództwo „Wielunia”, protestował PRL-owski konsul Zawadzki, który w międzyczasie przybył do portu, ale sprawę rozwiązało wkroczenie na pokład 20 szwedzkich policjantów z pałkami. I tak kucharz Stanisław Kulka znalazł się wolny na szwedzkiej ziemi.

Z Chin do Gdyni wracał motorowiec „Curie-Skłodowska”, gdy za jego burtę wyskoczył trzeci oficer Roman Prokopczyk. Było to w styczniu 1952 r., w środku nocy, gdy statek płynął przez kanał La Manche w odległości 5 km od angielskiego Dover. Lodowata woda, ciemność i prądy morskie w kanale La Manche nie dawały mu większych szans na przeżycie, mimo że zabrał ze sobą – jak stwierdzono – część garderoby, pas ratunkowy oraz latarkę. W kolejnych dniach napływały wiadomości, że jednak ocalał oraz cały i zdrowy dostał się na pokład promu kolejowego „Twickenham” kursującego między Francją a Wielką Brytanią, gdzie poprosił o azyl polityczny. Zwycięstwo w walce o życie i wolność na pewno zawdzięczał wyjątkowym umiejętnościom pływakim, żelaznemu zdrowiu i charakterowi, ale też gumowemu strojowi nurka, w którym wykonał skok w ciemność, przenikliwy chłód i bezlitosny żywioł.

Uczeń szkoły morskiej Stanisław Mazur w 1953 r. odbywał rejs na pokładzie szkolnego żaglowca „Dar Pomorza”. Wieczorem 2 lipca, gdy „biała fregata” odpływała z Gibraltaru na Morze Śródziemne, akurat stał przy sterze. Wiedział o wartach na pokładach i zakręceniu wszystkich iluminatorów pod pokładami, co miało uniemożliwić ucieczkę marynarzy lub uczniów. A jednak o godz. 22 stojący właśnie przy sterze Mazur zniecka odtrącił kolegę i kapitana, chwycił koło ratunkowe, skoczył na reling i dał susa za rufę statku. Natychmiast ogłoszono alarm, rzucono kotwicę,

ski motorowiec, który przekazał go na motorówkę zarządu kanału. Przekazany z holenderskich w zachodni Niemiec ręce Cura myślał, że już jest bezpieczny, ale oto do motorówki dobija z PRL-owskiego statku łódź z czterema marynarzami, którzy zażądali wydania zbiega i – ku jego zaskoczeniu i przerażeniu – żądanie zostało spełnione. Związanego kolegę marynarza dostarczono na „Hugona Kołłątaja”, a następnie odwieziono do Polski, gdzie zajęła się nim bezpieka. Nie tylko polska prasa emigracyjna, lecz także niemiecka krytykowała bezduszność niemieckiego personelu.



Mig-15, którym por. Franciszek Jarecki wylądował na polowym lotnisku na Bornholmie. FOT. BORNHOLMS MUSEUM

spuszczono na wodę szalupy, włączono reflektory. Mazura nie znaleziono. Wiele wskazywało na to, że utonął; wzburzone morze i silne prądy morskie utrudniały pływanie. Chłopak jednak przeżył. Dotarł do cumującego w pobliżu brytyjskiego statku handlowego, a kiedy polski kapitan następnego dnia zgłosił się na komendę policji w Gibraltarze, okazało się, że policjanci goszczą Mazura i nie godzą się na jego oddanie. Emigracyjnemu dziennikarzowi oświadczył, że zamiar ucieczki podjął po lekturze przedwojennego podręcznika historii, dzięki której dowiedział się o zdradzieckich wobec Polski poczynaniach komunistów.

W kwietniu 1954 r. Edward Cura skoczył do wody z pokładu statku „Hugo Kołłątaj”, gdy ten opuszczał służę w Kanał Kilońskim. Marynarza wyłowili płynący w tym samym kierunku holender-

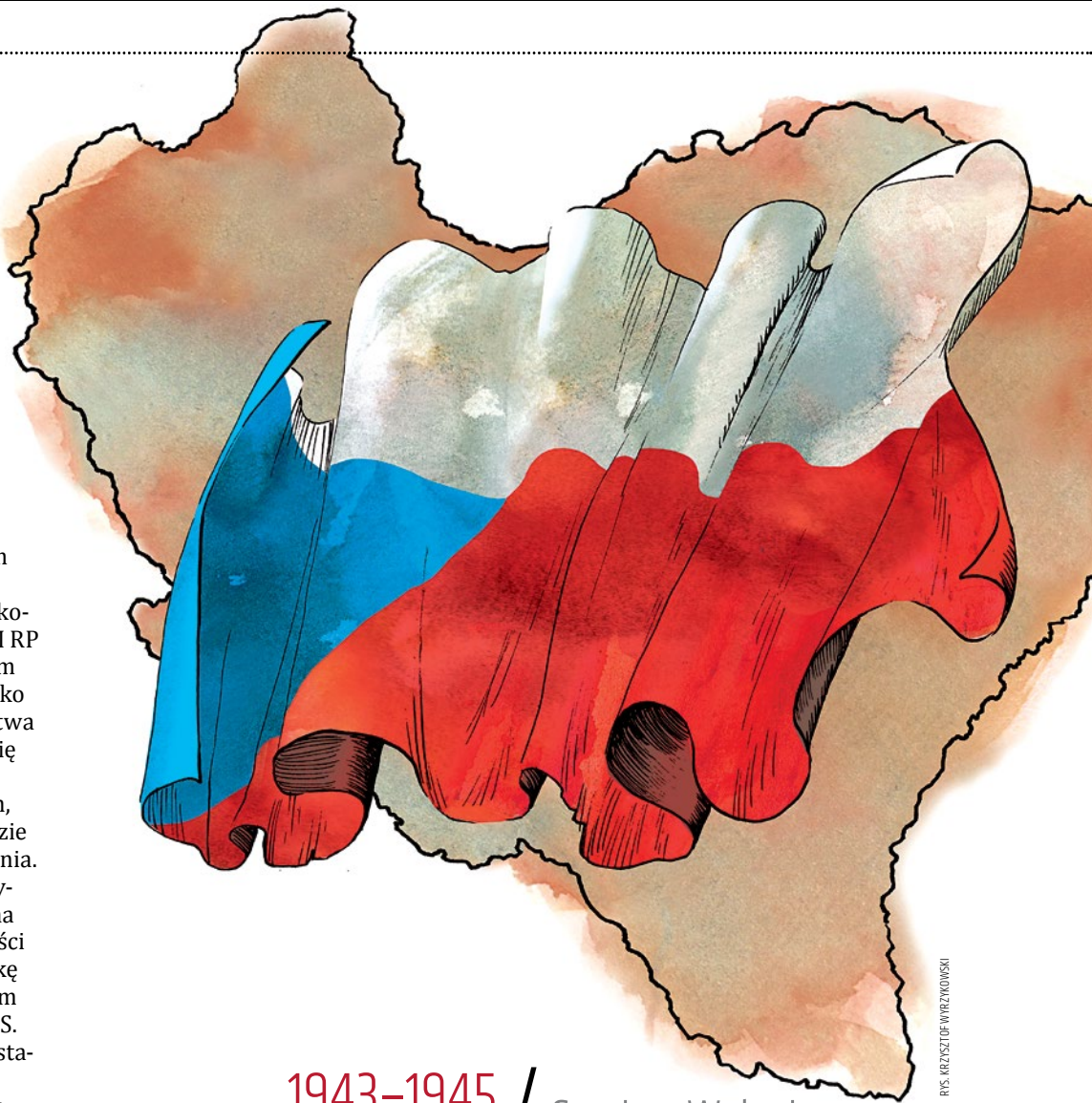
Na koniec historia z późniejszej epoki, ale o wyjątkowym środku lokomocji. Otóż trzech młodzieńców ze Śląska uciekało nocą z 18 na 19 lipca 1972 r. czteroosobowym gumowym pontonem marki Gryf napędzanym osobno kupionym zaburtowym silnikiem marki Moskwa. Inicjator akcji 27-letni Stanisław Gumienny, jego 20-letni brat Jan i 22-letni kolega Józef Mika ruszyli z plaży w Grzybowie pomiędzy Kołobrzegiem a Dźwirzynem, gdzie były ustawione radary WOP, co stwierdził Stanisław podczas czerwcowego rekonesansu (po rozwodzie mieszkał w hotelu robotniczym, a szans kupienia mieszkania nie miał). Zatrzymali ich rybacy z dwóch kołobrzeskich kutrów łowiących w pobliżu Bornholmu – ścigając ich i strzelając do nich z raketnicy. Gumienny otrzymał rok i osiem miesięcy więzienia, pozostali po roku. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Na polskim Wołyniu mieszkało w 1939 r. ok.

32 tys. Czechów.

Przybyli tu oni jeszcze w II połowie XIX w., kiedy car Aleksander II stworzył dla nich nadzwyczaj korzystne warunki do osiedlania się. Kupowali oni majątki m.in. po Polakach, którym za udział w powstaniach władze carskie je skonfiskowały. W czasie istnienia II RP Czechów – zresztą całkiem słusznie – postrzegano jako lojalnych obywateli państwa polskiego. Nie domagali się oni specjalnych praw ani przywilejów politycznych, interesowała ich w zasadzie praca i możliwość bogacenia.

Spokojne życie na Wołyniu przerwała druga wojna światowa, a w szczególności sowiecka inwazja na Polskę we wrześniu 1939 r., potem zaś atak III Rzeszy na ZSRS. Czesi, podobnie jak przedstawiciele innych nacji, radośnie witali wkraczające na Wołyń latem 1941 r. oddziały Wehrmachtu. Dość szybko jednak przedstawiciele tej społeczności zorientowali się, że rządy Reichskommissara Ericha Kocha wiązać się będą z brutalną eksploatacją tego obszaru. Dlatego w czeskim środowisku zrodziła się myśl utworzenia podziemnej organizacji. Narodziła się ona formalnie 13 czerwca 1943 r. Nowo powstałej strukturze nadano nazwę Błanik. Na jej czele stanął Vladimir Knop, natomiast jego zastępcą został Josef Rejzek. Organizacja niemająca charakteru militarne­go, nie miała również konkretnego oblicza ideowo-politycznego. Mógł do niej należeć każdy Czech, który wyraził taką wolę. Początkowo zasadniczym kierunkiem



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1943-1945 / Czesi na Wołyniu

Między UPA a AK



Arkadiusz Karbowski

/ Czeska mniejszość była gotowa na współpracę z każdym, kto nie groził jej zagładą

aktywności Blanika było wydawanie podziemnej gazety „Hlstel”. Później w wioskach wchodzących w skład trzech okręgów Blanika powołano oddziały samoobrony.

Razem z UPA

Ludność czeska, choć niezaangażowana w poczynania zbrojne, cierpiała czasami tragiczne w skutkach represje niemieckie. Na przykład wieś Czeski Malin 13 lipca 1943 r. spacyfikowana została przez niemiecką ekspedycję karną z Ołyki – zamordowano 372 Czechów, 132 Ukraińców i 26 Polaków. Serhijówkę spalono częściowo 11 listopada 1943 r. Zginęło tam 17 Czechów i 12 Ukraińców. Rozpoczęcie wiosną 1943 r. przez Ukraińską Powstańczą Armię akcji antypolskiej na Wołyniu spowodowało, że podziemie ukraińskie próbowało przeciągnąć Czechów na swoją stronę. W rezultacie powstała Czeska Armia Powstańcza stanowiąca czeską odnogę UPA. Neutralne struktury Blanika postrzegały działalność lidera CzAP Antonina Nechutnego jako prowokację gestapo, choć bardziej prawdopodobne jest, że wykonywał on dyrektywy wołyńskiego kierownictwa OUN-UPA.

Abstrahując od tej kwestii, nie ulega wątpliwości, że pewna część Czechów sympatyzowała z ukraińskim podziemiem. Czesi nie byli, co należy podkreślić, mniejszością, którą UPA chciała poddać fizycznej likwidacji, jak to było w przypadku Polaków. Dlatego zdarzały się przypadki pomocy udzielanej Ukraińcom. Czesi z Dubna wsparli m.in. Ukraiński Czerwony Krzyż. W Nowi-



Czesi przy grobie jednej z ofiar pacyfikacji Czeskiego Malina. 1943 r. FOT. WWW.NARODNINOVINY.CZ



Przysięga w 27. Dywizji AK FOT. WIKIMEDIA COMMONS

naczeskich z kolei fałszowali dane ksiąg metrykalnych osób ukraińskiego pochodzenia przeznaczonych do wywózki na roboty przymusowe do Rzeszy. We wsi Boremel Czesi udzielali pomocy żywnościowej członkom UPA w zamian za ochronę przed bandami rabunkowymi. Czasami bywało tak jak we wsi Hulcza, gdzie – jak wspominała jedna z mieszkanki – „Spaliliśmy na strychu, kilka rodzin razem. Dół zostawialiśmy banderowcom, żeby wzięli, co chcą, i zostawili nas w spokoju”.

Różnorodne formy pomocy ze strony Czechów musiały być dość rozpowszechnionym zjawiskiem, na co wskazują informacje zawarte w sprawozdaniu z działalności (listopad 1943 r.) z rejonu OUN „Ozero”: „Reszta mniejszości narodowych, stanowiących niewielką ilość, jak się zauważa, nikogo nie grupuje wokół siebie przeciwko nam i nie stanowi dla nas zagrożenia, a jeśli wzięć pod uwagę Czechów, to

bardzo chętnie nam pomagają i chętnie wykonują wszystkie obowiązki nakładane na nich w sferze gospodarczej”.

Mając świadomość wagi, jaką miało ewentualne skłócenie Czechów do wsparcia działań UPA, oraz z uwagi na istnienie organizacji Blanika dowódca OUN-UPA na Wołyniu Dmytro Klaczkiwskij „Kłym Sawur” nakazał nawiązanie z Czechami kontaktu. Do pierwszego spotkania doszło 24 października 1943 r. Stronę czeską reprezentował jeden z liderów Blanika Emil Lizanek, natomiast rozmówcami ukraińskimi byli A. Kisil „Nemo”, Grigorij Fridrich „Newidmyj” i W. Korenjuk „Palij”. Czesi sugerowali swym interlokutorom, aby UPA zaprzestała pobierania kontyngentu w czeskich wsiach i mobilizowania ich mieszkańców do UPA, co zostało przyrzeczone. Natomiast do proponowanego przez UPA współdziałania w walce z Niemcami Czesi odnieśli się sceptycznie, ocze-

kiwali bowiem wkroczenia na Wołyń walczącej po sowieckiej stronie I Czesosłowackiej Samodzielnej Brygady, do której chcieli mobilizować swych rodaków.

Wkrótce rozmowy zerwano. Przyczyną było podporządkowanie się organizacji Blanika dezyderatom rządu czechosłowackiego na emigracji. Rząd Benesza ze względu na sojusz zawarty z ZSRS nie popierał ukraińskich dążeń niepodległościowych. Stosunek do OUN-UPA czeskiego podziemia określono w dokumencie znanym jako „Rozporządzenie dla Blanika”, gdzie czytamy m.in.: „Stosunek do Ukraińców utrzymujcie jak najlepszy, lecz niezależny. Pamiętajcie, iż nasze drogi nie są takie same, oni walczą o swoją wolność, my o naszą, nic nas nie zmusi, żebyśmy krwawili za ich wolność i cierpieli za ich grzechy”.

Z Sowietami i Polakami

Pomimo zachowywania przez Czechów neutralnej postawy wobec konfliktu polsko-ukraińskiego zdarzały się czasami mordy dokonywane przez UPA na czeskich cywilach. W sierpniu 1943 r. zamordowano 10-osobową rodzinę Hradców we wsi Chłopcze. W sumie na

■ Wołyniu zginęło 376 osób czeskiego pochodzenia. Generalnie jednak owe straty nie wynikały – jak w przypadku Polaków – z chęci oczyszczenia terytorium Wołynia z czeskiej mniejszości, ale z bar dziej lub mniej incydentalnej współpracy Czechów z Sowietami i Polakami. Jeśli chodzi o Sowietów, to kierownictwo Błanika zainicjowało kontakty ze zgrupowaniami gen. Sidora Kowpaka i płk. Dmitrija Medwiediewa.

Czesi uczestniczyli też w akcjach dywersyjnych przeprowadzonych przez sowieckich partyzantów. Pewna pomoc była udzielana także zagrożonym eksterminacją Polakom. Symbolem kooperacji polsko-ukraińskiej było miasto Kupiczów, leżące w rejonie turzyskim. Czeszy mieszkańcy wyznawali, w przeciwieństwie do większości rodaków, nie prawosławie, ale wiarę katolicką. Na tym terenie działała organizacja Aktiv, kierowana przez Bohuslava Ledvinę. Jej działania nie zachowały bezstronnej neutralności, a po rozpoczęciu rzezi wołyńskiej podjęły akcję pomocy Polakom, jednocześnie próbując zainicjować rozmowy z Ukraińcami. Uczestniczyli w nich obwodowy prowidyk Wołyńskiego Obwodu OUN-B Annanij Zakosztuj „Wasył”, dowódca UPA Ołeksij Wowczak „Szum”, szef sztabu wojskowego Okręgu Wojskowego „Turiv” UPA-Północ.

Efekty ich były żadne. Upowcy nie pogodzili się z opowiedzeniem się kupiczowian po polskiej stronie, a nawet zdecydowali się na złożenie donosu do gestapo, w którym informowali o współpracy partyzantką z sowiecką partyzantką. Wysłana w teren niemiecka ekspedycja karna wpadła w zasadzkę UPA. W odwecie kilka dni później Niemcy spacyfikowali



Kościół w Kupiczowie

FOT. NATALIYA SHESTAKOVA/WIKIPEDIA

Tuliczów. W tym czasie doszło na tym obszarze do napadów UPA na polskie wsie i w odpowiedzi kilku napadów oddziałów AK na wsie ukraińskie.

Wtedy też zaczęła się zacieśniać współpraca polsko-czeska. Przejawem jej była ewakuacja ludności czeskiej przez oddział AK por. Władysława Czermińskiego „Jastrzębia” z zagrożonej zniszczeniem przez UPA Dażwy. Tak to wydarzenie opisywał partyzant z oddziału „Jastrzębia” Jan Turowski „Ziuk”: „Pod koniec października 1943 r. jeden z oddziałów upowskich obrał sobie miejsce postoju w Dażwie zamieszkałej przez Czechów. Mimo że banderowcy bezpośrednio nie zagrażali Czechom, to ich pogroźki, zbyt swobodne, a nawet wprost brutalne zachowanie się, stały się bardzo uciążliwe dla całej ludności. O całej sytuacji donieśli Czesi dowództwu polskiemu w Zasmukach, prosząc o pomoc. Por. »Jastrzęb«, chcąc zyskać Czechów dla sprawy polskiej, postanowił zaatakować kwatery UPA w Dażwie oddział UPA. Po nocnym marszu, o świcie 26 października 1943 r., cały oddział osiągnął przedpole Dażwy. Jak z początkowego oporu można było sądzić, obsadzał Dażwę doborowy oddział UPA, który jednak załamał się pod bezpośrednim atakiem, opuszczając w panice swoje stanowiska, wchłonięty w dym płonących zabudowań. Następnie wycofał się do pobliskiego lasu, ścigany przez oddział polski. Mimo dużej strzelaniny zginęło tylko dwóch upowców,

a ze strony polskiej ranny był jeden żołnierz”.

9 listopada 1943 r. w Zasmukach, będących bazą oddziału por. „Jastrzębia”, uzgodniono wspólne działania obronne, ale tylko w obszarze Kupiczowa. Na aktywność zbrojną poza wsią Czesi nie chcieli wyrazić zgody. Do współdziałania dowództwo AK wyznaczyło oficerów por. Michała Fijałkę „Sokoła”, por. Stanisława Kędzielawa „Kanię” i Wilhelma Skomrowskiego „Wilczura”. Paradoksalnie nad bezpieczeństwem kupiczowian czuwali także stacjonujący w miasteczku żołnierze niemieccy i litewscy. Ich pobyt wymusił głębsze zakonspirowanie się członków organizacji Aktiv.

Czescy konspiratorzy starali się też kupować lub zdobywać broń. Jej dostawcami byli głównie żołnierze węgierscy, ale zdarzało się, że także władze niemieckie. Niemcy, znalazłszy się w obliczu skierowanej przeciw nim rewolty ukraińskiej na Wołyniu, ze względu na szczupłość sił policyjno-wojskowych akceptowali istnienie polskich oddziałów samoobrony w poszczególnych wsiach, pod warunkiem zaniechania działań antyniemieckich i niepodejmowania współpracy z sowiecką partyzantką. Również kupiczowska samoobrona cieszyła się względną wyrozumiałością. Przekonała się o tym żona jednego z jej członków, pastora Jelinka, Anna, która pewnego dnia pojechała na rozkaz „Jastrzębia” z jego żołnierzami do

wojskowej komendantury w Kowlu. Tam opowiedziała o sytuacji mieszkańców wsi, grożącym im niebezpieczeństwie ze strony UPA i zwróciła się z prośbą o dostarczenie broni. Niemcy ze zrozumieniem odnieśli się do prośby, przekazując kilka sztuk broni wraz z amunicją.

Obrona Kupiczowa

Otrzymane karabiny mieszkańcom Kupiczowa przydały się 11 listopada 1943 r., kiedy miasteczko opuścił litewski batalion Schuma. Wtedy właśnie Kupiczów zaatakował 600-osobowy oddział UPA pod dowództwem Porfirego Antoniuka „Sosenki”. Część napastników była partyzantami, a resztę stanowili zmobilizowani do akcji miejscowi ukraińscy chłopcy. Upowcy początkowo zatrzymali jako zakładników kilku czeskich konspiratorów. Nie wiadomo, jak by się dalej potoczyły ich losy, gdyby nie doszło do nadejścia z Zasmuk oddziału AK por. „Jastrzębia”, który uderzył na upowców, zmuszając ich do wycofania się. Podkomendni por. Czermińskiego pognali za atakującymi aż do wsi Czerniejów, gdzie spalili sześć chat. W Kupiczowie natomiast na stałe pozostawiono 40-osobową grupę partyzantów sierż. Romana Gosa „Grzmota”.

Po powstaniu tzw. Rzeczypospolitej Zasmuckiej Kupiczów stał się dla Ukraińców ważną strategicznie miejscowością, toteż nie zamierzali zrezygnować z prób jego zdobycia. Znaczenie tego ośrodka doceniał również Polacy. Późniejszy dowódca 27. Dywizji Wołyńskiej AK, a wówczas szef kowelskiego inspektoratu, mjr Jan Szatyński-Szatowski „Kowal”, podpisał

z Czechami układ, w którym w zamian za ochronę mieszkańców zobowiązywali się wystawić gotowy do walki uzbrojony pluton samoobrony oraz dostarczać wyżywienie AK-owcom stacjonującym w miasteczku. W międzyczasie dowódcę „Grzmota”, rannego podczas akcji na Dażwę, zastąpił plutonowy Jan Bednarek „Kowiński”. Osada została podzielona na kilka sektorów obronnych, wzmocniono niemieckie umocnienia, wystawiono warty.

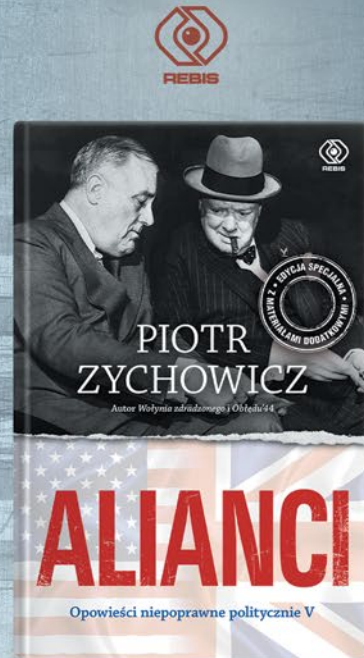
Pełniący służbę wartowniczą 15-letni Vaclav Kytł po latach wspominał: „W nocy z 21 na 22 listopada 1943 roku miałem wartę z jednym panem, on miał widły i ja jeden niemiecki granat. Z daleka było słychać szczekanie psów, po prostu w tej ciemności było jakieś niebezpieczeństwo”. Owym niebezpieczeństwem były zmobilizowane do ataku oddziały UPA o siłach większych niż poprzednio. Dodatkowo wspierał je przerobiony z traktora własnej roboty wóz pancerny nazywany „czołgiem”. O jego użyciu wspominał jeden z partyzantów:

„Po jakimś czasie nadchodzący huk silnika urywa się, zapada cisza. Powracający patrol donosi, że 300–400 metrów od rzeźni stoi coś, co wygląda na czołg. Ludzi przy czołgu rozpoznać nie można było... Koło godziny dziewiątej mgła powoli zaczęła opadać. Można już było dojrzeć zarysy tajemniczego monstrum i kręcących się przy nim ludzi. Franek Moniuszko »Maj«... stojąc w rozkroku, obserwuje przez lornetkę i stara się rozszyfrować, co widzi. Półgłosem przekazuje nam swoje spostrzeżenia. Nagle huk, detonacja... Pocisk z działa mniejszego kalibru przeleciał torem płaśkim między nogami »Maja« obserwującego przez lornetkę i rozerwał się około 15 metrów za jego plecami. Wybuch

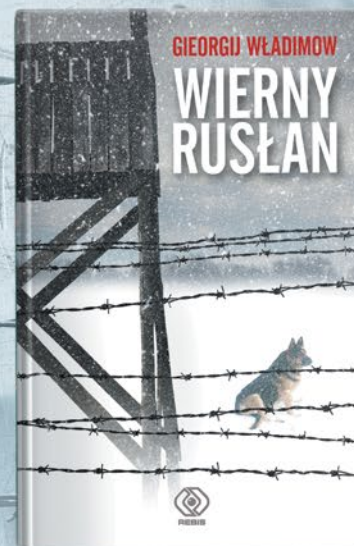
przewrócił Franka, a odłamek rozciął na plecach jego kurtkę. Wszystkich obsypało ziemią, nikomu nie robiąc krzywdy. Po oddaniu jeszcze kilku wystrzałów, które nie poczyniły żadnej szkody, działa umilkło, a my byliśmy pewni, że to nie Niemcy, lecz jesteśmy okrążeni przez rezunów UPA [...]. Upowcy nie mieli już żadnych szans. Wycofali się w popłochu, pozostawiając na placu boju swój czołg, którego nasi chłopcy nie dali uruchomić. Rankiem następnego dnia został zaciągnięty przez Czechów do Kupiczowa, ku ogromnej radości mieszkańców”.

Pod koniec stycznia rozpoczęła się mobilizacja do 27. WDP. Trafili do niej członkowie oddziałów samoobrony z Zasmyk. Część ludności postanowiła przenieść się do Kupiczowa. Co ciekawe, pomimo podejmowanych prób zdobycia miasteczka upowcom nie udało się dokonać poważnych w nim zniszczeń. Największe przyniosły natomiast bombardowania przeprowadzone przez Luftwaffe 7 i 29 lutego 1944 r. W późniejszym okresie bombardowali je również Sowieci. W styczniu 1944 r. na Wołyni wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Obok czerwonoarmistów na tym terenie pojawili się również żołnierze I Czechosłowackiej Samodzielnej Brygady. I do tej jednostki zaciągali się masowo wołyńscy Czesi – nie tylko mężczyźni, lecz także kobiety. Szeregi brygady wzrosły na tyle, że przemianowano jednostkę na I Czechosłowacki Korpus Armijny. O dużej liczbie chętnych wolontariuszy wspominał po latach jeden z nich: „Oprócz dzieci i dziadków weszli do wojska wszyscy. Poszliśmy do walki”. Pozostali na miejscu Czesi podjęli decyzję o reemigracji do swojego ojczystego kraju, co nastąpiło w 1947 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Kolejna część bestsellerowego cyklu
Opowieści niepoprawne politycznie.
Po Żydach, Sowietach i Niemcach
przyszedł czas na *Aliantów*.



Klasyka literatury łagrowej – poruszająca
książka porównywana z dziełami
Sołżenicyna czy Szalamowa.



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



[FB/REBIS](https://www.facebook.com/REBIS)

Wywiad / Z Asbjørnem Jaklinem, autorem książki „Bitwa o Narwik...”

Polscy żołnierze
w Narwiku

FOT. DOMENA PUBLICZNA



rozmawia Piotr Włoczyk

Kłeska i triumf pod Narwikiem

PIOTR WŁOCZYK: Jak to się stało, że niemiecki atak na Narwik był tak wielkim zaskoczeniem? Jakim cudem nikt nie zauważył całej flotyli płynącej wzdłuż wybrzeża Norwegii?

ASBJØRN JAKLIN: Każdy myślał, że Royal Navy kontroluje Morze Norweskie i szlak do Narwiku. Niemiecki atak tak daleko na północ był trudny do wyobrażenia. Ta sprawa jest tym dziwniejsza, że dzień wcześniej, 8 kwietnia 1940 r., okręty Royal Navy operowały niedaleko Narwiku, minując podejście do portu. Pogoda była wprawdzie fatalna, co działało na

– Kampania lądowa była w wykonaniu aliantów katastrofą. Zupełnie inaczej wyglądały jednak starcia na Morzu Norweskim – mówi norweski dziennikarz

korzyść Niemców, ale wydawałoby się, że trudno przeoczyć taką flotyllę.

Sposób, w jaki Niemcy przeprowadzili atak, przeczył zdrowemu rozsądkowi. To była niezwykle ryzykowna operacja, ale Hitler uwielbiał ryzyko i także tym razem udało mu się dopiąć swego.

Norweski rząd spodziewał się ataku III Rzeszy, ale jednak skala i tempo tej inwazji – co widać po reakcji władz, a także dowódców armii i marynarki wojennej – były olbrzymim zaskoczeniem.

Norweski rząd wierzył, że Brytyjczycy będą za wszelką cenę chronili swoich interesów w Skandynawii. Dla nikogo nie było

tajemnicą, że Londyn uważał Norwegię za strategicznie ważne państwo. Pamiętamy, że Winston Churchill, piastujący wówczas stanowisko pierwszego lorda admiralicji, planował okupację Narwiku, a nawet wkroczenie do Szwecji, by zatrzymać eksport rudy żelaza do III Rzeszy. Plany te szybko się jednak zdezaktualizowały, ponieważ Niemcy okazali się szybsi.

Niemcy początkowo zapewniali Norwegów, że przybyli jako „przyjaciele”, by chronić ich przed brytyjskim atakiem. Gdy jednak norweska marynarka wojenna odmówiła poddania się ich rozkazom, ci na „dzień dobry” zatopili dwa pancerniki obrony wybrzeża, strzegące Narwiku.

Niemcy zabili w ten sposób 276 młodych Norwegów. Dowódcy tych okrętów chcieli walczyć. Pancernik „Eidsvold” ani razu nie wystrzelił, choć komandor porucznik Odd Isaachsen Willoch zdecydował o otwarciu ognia do Niemców. Wciąż zagadką pozostaje, dlaczego mimo to jego działą milczały. „Eidsvold” został zatopiony przez niemieckie torpedy.

Drugi z pancerników – „Norge” – zdążył wystrzelić w sumie 13 razy w kierunku niemieckich jednostek, zanim dwie niemieckie torpedy posłały go na dno. „Norge” zniknął pod powierzchnią wody w ciągu kilkunastu sekund. Nasza marynarka wojenna w Narwiku chciała walczyć z Niemcami, ale ci mieli niestety wielkiego przyjaciela na lądzie – płk. Konrada Sundlo, wieloletniego członka norweskiej partii nazistowskiej.

Który równocześnie był dowódcą norweskich wojsk w regionie Narwiku...

To bardzo nieprzyjemna historia. Już wcześniej było dla mnie oczywiste, że to zdrajca, ale zbierając materiały do książki, wpadłem na informacje, które zupełnie mnie zaskoczyły. Otóż kilka miesięcy wcześniej Quisling przekazał Niemcom list od Sundlo, w którym zapewniał on, że nie dopuści do tego, by armia norweska sprawiała siłom inwazyjnym problemy! W kontekście tego, co zrobił w Narwiku, zupełnie niepojęte jest, że Sundlo nie został za to ukarany. Po wojnie dostał karę dożywocia, ale dotyczyło to innych popełnionych przez niego przestępstw.

W jaki sposób Sundlo podał Niemcom Narwik na tacy?

Ogłosił, że potrzebne jest zawieszenie broni, chociaż na lądzie

nie toczyły się jeszcze żadne boje. To pół godziny dało Niemcom czas na zajęcie najważniejszych punktów. A gdy Niemcy umościли się już w Narwiku, Sundlo oddał im zupełnie oficjalnie miasto. To obrzydliwy przykład zdrady i nie przestaje mnie dziwić, że Sundlo nie został rozstrzelany jak inni zdrajcy. Po wojnie sędziowie przychyliłi się do jego tłumaczenia, że Niemcy pojawili się w Narwiku zbyt szybko i że nie miał innego wyjścia, niż tylko rozkazać swoim żołnierzom, by złożyli broń. Na szczęście część z nich nie dała się pojmać Niemcom i wycofała się poza Narwik.

Dlaczego ten port był tak bardzo potrzebny Niemcom?

Niemcy importowali z północnej Szwecji olbrzymie ilości rudy żelaza. Szwedzi mają oczywiście własne porty, ale te w Zatoce Botnickiej zamarzają zimą. Dlatego Szwedzi zbudowali linię kolejową prowadzącą do portu w Narwiku, który zimą nie jest skuty lodem. Brytyjczycy kładli miny wokół Narwiku właśnie po to, by ograniczyć transport rudy żelaza.

Z punktu widzenia Niemców ten surowiec był bardzo ważny, ale to nie był jedyny powód inwazji. Człowiekiem, który naciskał na Hitlera, by zająć Norwegię, był wielki admirał (Grossadmiral) Erich Raeder, dowódca Kriegsmarine. Raeder chciał tam stworzyć bazy morskie do planowanego ataku na Wielką Brytanię.

Początkowo Hitler ani myślał wybierać się do Skandynawii. Wydaje się, że wszystko zmieniła

wizyta Vidkuna Quislinga, do której doszło w grudniu 1939 r.

Hitler, który początkowo rzeczywiście nie patrzył z zainteresowaniem na północ, zmienił wówczas zdanie. To Raeder sprowadził Quislinga do Niemiec. Quisling opowiadał Hitlerowi o swoich planach utworzenia kolaboracyjnego rządu i pomaganiu Niemcom w wojnie. Udało mu się zainteresować wodza III Rzeszy północą Europy. To był punkt zwrotny w myśleniu Hitlera.

Równocześnie jednak Brytyjczycy i Francuzi planowali swoją operację w Skandynawii. Pretekstem miało być wsparcie Finlandii walczącej ze Związkiem Sowieckim, ale 12 marca 1940 r. Finowie podpisali układ z ZSRS kończący działania wojenne. „Pierwsze pociągi z zaopatrzeniem nie dotarły dalej niż do Cherbourga, kiedy pokój fińsko-rosyjski rozbił w puch ten pretekst do wkroczenia” – podsumował francuski gen. Antoine Béthouart, który organizował aliancki korpus ekspedycyjny.

Winston Churchill, będący wówczas pierwszym lordem admiralicji, był tu szczególnie aktywny. Bardzo zależało mu na przeprowadzeniu wielkiej operacji w Skandynawii. Te plany ciągle się zmieniały, ale pretekstem była pomoc Finlandii. Jednym z efektów planowanej operacji miała być okupacja Narwiku i całkowite odcięcie Niemców od rudy żelaza ze Szwecji. Układ między Finlandią a ZSRS kończący wojnę zimową zniszczył jego plany. A miesiąc później Niemcy nieoczekiwanie uderzyli na Danię i Norwegię.

Bitwa o Narwik trwała od 9 kwietnia do 8 czerwca 1940 r. Chyba śmiało można powiedzieć, że to było najważniejsze pole bitwy w Norwegii?

Tak. Narwik to dla aliantów historia sukcesu. W końcu udało im się sprawić, że Niemcy byli w defensywie, spychani w kierunku granicy ze Szwecją. To wielki kontrast z operacjami w południowej części Norwegii, gdzie Niemcom szło dużo lepiej. Gdy 28 maja alianci odbili Narwik, wydawało się, że Niemcy wpadli w wielkie tarapaty. Dla Norwegów to była wielka bitwa. Brało w niej udział 10 tys. norweskich żołnierzy, którzy wspierali 14 tys. wojsk brytyjskich, a także 11 tys. żołnierzy polskich i francuskich. Norwescy żołnierze byli pełni nadziei, że właśnie odmieniają się losy tej wojny. Tymczasem alianci nagle



Hełm wz. 31 FOT. WIKIPEDIA

■ załadowali się na statki i się ewakuowali.

Sytuacja Francji była już katastrofalna.

Nikt wtedy nie wiedział, że zdobycie Narwiku było tak naprawdę tylko zasłoną dymną przed odwrotem. Francja chyliła się ku upadkowi. Wszyscy rozumieli, że Brytyjczycy stoją przed trudnym wyborem, ale to, że do samego końca nie powiedzieli Norwegom o ewakuacji, zostało odebrane jako olbrzymi cios. Tymczasem decyzja o opuszczeniu Norwegii została podjęta kilka dni przed odbiciem Narwiku.

Narwik nazywany jest pierwszym zwycięstwem aliantów w tej wojnie, ale pod względem strategicznym to Niemcy byli górą w Skandynawii. Antony Beevor pisze w swojej „Drugiej wojnie światowej” bez ogródek: „Z perspektywy alianckiej kampania norweska była wprost katastrofalna”.

Jeżeli mówimy o kampanii lądowej, to pełna zgoda. Zupełnie inaczej wyglądały jednak starcia na Morzu Norweskim. Największym sukcesem było to, że Niemcy stracili wówczas aż 10 niszczycieli.

Połowę floty niszczycieli Kriegsmarine...

Kiedy Churchill pisał w swoich wspomnieniach z czasów drugiej wojny światowej o „efekcie Narwiku”, to skupiał się na morzu. Niemiecka marynarka wojenna nie miała już szans odegrać kluczowej roli w inwazji na Wielką Brytanię. Te 10 niszczycieli było dla Niemców olbrzymią stratą.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że z perspektywy Royal Navy kampania w Norwegii była zwycięska. Jednak to, co się działo na lądzie, nie wyglądało już tak dobrze. Alianci mieli tam olbrzymie problemy. Pokłosiem tego była tzw. debata norweska, do której doszło w Izbie Gmin tuż przed zmianą na fotelu premiera. Brytyjscy politycy głośno zastanawiali się, dlaczego w Norwegii doszło do takiej tragedii...

Claude Auchinleck, brytyjski generał dowodzący wojskami pod Narwikiem, napisał do Londynu, że był zawstydzony, gdy zobaczył, jak źle Brytyjczycy spisywali się w czasie tej bitwy. Napisał też, że Francuzi i Polacy byli „prawdziwymi żołnierzami”. Tam, gdzie walczyli Polacy – na południe od Narwiku – nie było Nor-



Niemieccy żołnierze w Narwiku. FOT. BUNDESARCHIV BILD

wegów, więc niestety nie zachowało się u nas zbyt dużo wspomnień dotyczących Polaków. Norwegowie walczyli na północy wraz z Brytyjczykami i Francuzami. Nie ulega jednak wątpliwości, że Polacy bili się bardzo dzielnie i jak pług spychali Niemców z południowego frontu.

Nie brakuje też jednak historii o tym, jak to żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich nie zawsze byli skłonni brać jeńców...

To prawda, poświęcam temu krótki rozdział. Tłumaczę, jak wyglądały walki polsko-niemieckie. Bez wątpienia było one wyjątkowo brutalne. Zbrodnie zdarzały się jednak po obu stronach. Opisuję w książce historie polskich żołnierzy potwornie torturowanych przez Niemców. Zdarzyła się też sytuacja, gdy



ASBJØRN JAKLIN
„BITWA O NARWIK”
ZNAK HORYZONT

jeden z polskich żołnierzy znalazł u niemieckiego jeńca zegarek należący do jego zamordowanego wuja...

To fakt, że część niemieckich jeńców została zabita przez polskich żołnierzy, ale opowiadając tę historię, nie można abstrahować od tego, co się działo pół roku wcześniej w Polsce, jak Polacy reagowali na doniesienia o niemieckich zbrodniach. Do egzekucji jeńców faktycznie dochodziło, ale udział Polaków w kampanii norweskiej to przede wszystkim opowieść o świetnej żołnierskiej robocie. Kiedy historycy i dziennikarze piszą o Polakach walczących o Narwik, generalnie bardzo pozytywnie oceniają ich wkład.

Niemcy zajęli Norwegię, ale była to bardzo kosztowna okupacja...

Hitler trzymał w tym małym kraju, liczącym zaledwie 3 mln mieszkańców,

wielkie siły. On sam narzekał, że w Norwegii stacjonowało 400 tys. niemieckich żołnierzy.

Jeden Niemiec na dziewięciu Norwegów. To chyba rekord w czasie tamtej wojny.

To była olbrzymia armia, w większości stacjonująca na północy. Wszystko dlatego, że Hitler bał się brytyjskiej inwazji. To nie była fantazja. Winston Churchill prosił swoich generałów o przygotowanie planów wielkiej inwazji Norwegii. Do lutego 1944 r. bardzo poważnie rozważał dużą operację w Skandynawii. Siły inwazyjne miały udawać wielki konwój płynący do Murmańska. Ta flotylla miała nagle skrócić w kierunku wybrzeża Norwegii i wziąć Niemców z zaskoczenia. Ostatecznie jednak stanęło na tym, że wszystkie siły zostaną zaangażowane we Francji. Norwegowie musieli czekać na wolność aż do upadku Berlina.

Niemiecka okupacja nie przebiegała bezproblemowo. Norweski ruch oporu mocno dawał się we znaki okupantom. Przykładem jest choćby operacja „Gunnarside” przeciw Norsk Hydro, podczas której norwescy komandosi zniszczyli zakład produkujący ciężką wodę na potrzeby niemieckiego programu atomowego. Nasz miesięcznik opublikował wywiad z Joachimem Rønnebergiem (1919–2018), który dowodził tą operacją.

To wielki norweski bohater! Jesteśmy bardzo dumni z naszego prężnie działającego ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej.

Chyba każdy słyszał o Vidkunie Quislingu i Legionie Norweskim, ale był też działający na emigracji w Londynie król Haakon VII, który był dla Norwegów bardzo ważnym symbolem.

Król odegrał bardzo pozytywną rolę w czasie wojny. Quisling miał niewielkie, wynoszące tylko kilka procent, poparcie w społeczeństwie. Quislinga nie można utożsamiać z narodem norweskim. Przeciętny Norweg gardził tym człowiekiem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Asbjørn Jaklin jest norweskim dziennikarzem i wydawcą. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Bitwa o Narwik. 62 dni desperackiej walki”.

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA
TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI „SOWIECI NIE WCHODZĄ. POLACY MOGLI WYGRAĆ W 1939 ROKU”**

W PRL-U PRZEDWRZEŚNIOWĄ POLSKĘ PRZEDSTAWIANO JAKO PAŃSTWO ZGNIŁE, A KAMPANIĘ 1939 ROKU – JAKO Z GÓRY SKAZANĄ NA PORAZKĘ BO TOCZONĄ PRZEZ NIEUDACZNIKÓW. TO NIE DO UWIERZENIA, ALE AŻ DO DZISIAJ NIKT NIE POKUSIŁ SIĘ O PRZEDSTAWIENIE STANU WOJSKA POLSKIEGO NA WIECZÓR 16 WRZEŚNIA 1939 ROKU.

Nawet najważniejsi polscy historycy uparcie powtarzają, że 17 września wojna była już przegrana. Czyżby? Jak potoczyłyby się kampania 1939 roku, gdyby do Polski nie weszli Sowieci? W kolejnym tygodniu zdolności marszowe Wehrmachtu zmalałyby do zera. Proste wyliczenie pokazuje, że Niemcom nie wystarczyłoby furmanek do transportu paliwa dla całej armii. Pod Lwów Wehrmacht mógłby dotrzeć większymi siłami około 10 października.

Czy rozważni Niemcy odważyliby się przekroczyć Wisłę, wiedząc, że Francuzi szykują się do ataku?

95 zł

oszczędność 57 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

UWAGA NOWY NR.

33 1600 1462 1816 5874 1000 0006

ORLE PIÓRO sp. z o.o.,

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

Tatry. Szczyły Jaworowe.

1820-1889 / Lekarz, społecznik, miłośnik gór i przyrody

Szczyły Jaworowe

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Tatrzański król z Warszawy



Tomasz Stańczyk

Tytus Chałubiński przybliżył Polakom Tatry, a górali wyrwał z nędzy

Tak właśnie – jak wyżej – pisał o Tytusie Chałubińskim Stanisław Witkiewicz, autor „Na przełęczy”, klasycznej książki tatrzańskiej. To właśnie za radą Chałubińskiego Witkiewicz zagrożony gruźlicą zamieszkał w Zakopanem i stał się następnie malarzem Tatr, które wzdłuż i wszerz przemierzał znakomity warszawski lekarz.

Epoka, w której żył Chałubiński, miała swoje epidemie. W 1852 r. cholera zaata-

kowała Warszawę. „Szedł dzień po dniu, a plaga, niestety coraz to się powiększała – wspominał Leon Potocki – a jaskrawe słońce nie opuszczało widnokręgu, przyświecało śmierci i pogrzebom. Trwoga powszechna ogarnęła umysły, palec Boży dotknął wszystkich bez różnicy stanu. [...] Po ulicach spotykałeś tylko przesu- wające się smutne, blade, wynędzniałe, żałobą okryte postacie; tu matka troje dzieci utraciła, mąż stracił żonę, dzieci ojca i matkę, brat brata, siostra siostrę, kochanek kochankę. [...] Jeżeli nagle usłyszałeś turkot, to lekarz co koń wyskoczy, z domu do domu, z ulicy na ulicę pędzi, to pogrzeb za pogrzebem, karawan z wolna za karawanem postępuje”.

Chorym starał się pomagać 32-letni wówczas dr Chałubiński, naczelny lekarz warszawskiego szpitala ewangelicznego. A sytuacja była nad wyraz ciężka. Jak podaje Barbara Petrozolin-Skowrońska, autorka biografii Chałubińskiego, w tym 1852 r. zachorowało ponad 11 tys.

mieszkańców Warszawy. Śmiertelność była bardzo wysoka, zmarło ponad 4,7 tys. osób. Dwa lata później zachorowało 4065 osób, zmarło 1784.

Z cholerą zetknął się Chałubiński także w Zakopanem prawie 20 lat później. Broniono się przed epidemią, stosując swoistą zasadę dystansu społecznego. „Górale – opowiadał Wojciech Kossak – radzili sobie w ten sposób, że gdy w której chatupie zaszedł wypadek cholery, to zostawiali w niej nieboszczyka albo chorego (sic!) i zabijali szczelnie drzwi i okna”.

Ferdynand Hoesick, autor „Legendowych postaci Zakopanego”, do których zaliczył oczywiście Chałubińskiego, pisał, że doktor zaczął walczyć z epidemią „środkami medycznymi i higieną”, i to tak skutecznie, że górale uwierzyli w „cudowną moc pana Ałubińskiego” i odtąd darzyli go ogromnym szacunkiem.

Chałubiński nie był cudotwórcą, nie udało mu się uratować chorej na gruź-

licę pierwszej, młodziutkiej, 19-letniej żony ani dwojga dzieci, które umarły na krztusiec lub błonicę. W powszechnej opinii był znakomitym diagnostą, miał ogromną intuicję i wzywano go do najcięższych przypadków. Wobec gruźlicy był jednak najczęściej bezradny, tak jak wszyscy lekarze do czasów wynalezienia antybiotyków. Chałubiński starał się ratować żonę Henryka Sienkiewicza, którą jednak gruźlica pokonała. Pisarz stwierdzał, że doktor „czynił, co możliwe w zakresie sił ludzkich, by ratować drogą mi istotę”, i z wdzięcznością wspominał współczucie i serce, jakie okazywał żonie i jemu Chałubiński.

Po śmierci lekarza Sienkiewicz stwierdził, że nie znał innego człowieka, który tak bardzo kochałby ludzi.

Dobrodziej górali

Nie wiadomo z całą pewnością, kiedy Tytus Chałubiński zobaczył pierwszy raz Tatry. Biografowie nie są zgodni co do tego, czy stało się to w 1848 r. czy raczej w 1849 r., gdy młody doktor miał przedostać się przez góry na Węgry, gdzie trwało powstanie przeciw Habsburgom, by służyć jako lekarz wojskowy. Za tym, że Chałubiński był rzeczywiście na Węgrzech, przemawiałoby to, iż – co przypomina Petrozolin-Skowrońska – ks. Józef Stolarczyk, zakopiański proboszcz, odnotował uczynione przez Chałubińskiego porównanie Gierlacha do Góry Detunata w Siedmiogrodzie. Gdyby Chałubiński nie widział tej góry, skąd przyszedłoby mu do głowy takie zestawienie?

Z pewnością natomiast Tytus Chałubiński był w Tatrach w 1852 r. z dwoma znajomymi. Jednak dopiero 21 lat później zaczął co roku przyjeżdżać do Zakopanego. Jego zasługi w walce z cholera, naturalny sposób bycia i dobroć podbiły serca górali, którzy obwołali go „królem Tatr”. I gdy doktor zjeżdżał pod Giewont, witano go – jak pisał Hoesick – tłumnie i hucznie, do domu odprowadzała go konna góralska banderia, wśród strzałów na wiwat. Górale rzeczywiście mieli powody do fetowania doktora z Warszawy, który tyleż czasu poświęcał eskapadom w góry, co ich losowi, gdyż starał się wydobyć ich z nędzy. To z jego inicjatywy zaczęły stosować płodozmian, siał koniżynę. Chałubiński przyczynił się bardzo

do powstania szkoły snycerskiej, a także współdziałał z Heleną Modrzejewską w założeniu szkoły koronarskiej. Zaangażował się też w nadanie Zakopanemu statusu stacji klimatycznej.

„On, kiedy jeszcze nikomu się nie śniło – stwierdzał Stanisław Witkiewicz – że zimy i wilgotny klimat górski może być zdrowym, kiedy wszyscy wierzyli w ciepło i suchość jako konieczne, obok szklanki mleka »prosto od krowy« środki lecznicze dla słabych piersiowo, on pierwszy kazał w Tatrach surowych i klimacie Laponii szukać zdrowia i wzmocnienia wątpliwych organizmów”.

Naturalnie, że sława Chałubińskiego jako znakomitego lekarza, interesującego się nie tylko jednostką chorobową, lecz także pacjentem, ścigała pod Giewont coraz to nowych kuracjuszy. A wraz z ich przybywaniem Zakopane rosło w siłę, a górale żyli dostatniej. W 1877 r. Tytus Chałubiński został członkiem honorowym Towarzystwa Tatrzańskiego, w uznaniu tych zasług, „z czego wielce korzystają Podhalanie tatrzańscy”.

Misja księdza Stolarczyka

Gdy Chałubiński dbał o zdrowie i podniesienie stopy życiowej górali, na właściwym sobie polu działał ks. Józef Stolarczyk. Do Zakopanego przybył ćwierć wieku przed tym, zanim re-

gularnie w Tatry zaczął przyjeżdżać warszawski lekarz. Jako duszpasterz nowo założonej, w 1848 r., parafii musiał skonstatować, że jego owieczki są nominalnie tylko chrześcijanami. Owszem, przynosili dzieci do chrztu do kościoła w Czarnym Dunajcu lub Chochołowie, ale to prawie tyle, ile mieli wspólnego z religią, nie licząc zachowywania postów. Co zresztą nie było specjalnym wyzwaniem, gdyż biedujący górale wyjątkowo rzadko mogli pozwolić sobie na mięso.

Stanisław Witkiewicz przytaczał powiedzenia górali, wyrażające ich filozofię religijną: „W Pana Boga wierz, ale Mu nie wierz” oraz „Jakiegoś mnie, Panie Boże, stworzyłeś, takiego mnie masz”. Kościółek, wybudowany przez ks. Stolarczyka, był dla nich nowością, do której nie od razu się przekonali. „Ja zaś wolę przy pniaku w lesie się pomodlić” – mówił niejedyn góral.

Witkiewicz stwierdzał: „Bez naciągania powiedzieć można, że górale zostali katolikami dopiero od czasów działalności księdza Stolarczyka”. Z czasem frekwencja w kościele się poprawiła – gdyż górale przestali mówić, że „nie trzeba się telo Panu Bogu naprzykrzać” – zniknął obyczaj zapalania fajek od wiecznej lampki, do spowiedzi zaś zachęcały niekiedy drobne pożyczki udzielane przez księdza.

Tajemniczą duszpasterskiego sukcesu ks. Stolarczyka było w ogromnej mierze to, że imponował góralom. Był bowiem bardzo dużego wzrostu, wyższy od nich o głowę, potężnej postury, której towarzyszyła ogromna siła. Mówiono, że bez wysiłku nosił beczkę kapusty. Nie mniej ważne było to, że ksiądz nie był kimś obcym, urodził się na Podhalu i kazania wygłaszał w gwarze góralskiej.

„Ksiądz Stolarczyk był w pełni swojej władzy nad góralami – stwierdzał Witkiewicz. – Był on takim starożytnym królem-kapłanem, teokratą, którego władzy i wpływów nie mąciła żadna inna siła, oprócz siły dzielnego temperamentu jego ludu”.

Wpływał ksiądz na poprawę obyczajów, walczył z pijaństwem, częstymi bitkami i przejawami niemoralności, przyczynił się dzięki zorganizowaniu szkółki do zmniejszenia analfabetyzmu.

„Działalność księdza Stolarczyka nie przeszła bez śladu, założyła ona podwaliny porządku społecznego, ociosała etyczne pojęcia górali, z gruba, gdyż



Tytus Chałubiński FOT. WIKIPEDIA

■ jak mówił w swoim pysznym stylu pleban zakopiański: »Duch ludzki nie da się złamać jak kij na kolanie« – ocenił Stanisław Witkiewicz.

Wyprawy w Tatry

Tytus Chałubiński zaprzyjaźnił się z ks. Stolarczykiem, niewiele od niego, bo tylko o cztery lata, starszym. Książd, zapalony wędrowiec po Tatrach, zdobywał szczytów, wprawiał go w tajniki górskich dróg i wspinaczek. Wraz z przewodnikami-góralami, którzy towarzyszyć będą później Chałubińskiemu – Wojciechem Rojem, Szymonem Tataram, Wojciechem Ślimakiem – wchodził na Lodowy Szczyt, Wagę, Rysy, a także na Gierlach. »Usłyszawszy, że Gierlach ma być najwyższą górą w Tatrach, postanowiłem mimo mojego wieku [miał wówczas 50 lat – przyp. T.S.] spróbować szczęścia i wdrapać się na szczyt». Zaprawiony w Tatrach, odrzucił pomoc przy wchodzeniu na piramidę Cheopsa, mówiąc, że jest przyzwyczajony do gór.

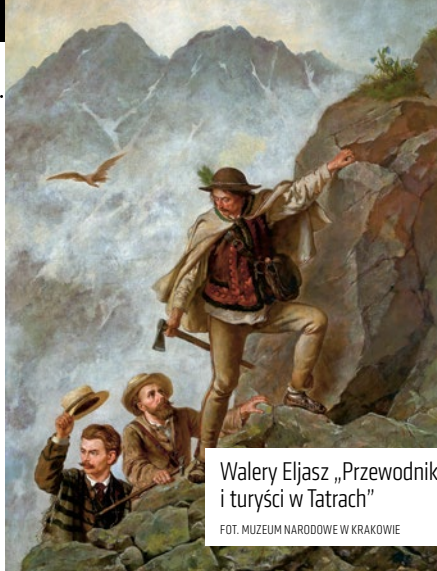
Doktor Chałubiński, rozpoczynając swoją przygodę z Tatrami, mógł już korzystać z przewodnika wydanego przez Walerego Eljasza-Radzikowskiego w 1870 r., ale przede wszystkim ufiał przewodnikom-góralom. Jego wyprawy w głąb gór i na szczyty były jedyne w swoim rodzaju, nigdy przedtem ani potem nie widziano podobnych.

W znakomitym reportażu „Sześć dni w Tatrach. Wycieczka bez programu” Chałubiński pisze, jak to ze współtowarzyszem dobrali sobie na wyprawę 10 górali. »Dla Boga, a po cóż tyle. No, naturalnie dlatego, aby nam było weselej».

Bywały i znacznie liczniejsze ekspedycje, gdy z Zakopanego ruszało pod wodzą Chałubińskiego 30, a nawet 40 osób.

„Wybierano się całym towarzystwem – opisywał Hoesick te wycieczki – z namiotami, kocami, kociołkami, samowarami, a nade wszystko z orkiestrą: z basetlą, z kobzą, z harmonią, ze skrzypcami, ze słynnym Bartkiem Obrochtą jako pierwszym skrzypkiem i przewodnikiem tej góralskiej orkiestry».

Muzyka góralska budzi skrajne emocje, można ją chociaż albo jej nie znosić. Sam Chałubiński przyznawał, że nawet najbardziej biegłemu grajkowi, jakim był słynny Sabała, uczestnik wypraw, nie udawało się unikać „skrzypienia lub doj-



Walery Eljasz „Przewodnik i turyści w Tatrach”

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

mującego pisku”, które zapewne raniły ucho doktora. Wydawać by się mogło, że hałaśliwa muzyka jest jakimś dysonansem wobec górskiej ciszy, spokoju i powagi, jaką narzucały potężne szczyty. Chałubiński uważał jednak inaczej, nawet wręcz przeciwnie: „A jednak w górach muzyka ta nie tylko nie razi, ale jest pożądaną, upragnioną. Jest ona harmonijnym dopełnieniem prawdziwie tatrzańskich wrażeń”.

Takim dopełnieniem były też ekspresyjne, dzikie tańce górali, z przeraźliwymi gwizdami, ze skokami i z wyrzucanymi w górę ciupagami. „Wpadali w szal jak derwisze” – wspominał Wojciech Kossak, uczestnik jednej z wypraw prowadzonych przez Chałubińskiego. – Miałem wrażenie – wspominał – po tym »zbójcekim«, jedynym, jaki widziałem w życiu, że bez krwi, bez mordu, strzelaniny i zgrzytu ciupagi o kość jest czymś niekompletnym, niedokończonym. Biada strażnikom skarbowym, biada Liptakom i żandarmom, gdyby teraz z nimi zadarli».

W jednym tylko miejscu górale nie tańczyli – na Gierlachu. Chałubiński opisywał ten szczyt jako wyjątkowo ponury i pośępny. „Nie widziałem – stwierdzał – aby kiedy najweselszy, najzwawszy góral zatańczył sobie na nim, jak to przecież i na Lodowym i szczególnie na Krywanii bywało”.

Po co Chałubińskiemu było towarzystwo grających i tańczących górali? „Bo góralszczyzną był chyba bardziej zauroczony niż samymi górami” – sądził Jan Kiełkowski, autor książki „Zdobycie Tatr”. Jak jednak dodawał, krytykowano ową huczność wypraw – „estetycy taternictwa uważali, że to zakłóca nie tylko spokój tatrzańskiej przyrody, lecz także niemal ołtarzowe dostojeństwo Tatr”.

Chałubiński nie poszukiwał w górach mocnych wrażeń ani ekstremalnych

wyzwań. Tatry były w jego pojęciu czynikiem terapeutycznym. Pisał: „Obecna chwila nie troszczy nas wcale, i to właśnie tłumaczy dotykany i zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł”.

Nie były to jednak dla Chałubińskiego wycieczki relaksacyjne, „botanizował” podczas nich, czyli zbierał mchy, których był wybitnym znawcą, a kilkaset ich okazów podarował Muzeum Tatrzańskiemu.

Tak jak góralom imponowała potężna postura i siła ks. Stolarczyka, tak Chałubiński imponował im kondycją podczas wycieczek. „Cuda też opowiadają o jego wytrwałości – relacjonował Witkiewicz – o jakimś stanie dziwnego podniecenia, w którym nie jedząc nic, kiedy już cała czereda górali padała ze znużenia, on jeszcze przed zapadnięciem nocy wdzierał się gdzieś na najniebezpieczniejsze szczyty”.

Zapewne z powodu „impreszewego” charakteru wypraw Chałubińskiego utarła się opinia o nim, że wszedł na niewiele szczytów i sam nie uczestniczył w żadnym pionierskim przedsięwzięciu taternickim. „Jest wręcz przeciwnie – stwierdzał Jan Kiełkowski. – Chyba żaden turysta czy taternik nie posiadał tak długiej listy dokonań jak on”. Autor „Zdobycia Tatr” podaje, że Chałubiński brał udział w pionierskich wejściach na Ponad Ogród Turnię i Ponad Staw Turnię, brał udział w wejściu nową drogą na Wysoką, pierwszym trawersowaniu Gierlachu ze wschodu na zachód i wejściu nową drogą na Lodowy Szczyt oraz Kończystą. Oczywiście Chałubiński był także na Łomnicy, Krywanii i na Rysach.

Pewnego razu Chałubiński wypatrzył szczelinę między skałami, przez którą można było podziwiać fantastyczny widok. „Była to dla każdego z nas miła niespodzianka za wszystkie przebyte trudy, hojnie tym widokiem ze skalistego okna wynagrodzone zostały” – wspominał ks. Stolarczyk. Miejsce to zostało nazwane „Oknem Chałubińskiego”.

„Król Tatr” zmarł w Zakopanem w 1889 r. Adam Wrzosek, jego biograf, pisał, że Chałubiński „był jednym z najsympatyczniejszych, a przeto jednym z najmilszych sercom polskim. [...] Najbardziej znamiennej jego cechą była wrodzona jakby jakaś siła moralna, przyciągająca doń niemal każdego człowieka, który się z nim zetknął, i zniewalająca do uznania jego wielkości”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

75 lat temu / Pierwsza fala przesiedleń Polaków ze Wschodu

Przesiedleńcy z Kresów
Wschodnich FOT. ZAKŁAD
NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

Z krańców na krańce



Piotr Semka

Do końca 1946 r. spoza linii Curzona przybyli na ziemie pod polską administracją komunistyczną 1 394 052 osoby...

Ten gorzki żart powtarzał się często w rozmowach Polaków wysiedlanych ze wschodnich województw Rzeczypospolitej. Podróżowali z jednego krańca ziem polskich na drugi, nowo wyznaczony w Jałcie i Poczdamie. Mija 75 lat od apogeum operacji przesiedlania Polaków na ziemie zachodnie. Niestety, nie towarzyszy temu żaden ogólnopolski program uroczystości, a przecież trzecią część naszych obecnych ziem zaludniają Polacy, którzy albo sami tego przesiedlenia doznali, albo było ono losem ich rodziców lub dziadków. Wtedy, w latach 1945–1946, podróżowali tygodniami, stłoczeni w bydlęcych wagonach, nie

wiedząc, ani gdzie są, ani jak zaczną nowe życie.

Z tej pociągowej epopei ok. 3 mln Polaków zachowało się niezwykle mało relacji i zdjęć. „Ludzie rzucili się do wagonów i zajmowali je całymi rodzinami. Ruszyłam z dziećmi za naszą sąsiadką z Druskiennik Wikcją Cywińską, byliśmy więc w wagonie razem. Wikcia od lat wdowa miała chociaż wsparcie ze strony prawie dorosłych dzieci. Jednak kolejarze upchnęli do naszego wagonu także bardzo młodą kobietę z bardzo chorym rocznym dzieckiem. Kobieta była blada jak ściana, zrezygnowana, ubrana biedniutko, bez żadnych tobołków, jakby wybierała się na przejażdżkę, a nie w podróż na drugi koniec świata”. Ta relacja Wiktorii Kwiatkowskiej z Druskiennik pokazuje, jak traktowani byli Polacy, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swych ziem.

Formalnie ewakuację nadzorowała wspólna komisja polsko-sowiecka, ale faktycznie rosyjscy strażnicy i kolejarze byli panami życia i śmierci. Umowa między Związkiem Sowieckim a PKWN, zawarta 6 lipca 1945 r., mówiła o wymianie ludności po zaakceptowaniu przez ekipę Bieruta linii Curzona. Oznaczało to, że Polskę opuści ludność pochodzenia ukraińskiego i białoruskiego, a prawo do opuszczenia ZSRS zyskają ludność polska i żydowska.

W tym ostatnim przypadku chodziło głównie o obywateli polskich pochodzenia żydowskiego wywiezionych w głąb ZSRS w latach 1939–1941. W przypadku terenów dawnych województw wschodnich RP niemiecka polityka eksterminacji spowodowała niemal stu procentowe wyniszczenie ludności żydowskiej.

Jak wskazuje historyk Henryk Bartoszewicz: „Umowa dotyczyła ludności polskiej i żydowskiej, która przed 17 września 1939 miała obywatelstwo polskie. W listopadzie 1944 r. zastępca ludowego komisarza spraw zagranicznych Andriej Wyszyński poinformował przedstawiciela PKWN w Moskwie Stefana Jędrzychowskiego, że władze sowieckie wyraziły zgodę na składanie podań o opcję. Wyszyński zapewnił Jędrzychowskiego, że wszyscy, którzy złożą odpowiednie dokumenty, będą traktowani jako obywatele polscy”.

Ci z Wołnia, ci z Wilna

Praktyka bywała różna. W różnych miejscach Kresów w różnicowany sposób przedstawiała się gotowość Polaków i Sowietów do opuszczania tych ziem. ■

Hubert Mordawski, nie było to łatwe zadanie. I zarządowi centralnemu brakowało fachowców, pieniędzy, środków transportu, wyposażenia, sprzętu, lekarstw i żywności. Sprawę komplikowało dodatkowo to, że PKWN oddał jeszcze w wyniku umowy z 1944 r. pełną władzę nad siecią kolei wojskowym władzom sowieckim. Powodowało to sytuacje, w których transporty Polaków były spychane na boczny tor wskutek zasady pierwszeństwa dla zaopatrzenia wojsk sowieckich w trwającej jeszcze wojnie, a po jej zakończeniu w ramach priorytetu przejeżdżania przez Polskę transportów z wojskiem sowieckim dla okupacji Niemiec i Austrii.

Wszystko to spowodowało, że akcja osiedleńcza mogła ruszyć dopiero jesienią 1945 r. Najsprawniej działały dwie linie kolejowe. Pierwszą była trasa Lwów–Legnica, po której przewożono Polaków z Kresów na Śląsk Opolski, Dolny Śląsk, ziemię lubuską. Drugi szlak prowadził z Brześcia do Poznania i docelowo docierał do Szczecina i miast Pomorza Zachodniego. Tutaj najczęściej było Polaków, którzy musieli opuścić Białoruś i Litwę.

Szczęściem w nieszczęściu było to, że po dotarciu polskich wygnańców na ziemie zachodnie początkowo nie było żadnych problemów z ich osiedlaniem. W opuszczonych przez Niemców miastach było początkowo dostatecznie dużo pustych mieszkań, domów,

leśniczówek, tartaków, młynów, stawów hodowlanych i całych folwarków. Problem stanowiło raczej nieprzyzwyczajenie mieszkańców z biednych rejonów, takich jak dawne województwo nowogrodzkie czy pińskie, do niemieckich wsi będących na wyższym poziomie gospodarczym. Akcja osiedleńcza weszła w decydującą fazę na przełomie lat 1945 i 1946. Nie zmieniało to faktu, że w wielu rejonach Ziemi Odzyskanych Niemców było wciąż więcej niż Polaków. A to dlatego, że alianci zachodni żądali czasu na przygotowanie się do przyjęcia Niemców, którzy mieli opuścić teren RP.

Wyjątkowo słabo wyglądała akcja osiedleńcza na terenie Warmii i Mazur. Przykładowo na początku lipca 1945 r. (a więc prawie pół roku po ucieczce wojsk niemieckich) w powiecie mrągowskim mieszkało 24 tys. Niemców i ok. 450 Polaków. Przykładowo w Mikołajkach w tym okresie mieszkało 900 Niemców i zaledwie dwóch Polaków. Z kolei w stolicy powiatu Żądzbork (później nazwanym Mrągowem) żyło 3,2 tys. Niemców i jedynie 113 Polaków. Do grudnia 1945 r. przyjechało na ziemie zachodnie w sumie 798 250 osób ewakuowanych z Litwy, Białorusi i Ukrainy oraz z głębi ZSRS. Niepokoił przybyszy brak jasnej koncepcji ustalającej obejmowanie własności ziemi. Nowych osadników starano się uspokajać, twierdząc, że w Polsce kołchozy są nie do pomyślenia i że opinię tę miał poświadczyć swoim autorytetem Stalin.

Żadnych jasnych określeń długo jednak nie było.

Od Belgii do Mandżurii

Rok 1946 to apogeum akcji przesiedleńczej. Na początku roku Władysław Gomułka – ówczesny minister Ziemi Odzyskanych – ogłosił plan przyjęcia i zasiedlenia na ziemiach zachodnich od 2,5 do 3 mln osób, z czego ponad dwie trzecie ludności w gospodarstwach rolnych. Poważnym wsparciem dla polityki osiedleńczej władz była pomoc amerykańska w postaci programu UNRRA. Ewakuacja Polaków z terytorium Białorusi i Ukrainy w swoim podstawowym kształcie zakończyła się w 1946 r.

Z Białorusi trafiło do Polski w sumie 226 tys. osób, choć wolę opuszczenia terytorium białoruskiej SRR wyraziło 529 173 zarejestrowanych. Jak się okazywało, także na Białorusi sowieckie władze zastopowały wyjazdy, obawiając się skutków migracji dla ich produkcji żywności. O wiele więcej wyjechało Polaków z ukraińskiej SSR, które opuściło 752 tys. Polaków. Do tego dochodzili ci, którzy wracali z łagrów na terenie całego ZSRS. Przyjechali stamtąd do Polski 244 tys. ludzi, z czego aż 221 tys. dopiero w 1946 r. Łącznie spoza linii Curzona do końca 1946 r. przybyły 1 394 052 osoby, z czego na ziemiach zachodnich osiedliło się 1,085 mln osób. Pozostali – czyli ok. 320 tys. – zamieszkało u swoich krewnych na terenie Polski Centralnej.

W o wiele lepszych warunkach osiedlono przybyszy czy to z dawnych Niemiec (głównie Westfalii), czy to górników z Francji i Belgii. Do końca roku przyjechało ich 190 tys. Zdarzały się też tak egzotyczne grupy repatriantów (w stosunku do nich to słowo akurat pasowało) jak 15 tys. Polaków z Jugosławii czy 552 osoby z Rumunii. Najbardziej egzotyczną grupą Polaków powracających z zagranicy była Polonia z chińskiego Harbinu, która dotarła do Polski dopiero na przełomie lat 40. i 50.

Rozpoczął się nowy etap – zagospodarowywanie ziem zachodnich. Dla ludzi, którzy stracili wszystko, była to szansa na chwilę wytchnienia po prawie 10 latach braku stabilizacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Sławomir Koper

Stanisław Cichocki zwany Szpicbródką uchodził za króla kasiarzy, miał jednak wielu znakomitych poprzedników, niemal dorównujących mu sławą

Kasiarze byli znenawidzeni przez bankierów, przemysłowców czy zamożnych kupców, jednak szerokie kręgi społeczeństwa traktowały ich z pewną dozą sympatii. Nie potępiano specjalnie rabowania najbogatszych, z reguły dobrze ubezpieczonych, i czasami wręcz kibicowano złodziejom. Kasiarze stanowili bowiem elitę zawodu, unikali brutalnych metod, a uszczuplanie majątku zamożnych obywateli często uważano za rodzaj „sprawiedliwości społecznej”. Doceniano zresztą pomysłowość, tupet i bezczelność włamywaczy i wbrew oficjalnemu nastawieniu prasy ich działania nieraz spotykały się z przychylnymi komentarzami...

Warszawscy kasiarze

W złodziejskim fachu od zawsze trwała rywalizacja; potencjalne ofiary starały się jak najlepiej zabezpieczyć swój majątek, natomiast przestępcy doskonalili metody rabunku. Pierwsze kasy pancerne („skrzynki zabezpieczające od kradzieży i ognia”) zaczęto wprowadzać w połowie XIX w., szybko jednak uznano, że nie stanowią one wystarczającego zabezpieczenia przed złodziejami. Dlatego pojawiły się systemy alarmowe, które miały zawiadamiać o próbach rabunku, zanim przestępcy przystąpią do prucia kas. Początkowo nie były one specjalnie skomplikowane, stanowiły jednak dodatkowe zabezpieczenie przed włamaniem.

„U jednego z panów przedsiębiorców – opisywał Bolesław Prus – widziałem

Rozpoznawcze znaki złodziejskie FOT. NAC



XIX-XX w.

Słynne włamania i sławni włamywacze

Poprzednicy „Szpicbródky”

dwie następujące maszyny antyzłodziejskie: pierwsza była szufladką bez zamka, która (jeżeli otworzy ją osoba nieznaną sekretów właściciela) ogłasza fakt ten dzwonieniem zdolnym obudzić umarłego; drugą jest przyrząd, który umieszczony przy drzwiach, w razie otwierania takowych przez złodziei, ogłasza fakt ten dzwonieniem zdolnym zabić żyjącego”.

Zamożni obywatele mieli prawo obawiać się włamywaczy, uczciwie trzeba bowiem przyznać, że ówczesni złodzieje działali z niezwykłym tupetem. Jedną

z ich najbardziej bezczelnych akcji było włamanie przez dach do ekskluzywnego składu futer, gdzie zanim przystąpili do rabunku, zjedli elegancką kolację. Po zaspokojeniu potrzeb fizjologicznych przystąpili do pracy i systematycznie opróżnili sklep z najcenniejszego towaru.

Natomiast w styczniu 1882 r. dokonano głośnej kradzieży w „składzie wyrobów złotych i srebrnych J. Arszagi w domu hr. Krasińskiego przy ul. Wierzbowej”. Złodzieje wykorzystali to, że pla-

cówkę zamkniętą z okazji Święta Trzech Króli i bez pośpiechu dokonali rabunku.

„O ile przypuszczać można – relacyonowano na łamach »Kuriera Warszawskiego« – złodzieje bawili w sklepie dwie noce i jeden dzień. Zakradli się do sklepu w nocy z czwartku na piątek. W piątek sklep był zamknięty. Sklep otwarto w sobotę rano i wówczas dopiero kradzież spostrzeżono. Złodzieje ci byli zdaje się wykwalifikowanymi specjalistami, dobrze obeznanymi z kasami ogniortwałymi. Wiedzieli oni, że pierwsze ściany w kasach są śrubowane, odszukali tedy śruby ukryte i takowe wyjęli. Drugie ściany są lutowane i o tym [też] wiedzieli złodzieje. Za pomocą świdrów i piłek gustalowych [do cięcia stali – przyp. S.K.] wycięli te ściany, smarując świdry i piły oliwą dla usunięcia piasku i skrzypu [hałasu – przyp. S.K.]”.

Łupem przestępców padły wyroby jubilerskie i gotówka o łącznej wartości aż 60 tys. rubli (księgowy w dobrej firmie zarabiał nieco ponad 800 rubli rocznie), był to największy złodziejski łup w dotychczasowej historii stolicy. Nic zatem dziwnego, że poszkodowany ufundował wysoką nagrodę za pomoc w ujęciu sprawców, a policja przystąpiła do energicznych działań. W efekcie włamywacze trzy dni później zostali aresztowani.

Okradanie kas pancernych wymagało poważnych nakładów. Konieczne były: specjalistyczny sprzęt, duża wiedza techniczna oraz współdziałanie osób pracujących w instytucji mającej być celem rabunku. Najważniejsza była informacja o typie kasy i systemach dodatkowych zabezpieczeń, nie bez powodu tzw. nadawcy pobierali wysoką prowizję sięgającą 40 proc. wartości zrabowanych przedmiotów.

„To wszystko, co mówi »nadawca« – wspominał pewien »emerytowany« kasiarz – trzeba jeszcze sprawdzić z własnym wywiadem, na poczcie, w banku, przez śledzenie pewnych osób. Następnie musi być przeprowadzone doskonale rozeznanie w terenie: czy można wejść przez piwnicę, sklep czy sufit. Trzeba też sprawdzić, co się będzie przebijało, bo betonu nie warto ruszać”.

Doświadczeni złodzieje doskonale orientowali się w słabych stronach różnego rodzaju sejfów. Wiedzieli, do których modeli można dostać się z boku, a do których wyłącznie od strony ściany tylnej. Czasami wystarczała nazwa

producenta, wówczas wiadomo było, czy kradzież „da się zrobić zwykłym sposobem, to jest rakiem, czy też nie”. Prawdziwi fachowcy nigdy nie włamywali się bez dobrego rozpoznania, od doboru odpowiednich narzędzi zależało powodzenie całego przedsięwzięcia.

Gdy była możliwość, kasiarze unikali skomplikowanych metod otwierania sejfów. Próbowano zdobyć kontakt do osoby mającej dostęp do kluczy w celu sporządzenia odcisków. To znacznie przyspieszało pracę i gwarantowało pozostawienie mniejszej liczby śladów na miejscu przestępstwa. Z tego powodu niechętnie korzystano z palników (wymagało to dodatkowego sprzętu) czy materiałów wybuchowych powodujących znaczny hałas i niebezpiecznych dla samych włamywaczy.

Dobrzy specjaliści poszerzali obszar pracy. To były czasy powolnego przepływu informacji, zatem częste zmiany terenu działania zwiększały skuteczność kradzieży. Dzięki dużej mobilności najlepsi fachowcy mogli też bez większych przeszkód rabować przez długie lata.

W ostatnich dekadach XIX w. prasa regularnie informowała o wyczynach kasiarzy. W 1874 r. na łamach „Kłósów” pisano, że „w ostatnim czasie coraz częściej słyhać o kradzieżach dokonywanych z dużą znajomością sztuki ślusarskiej”. Ćwierć wieku później uznano, że sytuacja stała się alarmująca, gdyż przestępcy „doprowadzili do artyzmu technikę swego fachu”. Wydawało się, że nie ma sposobu na powstrzymanie złodziei, bo gdy system alarmowy okazywał się

zbyt skomplikowany, potrafili wywiercić otwór w ścianie i dostać się do sklepu czy firmy od strony sąsiednich budynków. Pojawiły się również pierwsze podkopy, które miały zapewnić swobodę działania w wybranym czasie. Przeważały jednak włamania „w starym stylu”, a złodzieje zadawali się czasem stosunkowo niewielkimi łupami.

„Wczoraj rano – informował »Kurier Warszawski« w połowie czerwca 1908 r. – kiedy otwierano skład wyrobów metalowych Koreblanta i Gapnera w domu nr 27 przy ulicy Grzybowskiej, spostrzeżono, iż znajdująca się w składzie kasa ogniortwała jest rozbita. Złodzieje, dostawszy się do składu od podwórza, po wyłamaniu kasy, zabrali z niej 693 ruble, kupon na 2 ruble 50 kopiejek, 10-markową monetę złotą i sumę 200 rubli papierów procentowych”.

Kilka dni później redakcja „Kuriera” sama stała się celem włamania kasiarzy, o czym gazeta uczciwie poinformowała swoich czytelników...

Elita zawodu

Największym zainteresowaniem opinii publicznej i dziennikarzy cieszyli się jednak bohaterowie spektakularnych rabunków, kiedy łupem złodziei padały duże sumy pieniężne lub kosztowna biżuteria. Wówczas było o czym pisać i o czym dyskutować w biurach i kawiarniach. Dziennikarze cenili sobie również sprawne działania policji. Oceniano wówczas pozytywnie stróżów prawa, nie zastanawiając się nad powodami ich sukcesów. Wzmacniało to poczucie bezpieczeństwa wśród zamożnych obywateli, dlatego w prasie codziennej poświęcano wiele miejsca na opisy podobnych wydarzeń.

Nowe typy sejfów wymagały drogich, specjalistycznych narzędzi, do łask powróciły też materiały wybuchowe i palniki acetylenowe. Używanie ich wymagało jednak zapewnienia odpowiedniego dostępu do skarbów, do czego najlepiej nadawały się podkopy, co jeszcze podnosiło koszty. Dla dobrych fachowców nie istniały jednak przeszkody, a ich inwencja nieraz zaskakiwała policję. Warszawski kasiarz Szmuel Wardecki podczas „gościnnych występów” w szwajcarskiej Bazylei okradł skarbiec jednego z banków, wykonując podkop o długości 80 metrów...



FOT. ANDRZEJ STOK



Przygotowanie odpowiedniego tunelu wymagało najczęściej posiadania legalnego sklepu, zakładu usługowego czy wręcz kamienicy w pobliżu miejsca planowanego rabunku. Najczęściej wynajmowano odpowiedni budynek i prowadzono w nim pozorną działalność, czasami jednak efekty kamuflażu potrafiły zaskoczyć samych złodziei. Dobrze opisywał to w jednej ze swoich powieści Sergiusz Piasecki:

„Zameldował się jako kupiec i rzeczywiście założył sklep przy ulicy Pietropawłowskiej obok kina »Lux«.

Był to sklep dzieciennych zabawek. Ażur, z ogłoszenia w gazecie znalazł sobie ekspedientkę. [...] Ekspedientka zrobiła bardzo gustowną wystawę. Ładnie urządziła wewnątrz, sama sprowadziła na kredyt i brała w komis zabawki i sklep zamiast spodziewanego deficytu zaczął dawać zyski”.

Najważniejsza chwila przyszedła, gdy przestępcy dotarli już do skarbcza i przystępowali do rozbicia kasy. Pomimo postępu w technice budowy sejfów najważniejszym narzędziem nadal pozostawał tzw. rak – rodzaj dużego noża wykonanego z najlepszej stali, a dodanie długiego ramienia stanowiącego dźwignię umożliwiało prucie nawet grubych stalowych ścian kas. Oczywiście należało zacząć od zrobienia świdrem otworu, który umożliwiał włożenie noża.

Gdy jednak uznano, że rozprucie kasy za pomocą raków może być zbyt czasochłonne, używano palników, przetapiając ściany sejfów. Oczywiście było to możliwe wyłącznie po wcześniejszym dokładnym rozpoznaniu warunków terenowych i rodzaju kasy.

Szcześciarze i pechowcy

Nie wszystkie udane włamania przynosiły przestępcom zyski. Czasami zawodziło rozpoznanie, niekiedy o niepowodzeniu decydował przypadek. Złodzieje, którzy rozbili kasę gminną w Brodusku (pow. konecki), znaleźli w niej tylko 35 zł, z niewiadomych powodów wyplacono

W 1932 r. „Szpicbródka” stanął przed sądem

FOT. DOMENA PUBLICZNA

bowiem urzędnikom wynagrodzenia dzień wcześniej niż zwykle. O dużym pechu mógł mówić rzeszowski włamywacz o nazwisku Rajchaman, który po rozpruciu sejfu w eleganckiej drogerii znalazł tam tylko 2 zł. Podobno zdarzali się jeszcze więksi pechowcy, w przestępczym światku opowiadano historię o nieszczęśnikach, którzy po kilku godzinach prucia kasy znaleźli w niej tylko 40 gr.

Wprawdzie do najbardziej spektakularnych włamań dochodziło w dużych miastach, jednak na prowincji także można było znaleźć godny łup. Złodzieje, którzy za pomocą podkopu przedostali się do skarbcza Miejskiej Kasy Oszczędności w Krośnie, zrabowali tam ponad 47 tys. zł. Na wysokość zdobyczy nie mogli także narzekać autorzy najbardziej spektakularnego włamania w dziejach II Rzeczypospolitej, którzy latem 1933 r. rozpruli kasę w kancelarii na Zamku Królewskim w Warszawie. Z biura znajdującego się pod bokiem prezydenta Mościckiego wynieśli ponad 22 tys. zł, papiery wartościowe i biżuterię.

Inicjatorem włamania był „pochodzący z rodziny Złodzijskiej” woźny zamkowy, Henryk Jasiński, który dobrał do współpracy doświadczonych kasiarzy: Józefa Misiaka i Wincentego Strychalskiego. W dniu włamania złodzieje dostali się do zamku w strojach robotników budowlanych (towarzyszył im jeszcze szwagier woźnego, Piotr Piskorski) i korzystając z zamieszania spowodowanego przebudową gmachu, bez przeszkód rozpruli kasę i uciekli z łupem.

Władze uznały kradzież za największą kompromitację służb porządkowych w dziejach II Rzeczypospolitej i cała stołeczna policja została poderwana do akcji. Szybko ustalono, że woźny Jasiński „spotyka się na tyłach Cmentarza

Powązkowskiego z włamywaczami”, i niebawem aresztowano całą czwórkę. Zapadły surowe wyroki: kasiarze dostali po sześć lat więzienia, woźny – cztery lata, a jego szwagier – rok. Nigdy nie wyjaśniono jednak, co stało się z pieniędzmi zrabowanymi z zamku...

Prucie kas stawało się tak popularnym procederem, że prasa często donosiła o kilku kradzieżach naraz. W 1930 r. głośna była sprawa obrabowania skarbcza Banku Handlowego w Łodzi. Włamanie odkrył jeden z dyrektorów placówki, który wieczorem wrócił do biura i nie mógł odnaleźć woźnego mającego w tym czasie dyżur. Niebawem do banku przyjechała też żona drugiego woźnego, który już dawno powinien być w domu, ale jeszcze nie wrócił z pracy. Dyrektor, chodząc po banku, zauważył, że zamki do skarbcza były naruszone, drzwi zaryglowane, a ze środka dobiegały jakieś odgłosy.

Wezwano policję, skarbiec otwarto drugim kompletem kluczy, a wewnątrz znaleziono innego dyrektora oraz obu woźnych uwięzionych przez kasiarzy. Śledztwo wykazało, że ze złodziejami współpracował goniec pracujący przez kilka lat w tym banku. I to właścicielem był jedyny sukces policji, gdyż po rabusiach, ich pomocniku i zrabowanych pieniądzach wszelki ślad zaginął.

Doświadzeni kasiarze cieszyli się wielkim szacunkiem w środowisku, ich nazwiska lub pseudonimy wypowiadano z prawdziwą czcią. Gdy policja Wolnego Miasta Gdańska zastrzeliła jednego z największych specjalistów z tej branży, niejakiego Birnbauma, jego znajomi z półświatka sprowadzili na własny koszt jego zwłoki do Warszawy. W pogrzebie na warszawskim Bródnie wzięło podobno udział aż 5 tys. żałobników, a cała impreza przypominała uroczystości żałobne amerykańskich rodzin mafijnych. Jednak to nie Birnbaum stał się symbolem kasiarza, rolą tą miała przysiąść Stanisławowi Cichockiemu nazywanemu Szpicbródką.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: S. Piasecki, „Spójrz ja w okno”, Łomianki 2009, s. 5; S. Milewski, „Szemrane towarzystwo niedajdyskiej Warszawy”, Warszawa 2009; „Roczniki Prasy Warszawskiej: 1874–1931”.



Marek Gałęzowski

Jeden z nich oświadczył bolszewikom, którzy przyszli ich rozbroić: „Broń weźmiecie tylko od martwych”...

Polscy żołnierze, których rok 1918 zastał w Rosji na obszarach opanowanych przez bolszewików, znaleźli się w dramatycznej sytuacji. „Pastwą bolszewickiego okrucieństwa przeważnie padali ci z żołnierzy, którzy nie umieli po rosyjsku. A więc byli jeńcy z armii austriackiej, zaś przede wszystkim rozbitkowie drugiej, tzw. żelaznej brygady generała Hallera” – pisał w opowiadaniu „Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica” Eugeniusz Małaczewski. Nie inaczej było w przypadku żołnierzy pierwszej polskiej formacji, która powstała w Rosji – Korpusu gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego.

Tragiczne losy tych spośród nich, którzy zginęli z rąk bolszewickich, usiłując przedostać się do Polski, znajdują symboliczny wyraz w historii dwóch wybitnych oficerów – płk. Bolesława Mościckiego i rtm. Bronisława Romera. Mościcki był pierwszym dowódcą 1. Pułku Ułanów Krechowieckich – najstarszego w polskiej kawalerii, który swoją pełną nazwę uzyskał dzięki bohaterstwu okazanemu latem 1917 r. w bitwie z wojskami niemieckimi pod Krechowcami. Rotmistrz Bronisław Romer, którego życie sprzęgło się z biografią Mościckiego, był jednym z najbardziej wyróżniających się charakterem i męstwem oficerów tego pułku.

Bohater ułanów

Bolesław Mościcki, urodzony w 1877 r., wywodził się z drobnej szlachty mazowieckiej. Syn powstańca styczniowego i zesłańca, jako Polak z zaboru rosyjskiego, który chciał służyć w wojsku, mógł to uczynić, jedynie wstępując do armii carskiej. W końcu XIX w. nie był to wybór rzadko spotykany. Po ukończeniu szkoły oficerskiej Mościcki uzyskał awans na



Bolesław Mościcki i odznaka pamiątkowa 1. Pułku Ułanów Krechowieckich

FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS, MNK

1918 r. / Bolesław Mościcki i Bronisław Romer

Duma o dwóch krechowiakach

stopień podporucznika. Służył w kawalerii Zaamurskiego Okręgu Straży Granicznej w Mandżurii. Wziął udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, a później dowodził szwadronem kawalerii walczącym z chunchuzami. Nie byli to – jak mylnie piszą niektórzy autorzy – Tunguzi, lecz rozbójnicy chińscy, o których wspomina m.in. Alfred Szklarski w „Tajemniczej wyprawie Tomka”. Na pograniczu rosyjsko-mandżurskim, nad Amurem, chunchuzi napadali na podrózników, mniejsze osady i na odcinki budowanej tam przez Rosjan Kolei Wschodniocchińskiej.

Mimo wielu lat pobytu tak daleko od Polski „ani na chwilę w swej służbie nie przestał Bolesław Mościcki być

gorącym, żarliwym, czynnie podkreślającym swą polskość patriotą. Pracuje dla Polski nie tylko wśród swych podkomendnych [...]. Wszyscy rozsiani na Dalekim Wschodzie Polacy, którzy się z nim tylko zetknąć mogą, znajdują zawsze książkę polską i polskie czasopismo w jego bibliotece, mocne, gorące, pełne wiary w przyszłość słowo otuchy” – pisał Karol Koźmiński w „Kamieniach na szaniec”.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Mościcki jako dowódca szwadronu 2. Zaamurskiego Pułku Kawalerii wyróżnił się wielokrotnie odwagą w walkach z Niemcami i Austro-Węgrami, otrzymując najwyższe odznaczenia rosyjskie, ■

■ stopień pułkownika i dowództwo 1. Zaamurskiego Pułku Kawalerii. Musiał mieć bardzo duży autorytet wśród Polaków służących w armii rosyjskiej. Kiedy bowiem po rewolucji lutowej w Rosji zaczęto tworzyć wśród nich jednostki wojskowe, delegacja powstałego wówczas 1. Pułku Ułanów poprosiła go o objęcie nad nim dowództwa. Stało się to 19 lipca 1917 r., a już trzy dni później polscy ułani pod komendą Mościckiego obronili mieszkańców Stanisławowa przed grabieżcami i gwałtami oddziałów rosyjskich wycofujących się pod naporem Niemców i niepoddanych już rygorom dyscypliny wojskowej. Jak pisał świadek tych wydarzeń, oficer krechowiaków, Antoni Bogusławski, ułani „dokonali dzieła sprawiedliwości szybko i sprawnie, karząc doraźnie grabieżców”.

Po przywróceniu porządku w mieście pułk Mościckiego otrzymał zadanie osłony jednej z rosyjskich dywizji piechoty od strony wsi Krechowce pod Stanisławowem. Tam 24 lipca 1917 r. polscy ułani stoczyli bitwę z Niemcami, która przyniosła pułkowi i jego dowódcy chwałę oraz rozgłos na całym froncie rosyjskim. Przez całą bitwę „Mościcki był wszędzie tam, gdzie szwadrony szły do ataku, a po upewnieniu się, że 2-gi i 3-ci szwadron działają sprawnie na prawym skrzydle, przejechał na lewe skrzydło, ażeby kierować działaniami 4-go i 1-go szwadronu; znajdował się on stale pod ostrzałem ognia artyleryjskiego, a często i karabinów maszynowych” – pisał Henryk Bagiński. Męstwo okazane w tym boju przez polskich ułanów podziwiali nie tylko Rosjanie, lecz także Niemcy, jak zaś oceniał Bogusławski, bitwa pod Krechowcami „śmiałością godną jest stanąć obok Somosierry i Rokitny”. Zwycięstwo dodało do nazwy pułku wspomniany przydomek Krechowieckich.

Opuszczając przyjazny Stanisławów, płk Mościcki dał silny wyraz, że jego pułk jest wojskiem polskim, pozostającym przejściowo w armii rosyjskiej, lecz docelowo dążącym do służby powstającemu państwu polskiemu. Tak oto pisał do burmistrza Stanisławowa: „Jedynym promieniem jasnym, który nam żyć każe, jest głębokie przekonanie, że ta Ukochana Polska Nasza zmartwychwstała teraz z gruzów i podnosi się do nowego życia. Wspaniała, Niepodległa i Silna. [...] Nowo powstającemu Rządowi Polskiemu składamy hołd! Przewodnikowi i Bu-



Pierwszy z lewej Stefan Suszczyński, były dowódca 1. Pułku Ułanów Krechowieckich FOT. NAC

dzielowi militarnemu dzieła Polaków, generałowi Piłsudskiemu, Wiernemu Synowi Ojczyzny, czołem! Wierząc w rychłe wszystkich Polaków, walczących obecnie pod obcymi sztandarami o wolność Ojczyzny, zjednoczenie w nowo powstającej pod sztandarem narodowym armii w kraju naszym ukochanym, ślemy szczerze, braterskie pozdrowienie”.

Za wszelką cenę do Polski

Wkrótce pułk włączono do I Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbora-Mościckiego, z miejscem postoju w Dukorach pod Mińskiem. Na początku 1918 r. zaczęły się pierwsze utarczki polskich ułanów z dążącymi do zniszczenia polskiego korpusu bolszewikami. Kiedy ci usiłowali podstępnie wymóc rozbrojenie polskich żołnierzy, Mościcki im odpowiedział: „Broń weźmiecie tylko od martwych”. Wkrótce pułkownik zdecydował o dołączeniu do głównych sił korpusu skoncentrowanych w Bobrujsku. Drogę jego pułku znaczyły liczne starcia z bolszewikami.

Dalsze pozostawanie Korpusu w otoczeniu przeważających sił bolszewickich i wrogo nastawionej ludności miejscowej groziło jednak jego zniszczeniem. Dlatego 11 lutego 1918 r. gen. Dowbor-Muśnicki wyznaczył płk. Mościckiego na szefa delegacji, która miała przedostać się do Królestwa Polskiego. Celem było nawiązanie kontaktu z Radą Regencyjną, namiastką władzy na ziemiach polskich, utworzoną przez państwa centralne, i stworzenie warunków przybycia korpusu do Królestwa Polskiego.

Mościcki wyruszył w asyście szwadronu dowodzonego przez rtm. Bronisława Romera. 17 lutego 1918 r. we wsi Łopatycze natknęto się na bolszewików. Polski oddział w ciężkim boju odniósł

zwycięstwo, ale mimo to swobodne przejście na zachód okazało się niemożliwe. Pułkownik zdecydował się wówczas odesłać ułanów i z kilkoma członkami delegacji pieszo przedostać na obszar zajmowany przez wojska niemieckie. Wydawało się, że w marszu przez wrogie terytorium bezpieczniej będzie rozdzielić i tę grupkę, lecz zaraz po tym, 18 lutego 1918 r. w pobliżu leśniczówki Dub w powiecie słuckim, przedzierający się samotnie do Polski płk Mościcki zginął, napadnięty przez żołnierzy bolszewickich i podburzonych przez nich chłopów.

Decyzję płk. Mościckiego o samodzielnej próbie przedzierania się do kraju skrytykował później gen. Dowbor-Muśnicki, dość małoostkowo uznając, że pułkownik nie wykonał ściśle rozkazu, by „za wszelką cenę dotrzeć do linii niemieckich”, ponieważ odesłał eskortę, a „przedzierając się w pojedynkę, został zamordowany. Szkoda tak dobrego żołnierza, ale zawsze tak się kończy, gdy podwładny nie spełnia rozkazów i chce być mądrzejszy od dowódcy. Zginęłaby może eskorta, ale Mościcki ocalałby i cel osiągnął”. Jeżeli jednak zginęłaby eskorta, to jakim sposobem na obszarze opanowanym przez bolszewików miałyby ocalać Mościcki i wykonać swoją misję?

Kilka dni po śmierci płk. Mościckiego specjalnie wysłany oddział kawalerii pod dowództwem rtm. Romera wyruszył, by odnaleźć i pochować zwłoki swojego dowódcy. W czasie tej misji ułani schwytali winnych śmierci Mościckiego i 12 z nich rozstrzelali. Mimo przeprowadzanego dochodzenia nie ustalono jednak bliższych okoliczności śmierci pułkownika. Dopiero po wielu latach została opublikowana relacja Witolda Hankisza, ułana towarzyszącego delegacji (później majora WP), który znajdował się w pobliżu leśniczówki Dub: „Widzimy pułkownika, jak biegnie. [...] Pułkownik upada, myślimy, że potknął się. Nie rusza

się. Obserwujemy pułkownika. Nie podnosi się i nie wykonuje żadnego ruchu. Na pewno zabity”.

Pogrzeb płk. Bolesława Mościckiego odbył się w katedrze w Mińsku, a w czasie uroczystości, zgodnie z wyrażonym przezeń niegdyś życzeniem, zagrano ulubioną piosenkę – „Hej, hej ułani, malowane dzieci...”. Po zakończeniu wojny z bolszewikami, w sierpniu 1921 r., szczątki dowódcy krechowiaków przewieziono do Polski. Plutonem ułanów, który przejął trumnę bohatera na stacji kolejowej w Stołpcach, dowodził ppor. Józef Czapski, ten sam, który po latach zostanie na uchodźstwie jednym z twórców paryskiej „Kultury”. Miejscem wiecznego spoczynku Bolesława Mościckiego stał się kościół św. Krzyża w Warszawie. Kondukt żałobny, który przybył do świątyni, witał na jej stopniach Naczelnik Państwa Józef Piłsudski.

„... równać na Romera”

Rotmistrz Bronisław Romer niedługo przeżył swojego dowódcę. Urodzony w 1892 r. w majątku Antonosz na Kowieńszczyźnie, wywodził się ze starego, zasłużonego Rzeczypospolitej rodu kresowego. Jeden z jego przodków – Stefan Romer – był z hetmanem Janem Karolem Chodkiewiczem pod Kircholmem, jego syn Matyasz – pod komendą hetmana Jana Sobieskiego gromił Turków pod Chocimiem. I na słowa tego drugiego powoływał się Bronisław w swoim ostatnim liście do rodziny: „Nakazuje [on] wszystkim swoim potomkom wierność Ojczyźnie i stawia im za przykład ojca swego Stefana, »który wolał wszystkie dobra i fortuny postponere [zaniedbać], a wiarę i cnotę Panu swemu i Rzeczypospolitej dotrzymał«”. Jednym z braci Bronisława był Tadeusz, dyplomata, sekretarz Romana Dmowskiego na konferencji pokojowej w Paryżu, a w czasie drugiej wojny światowej ambasador RP w Związku Sowieckim.

Podobnie jak Mościcki w czasie pierwszej wojny światowej Bronisław służył w armii rosyjskiej. W 1917 r., mimo młodego wieku, był jednym z tych, którzy wzięli udział w dziele tworzenia wojska polskiego w Rosji. „Miał ogromny szacunek u rówieśników, wiedzieliśmy

wszyscy, że »trzeba równać na Romera« – wspominał po wielu latach ks. Walerian Meysztowicz. A gen. Józef Dowbor-Muśnicki wymieniał go wśród tych swoich rodaków służących w armii rosyjskiej, którzy cieszyli się nieskazitelną reputacją.

Romer odznaczył się męstwem w walkach korpusu z bolszewikami, m.in. w czasie przejścia krechowiaków do Bobrujska: „Rotmistrz Romer, mając przy sobie jedynie trzech młodych oficerów i kilku ułanów, natychmiast zarządził przeciwnatarcie. Atakuje działające na grobli ciężkie karabiny maszynowe nieprzyjacielskie, zdobywa je i posługując się nimi, wkracza do wsi. Wydziera z rąk nieprzyjaciela chatę po chacie i w ten sposób odbija cały swój szwadron i tabor pułku” (Kozłowski).

Po rozwiązaniu I Korpusu oficerowie 1. Pułku Ułanów Krechowieckich zdecydowali 25 maja 1918 r. o utrzymaniu ciągłości pułku i skierowaniu przynajmniej części oficerów do oddziału polskiego powstającego w Murmańsku przy stacjonujących tam Brytyjczykach i Francuzach. O powodach tej decyzji Romer pisał: „Głęboka wiara w to, że wojna obecna da Polsce niepodległość, że ostoja wszelkiej niepodległości jest siła zbrojna narodu, nakazuje mi, aby raz wziętej broni z rąk nie wypuszczać, a przeciwnie w sztuce wojennej się kształcić, zamiowanie wrodzone pogłębiać [...]. Wojsko jest obroną prawa i sprawiedliwości, zdrową siłą Narodu, ostoja jego wolnego ustroju, opoką jego samoistnego rządu i jego chlubą” (cyt. za Karolem Kozłowskim). Jednym słowem, rotmistrz nie był skłonny udać się do okupowanego przez Niemców Królestwa Polskiego, ponieważ sądził, że nie miałyby tam możliwości kontynuowania służby w regularnej formacji wojskowej.

Przed wyruszeniem do Murmańska na krótko przybył do Dyneburga, gdzie był punkt koncentracji tych, którzy zdecydowali się przedostać na daleką północ Rosji. „Moralny i ideowy wódz murmańczyków naszego pułku”, jak nazywał go zaprzyjaźniony z nim inny oficer krechowiaków Zdzisław Chrzastowski, zorganizował kilka grup, które dojechały do Murmańska; w jednej z nich był Chrzastowski.

Romer wyruszył jako ostatni, najpierw do Piotrogradu, a następnie na Murmań, jak nazywali Murmańsk zmierzający tam Polacy. Towarzyszyli mu

trzej inni krechowiacy: dwaj ułani – Konstanty Lenartowicz i Bronisław Mroczkowski – oraz przyjaciel rtm. Maciej Starzeński. Ten ostatni, starszy o pięć lat od Romera, pochodził z Wileńszczyzny. Nie udało się przedostać do Murmańska. 21 września 1918 r. polscy żołnierze zostali schwytani przez bolszewików w Powieńcu nad jeziorem Onega, w pobliżu Pietrozawodska, stolicy Karelii. Dwa dni później zostali tam rozstrzelani.

Bronisław Romer, „niezrównany żołnierz, świetny dowódca, najczystszy człowiek, jakiego znamem, i najlepszy kolega” (jak wspominał Chrzastowski), pośmiertnie został odznaczony Orderem Virtuti Militari, a Antoni Bogusławski poświęcił mu wiersz „Duma o rotmistrzu Romerze”:

*Daleko na zimnej północy,
gdzie tajga w równiny się wdziera,
zgubiona jest w mrokach i nocy
mogiła rotmistrza Romera.*

[...]
*Mogiła, mogiła tajemna,
wyszeptaj, opowiedz nam o tem,
jak mogła pochłonąć głęb ciemna
ułana, co orlim szedł lotem.*

Pułkownik Bolesław Mościcki i rtm. Bronisław Romer wierzyli w odzyskanie przez Polskę niepodległości i dążyli do służby w Wojsku Polskim. Nie było im to dane. Ich pułk jednak, jeszcze w tym samym roku, w którym obaj zginęli, został odtworzony jako 1. Pułk Ułanów WP. Zachował dumny przydomek Krechowieckiego, a ponadto dodał do swojej nazwy patrona – płk. Bolesława Mościckiego. Krechowiacy dzielnie bili się w wojnie z bolszewikami. Prawie 20 lat później – w 1939 r. pod dowództwem gen. Zygmunta Podhorskiego, towarzysza bojów Mościckiego i Romera – walczyli do końca przeciw Niemcom w ostatniej bitwie kampanii polskiej pod Kockiem.

W ten sposób zrealizowało się marzenie obu oficerów, których dewizę krótko przed śmiercią wyraził Bronisław Romer: „Bezgraniczne ukochanie Narodu Polskiego zda mi się być moim jestestwem, treścią mojego życia, proszę więc Boga, żeby mi umysł oświecił i dał siły służyć całą moją istotą ukochanej Ojczyźnie, ku której chwale z największym szczęściem poniosę młode życie w ofierze”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

*Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN,
profesorem Uczelni Łazarzkiego.*

И ЗАСУХУ
ПОБЕДИМ!



Plakat obwieszczał:
„Zwyciężymy suszę”.
Oczywiście pod
kierownictwem Stalina.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ZSRS-Rosja / Krew i łzy oraz triumf pięciolatek

Stalinowska nostalgia Rosjan

Autorzy „Czarnej księgi komunizmu” planowali zrobić z niej swoistą namiastkę „komunistycznej Norymbergi”, sądu powszechnego nad komunizmem światowym.

Wymieniają liczbę 50 mln jego ofiar. Co najmniej 60 proc. ofiar stanowią obywatele rosyjscy i sowieccy. Bezsprzecznie zbrodnie komunizmu są olbrzymie, a jego wina przed ludzkością bezsporna. Jednak na świecie nadal są miliony ludzi,



Mikołaj Iwanow

/ Oparta na przemyśle ciężkim gospodarka Federacji Rosyjskiej nadal służy celowi wytyczonemu przez towarzysza Stalina

którzy wierzą w komunistyczne brednie zbudowania bogatego, sprawiedliwego świata. W dzisiejszej Rosji w warunkach

ograniczonej demokracji partia komunistyczna ma drugą najliczniejszą frakcję deputowanych w parlamencie.

Zwolennicy komunizmu nadal cieszą się poparciem milionów byłych obywateli sowieckiego imperium, którzy teoretycznie znają całą prawdę o zbrodniach komunizmu, a jednak głosują na tę partię i jej przewodniczącego Giennadija Ziuganowa w wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Dlaczego? W czym kryje się przyciągająca siła tej ideologii? Spróbujmy przytoczyć, zrozumieć i krytycznie przeanalizować podstawowe argumenty komunistów rosyjskich, które pozwalają im nadal zachowywać sympatię zwykłych Rosjan.

W dziesiątce największych zbrodniarzy w historii ludzkości Józef Stalin na pewno plasuje się na jednym z czołowych miejsc. Większość z przytoczonej liczby 50 mln ofiar komunistycznego terroru to jego „zasługa”. Mordował przede wszystkim własnych obywateli, ale nie brakuje ofiar w Polsce, na Węgrzech, w Czechach i innych krajach europejskich. Paradoksalnie, jeden z głównych argumentów dzisiaj komunistów rosyjskich polega na rehabilitacji Stalina poprzez uwypuklenie jego zasług. Terror natomiast wcale nie jest przemilczany przez dzisiejszych adeptów komuny, lecz przedstawiany jako niezbędna zapłata na drodze do zbudowania potężnego sprawiedliwego państwa robotników i chłopów. Okazuje się, że podobna argumentacja jest dość skuteczna w państwie Putina.

100 lat w 10 lat

Główny argument dzisiejszych stalinistów zawarty jest w twierdzeniu, że rosyjska gospodarka nawet dziś jest oparta przeważnie na wielkich zakładach pracy przemysłu ciężkiego powstałych w epoce Stalina. Rosjanie rzekomo nadal przejadają to, co ufundował im „ojciec narodów”. Adepcci komunizmu w Rosji również twierdzą, że w wyniku

realizacji tzw. pierwszych stalinowskich pięciolatek Związek Sowiecki dokonał w dziedzinie produkcji przemysłowej prawie niemożliwego – powstała druga co do wielkości potęga przemysłowa świata, ustępująca pod względem produkcji przemysłowej jedynie gospodarce Stanów Zjednoczonych. Jak twierdzą dzisiejsi komuniści, cena, którą trzeba było za to zapłacić, to już sprawa drugorzędna. Najważniejsze, że z zacofanego, przeważnie rolniczego kraju zbudowano potęgę przemysłową świata.

W lutym 1931 r. Stalin na jednej z konferencji partyjnych powiedział: „Związek Sowiecki jest w tyle za przemysłowo rozwiniętymi państwami o 50–100 lat. Historia dała nam jedynie 10 lat na przewyższenie naszego zacofania, inaczej kapitaliści nas zniszczą”. Złowieszcze słowa... Mimo ambitnych

planów w dziedzinie rozwoju przemysłu oznaczały one wyrok śmierci dla milionów najbardziej przedsiębiorczych rosyjskich, ukraińskich, białoruskich, polskich i innych narodowości chłopów. Był to również wyrok śmierci dla wszystkich przeciwników politycznych Stalina, wszystkich wątpiących i wszystkich – jak ten dyktator uważał – potencjalnych wrogów mogących zagrozić wykonaniu jego ambitnych, ale jednocześnie zbrodniczych planów.

Stalinowski cud gospodarczy dokonał się zarówno na tle straszliwej zbrodni na jednej części narodu, jak i na tle burzliwej radości oraz wybuchu entuzjazmu drugiej jego części. Dokonano tego w ciągu trzech pierwszych pięciolatek. Pierwsza – lata 1928–1932. Druga – lata 1933–1937. Trzecia (nieukończona) – 1938–1942. Znamienne jest, że plany tych pierwszych pięciolatek były zatwierdzane nie na posiedzeniach rządu lub odpowiednich instytucji gospodarczych, lecz na kolejnych zjazdach partii bolszewickiej. Świadczy to niezbitnie o tym, że były to decyzje polityczne, nie ekonomiczne.

Rzeczywiście, osiągnięcia tej przymusowej industrializacji robią wrażenie. W ciągu trzech pierwszych niepełnych pięciolatek w kraju powstały 364 nowe centra przemysłowe. Były to przeważnie nowe miasta zbudowane przy wielkich zakładach. Ponad 9 tys. nowych fabryk i zakładów pracy zaczęło produkować – głównie po to, by zaopatrzyć w nowoczesną broń i sprzęt wojskowy potężną Armię Czerwoną. W rezultacie w przededniu napaści Hitlera na Związek Sowiecki, w czerwcu 1941 r., Armia Czerwona miała więcej czołgów niż wszystkie inne armie świata łącznie.

Osiągnięcia sowieckie dokonane na tle prawie powszechnego zbiednienia narodu i totalnego terroru były tak znaczące, że trudno było w to uwierzyć. Nawet doświadczeni badacze



Kombinat metalurgiczny w Magnitogorsku

FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ Związku Sowieckiego uważali sowieckie informacje o wykonaniu pierwszych pięciolatek za element wojny dezinformacyjnej. Jerzy Niezbrzydcki, wieloletni kierownik referatu „Wschód” II oddziału polskiego Sztabu Głównego, w swych wspomnieniach przytacza interesujący fakt.

W drugiej połowie lat 30. polski wywiad na Związek Sowiecki otrzymał od jednego z bardzo już nielicznych agentów, współpracujących z referatem „Wschód”, wyjątkowo ważną informację o sowieckim przemyśle zbrojeniowym. Dotyczyła ona nowych rodzajów broni. Zawierała opis produkcji czołgów w zakładach charkowskich. W Warszawie dowiedzieli się, że ta zbudowana przez Amerykanów fabryka produkuje w ciągu jednej ośmiogodzinnej zmiany sześć czołgów. Informacja ta po prostu zszokowała polski wywiad. Wiadomo było, że podobnych zakładów pracy w Związku Sowieckim jest kilka. Ileż czołgów mogą wyprodukować one w ciągu roku?

Dlatego – jak pisał kpt. Jerzy Niezbrzydcki – dane te uznano za dezinformację sowieckiego kontrwywiadu w celu zastraszenia Polaków. Dopiero wiele lat później ów doświadczony polski szef wywiadu przyznał, jaka to była fatalna pomyłka jego i jego podwładnych.

Made by USA

Przeprowadzeniu tak szerokiej i gwałtownej industrializacji kraju paradoksalnie sprzyjał światowy kryzys ekonomiczny, który zaatakował światową gospodarkę pod koniec lat 20. Znacznie spadły ceny wyrobów przemysłu, wielkie zachodnie koncerny na gwałt szukały nabywców swojego towaru. Wykorzystał to Stalin, który robił na Zachodzie ogromne zakupy niezbędnych maszyn dla nowych fabryk i zakładów pracy. Zastanówmy się: w latach 1929–1930 Związek Sowiecki finansował do 50 proc. światowych obrotów maszyn i urządzeń przemysłowych. Najbardziej na handlu z ZSRS skorzystali w tych latach Niemcy i Amerykanie. Ci ostatni specjalizowali się w projektowaniu i sprzedaży całych zakładów pracy. W ten sposób powstała wielka fabryka samochodów w Gorkim nad Wołgą. Była to nieco uproszczona kopia zakładów samochodowych Forda w Detroit.



Stalinowską industrializację przeprowadzano w Związku Sowieckim w warunkach ścisłych sankcji politycznych, gospodarczych i innych ze strony demokratycznych państw Zachodu. Rząd Stanów Zjednoczonych do 1933 r. w ogóle nie uznawał rządu sowieckiego ani nie miał stosunków dyplomatycznych z tym państwem. Nie przeszkadzało to jednak licznym amerykańskim kompaniom aktywnie współpracować z Sowietami. To Amerykanie byli głównymi sponsorami Stalina w trakcie realizacji jego ambitnych planów przekształcenia ZSRS w państwo industrialne. Pierwsze wielkie kontrakty firm amerykańskich z Sowietami zostały podpisane jeszcze w 1925 r., osiem lat przed oficjalnym uznaniem rządu sowieckiego przez USA.

Industrializacja była dobrze zaplanowana. Główny jej architekt, Gleb Krzyżanowski, nie przypadkiem wybrał plany pięcioletnie. Przewidywano, że w ciągu pięciu lat można zbudować od początku do końca wielki zakład pracy. Krzyżanowski opracował dwa warianty planu pięcioletniego: minimalny i maksymalny. Pierwszy powinien sygnalizować problemy makroekonomiczne gospodarki sowieckiej, drugi natomiast miał uwzględniać wszystkie sprzyjające okoliczności koniunktury ekonomicznej. Jednym z tych, którzy rozpracowywali

plany pierwszej pięciolatki, był młody naukowiec Wasilij Leontiew, późniejszy laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, który w 1931 r. osiadł w Stanach Zjednoczonych. Pracował w Harvardzie. Za swoje wyjątkowe odkrycia w światowej nauce ekonomicznej nazywany jest „apostolem planowania”.

W ciągu pierwszej pięciolatki priorytetem objęto rozwój przemysłu wydobywczego. Inwestowano szczerze w wydobywanie ropy naftowej, rudy żelaza, węgla, produkcję stali i żelaza. W drugiej priorytetowo rozwijano produkcję maszyn i urządzeń, w trzeciej – produkcję wojskową. Dzisiejsi zwolennicy komunizmu twierdzą, że właśnie podczas pierwszej pięciolatki w Związku Sowieckim zbudowano podstawę współczesnej metalurgii, przemysłu wydobywczego. Milczą natomiast, że jednocześnie w głębokim kryzysie pogrążono sowieckie rolnictwo, na głodową śmierć skazano miliony chłopów na Ukrainie, w Rosji, Kazachstanie i innych regionach imperium Stalina. Według rosyjskich neostalinistów dzisiejsza Rosja Putina nadal powoli przeżywa spadek po Stalinie. Czy w tych argumentach jest chociaż trochę prawdy?

„Magnitka” i inne

Najważniejszą dziedziną gospodarki rosyjskiej była metalurgia. Na tę gałąź przypada 12,5 proc. całości produkcji przemysłowej. Jej podstawą są gigantyczne zakłady metalurgiczne: Magnitogorski Kombinat Metalurgiczny (potocznie nazywany Magnitką) w Magnitogorsku i „Kuznieckstroj” (dziś znany pod nazwą Nowokuzniecki Kombinat Metalurgiczny) w Kuzniecku. Oba zbud-

wane w latach stalinowskich pięciolatek przez amerykańską kompanię Freyn Engineering Company, która w 1928 r. podpisała ze Związkiem Sowieckim bezprecedensowy kontrakt na budowę i modernizację 40 sowieckich zakładów metalurgicznych. Kompania ta wywiązała się ze zobowiązań kontraktowych bez zarzutów. Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że trzeciego giganta metalurgicznego – w Czelabińsku na Uralu – Amerykanie wprowadzili do użytku dopiero w 1943 r., w czasie trwającej drugiej wojny światowej. Dziś te trzy giganty są w większości sprywatyzowane, ich największym udziałowcem jest słynny oligarcha Roman Abramowicz, którego niektórzy nazywają „portmonetką Kremla”. „Magnitka”, „Kuznieckstroj” i Czelabinski Kombinat Metalurgiczny razem produkują do 80 proc. rosyjskiej stali i rosyjskiego żelaza.

Największe odkrycia nowych pól naftowych również przypadają na okres stalinizmu. W czasie pierwszych pięciolatek wydobyte ropy w ZSRS zwiększyło się ponad czterokrotnie i w przededniu wojny z Niemcami Związek Sowiecki wydobywał 33 mln ton ropy rocznie. W 1932 r. otwarto w Tatarstanie nad Wołgą iszymbajewski rejon roponośny, który nazwano „drugim Baku”.

W wyniku niemieckiego ataku produkcja ropy zmniejszyła się nieznacznie – do 20 mln ton. Wystarczyło, aby zwyciężyć III Rzeszę w wojnie silników. O ile niemieccy konstruktorzy czołgów i innych pojazdów wojskowych zmuszeni

byli ograniczać zużycie paliwa w nowych pojazdach, o tyle sowieccy konstruktorzy mogli pozwolić sobie na mocniejszy pancierz i większą prędkość pojazdów. Tutaj znów na pomoc ruszyli Amerykanie, którzy w ciężkich warunkach wojennych zbudowali od podstaw kilka rafinerii naftowych do produkcji benzyny wysokooktanowej dla lotnictwa.

Dziś największym roponośnym rejonem Rosji jest zachodni Sybir. Mogłoby się wydawać, że jego odkrycie na pewno nie ma nic wspólnego ze Stalinem. Prawda jest nieco inna. Początek prac geologicznych w tym regionie przypada na rok 1948. Pierwsze odwierty wykonano w 1949 r., a ropę na skalę przemysłową znaleziono w roku, w którym wódz odszedł – w 1953.

Wśród licznych paradoksów sowieckiej industrializacji musimy przede wszystkim wymienić powszechne poczucie strachu jako główną siłę napędową pierwszych pięciolatek. Pierwsze lata pierwszej pięciolatki wykazały powszechny, bardzo niski poziom poczucia odpowiedzialności i dyscypliny. Bolszewicy od samego początku negowali pomysł materialnej motywacji rosyjskich inżynierów i robotników – mieli oni wykonywać zadania partii za głodowe pensje. Oczywiście nie dotyczyło to licznych amerykańskich, niemieckich i nawet polskich wysoko wykwalifikowanych inżynierów i robotników, których sowiecie opłacano w walucie. I wtedy partia postawiła na terror. Robotnik mógł być skazany na karę więzienia za

najmniejsze przewinienie. Inżynierowie odpowiadali głową za wykonanie planów pięciolatki. Stalin zdecydował, by prawie każda nieudolność, każda pomyłka w wykonaniu planów była traktowana przez GPU-NKWD jako szkodnictwo. Groziła za to kara śmierci.

NKWD wymyśliło nawet nowy rodzaj kary dla tych inżynierów i naukowców, którzy popełnili jakiegokolwiek błąd, ale byli nadal niezbędni. W kraju powstały setki tzw. szaraszek, gdzie skazani na obóz lub więzienie specjaliści pracowali w zamkniętych zakładach pracy. Pozbawieni wolności ludzie jednocześnie mieli wszystkie niezbędne warunki do pracy twórczej. „Szaraszki” nie uniknął ojciec rosyjskiej kosmonautyki Siergiej Korolow, czołowy konstruktor sowieckich samolotów Andriej Tupolew, za kraty trafił prezes Akademii Nauk Nikołaj Wawilow, rozstrzelano zaś czołowego geologa kraju Gieorgija Łomowa (Oppokowa).

Zbudowana na krwi i łzach wielu milionów ludzi sowieckich gigantyczna machina gospodarcza Związku Sowieckiego stała się podstawą istnienia i umocnienia jednego z najbardziej represyjnych systemów społecznych w historii ludzkości. Pozwoliła Stalinowi zarówno wygrać wojnę z innym państwem terroru – III Rzeszą, narzucić niewolę innym narodom Europy i świata, jak i przez długie lata trzymać w strachu cały glob podczas zimnej wojny. Ta oparta na przemyśle ciężkim gospodarka nadal w pewnym stopniu służy celowi zaprojektowanemu przez Stalina.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

BELLONA

Najlepsi publicyści
portalu **Wielka HISTORIA**
o wydarzeniach, które zmieniły dzieje Polski

KSIĘGARNIE  Świat Książki

 swiatksiazki.pl



REKLAMA



Piotr Kosmala

/ Konserwatywny pisarz japoński Yukio Mishima epilog swej twórczości napisał własną krwią

Rozpiął mundur, ściągnął buty i usiadł na podłodze na piętach, w tradycyjnej pozycji seiza. Trzykrotnie wykrzyknął: „Tennō-heika banzai!” („Niech żyje cesarz!”) i wbił ostrze krótkiego miecza w lewy bok, wykonując cięcie. Stojący za nim przyjaciel miał za zadanie ściąć mu głowę, kończąc straszliwą kaźń – udało się to jednak dopiero za trzecim razem, głowa spadła na podłogę. W ten sposób 50 lat temu zginął Yukio Mishima, jeden z najwybitniejszych pisarzy japońskich i inicjator nieudanego zamachu stanu z 25 listopada 1970 r.

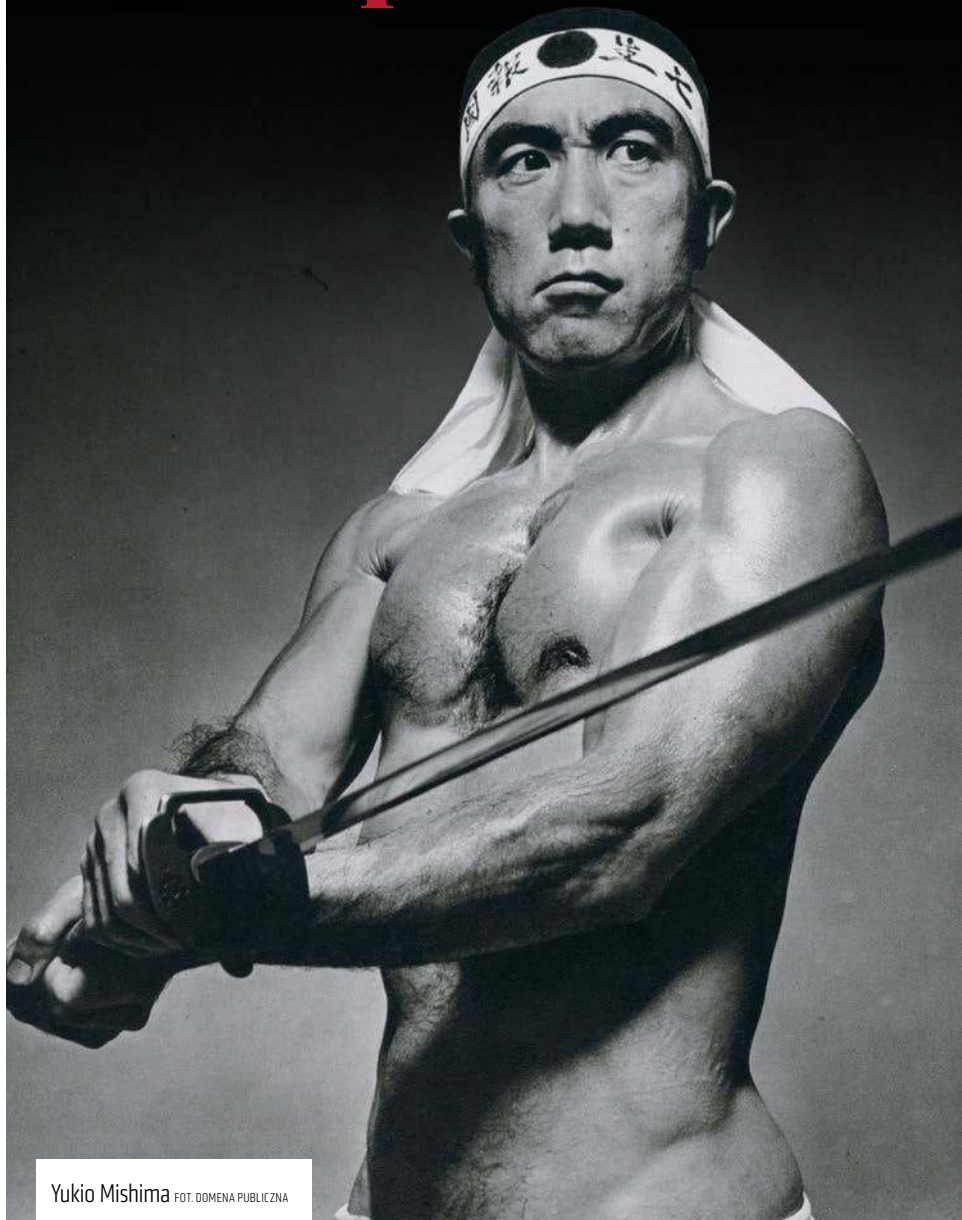
W kinach Japonii pokazano w tym roku niezwyklej dokument – „Mishima. Ostatnia debata”. Oparto go na odnalezionym zapisie słynnego spotkania, które w maju 1969 r. odbyło się na Uniwersytecie Tokijskim. Wziął w nim udział Yukio Mishima, a po drugiej stronie stanęli lewicowi studenci z radykalnej organizacji Today Zenkioto. Atmosfera auli kampusu Komaba była bardzo napięta, awantura wisiała w powietrzu, tym bardziej że dla lewicowych studentów Mishima reprezentował sobą wszystko, czego nienawidzili – sukces finansowy i umocowanie w establishmencie, ale przede wszystkim przywiązanie do tradycyjnych wartości japońskich i do świętej osoby cesarza.

Powiedzcie: Cesarz

Na filmie widzimy reakcję sali, buczenie, kiedy pisarz zwraca się do oponentów: „Powiedzcie tylko jedno słowo, »Cesarz«, a przyłączę się do was”. Wiedział, że tego akurat słowa od nich nie usłyszy, ale przecież w wielu innych sprawach byli mu jakoś bliscy. Podobały mu się ich ideowość i radykalizm, z jakim chcieli zmieniać świat. Zgadzali się też w kwestii okupacji Japonii przez Stany Zjednoczone, trwało przecież tzw. seiji no

1925–1970 / Harakiri z miłości do Japonii

Samuraj, który urodził się za późno



Yukio Mishima FOT. DOMENA PUBLICZNA

kisetsu, czyli „święto polityki”, nie tylko w Japonii nasilały się antyamerykańskie protesty, rebelia maja 1968 r. rozszerzyła się na cały świat. Czy dlatego Mishima przyjął zaproszenie śmiertelnych wrogów? Być może, choć w filmie pada też jego kluczowa polityczna deklaracja: „Lewica czy prawica, to nie ma znaczenia. Chodzi o przemoc”. Osiemnaście miesięcy później cały świat mógł się dowiedzieć, o jaką przemoc naprawdę mu chodziło.

W tym czasie Yukio Mishima miał już utrwaloną pozycję literacką nie tylko na Wyspach Japońskich. Debiutował jako nastolatek, uznanie przyniosła mu nowelka „Las w rozkwicie”, opublikowana jeszcze w czasie wojny w 1941 r. pod pseudonimem właśnie Yukio Mishima. Urodził się 16 lat wcześniej, w 1925 r., jako Kimitake Hiraoka, w rodzinie wysokiego urzędnika państwowego. Wychowywała go babka, osoba władczą i zasadniczą, a przy tym schorowana, która odcięła go od rówieśników. Jego jedyną rozrywką w dzieciństwie były zabawy z kuzynostwem i książki. Dramat dzieciństwa opisał w poruszającej autobiograficznej powieści „Wyznania maski” (1949).

To także babka zabrała go na pierwsze przedstawienia kabuki i nō, tradycyjnego teatru japońskiego, które na małym chłopcu zrobiły ogromne wrażenie i których doświadczenia wpłynęły też na jego późniejszą twórczość. Rozmiłowaniu w literaturze i dramacie japońskim towarzyszyło też intensywne poznanie literatury i kultury europejskiej, z Friedrichem Nietzschem, Oscarem Wilde’em i Raymondem Radiguetem na czele. Pochłaniał książki, ale sam też sporo już pisał.

Kamikaze jedzie do Grecji

Tymczasem kończyła się wojna, młodzi ludzie w wieku Mishimy trafiali do oddziałów Tokko-kai, z nich rekrutowali się przyszli kamikaze. Pobór groził także młodemu pisarzowi, pomogła diagnoza stwierdzająca u niego gruźlicę, podobno błędna. Zdążył już nawet napisać

pożegnalny list do rodziców (kończąc go tradycyjnym: Tennō-heika banzai), pozostawił im na pamiątkę kosmyk swoich włosów. I chociaż oni byli zadowoleni, że nie podzielił losu wielu swoich rówieśników, to sam pisarz czuł się jak dezerterski i do końca życia przeżywał brak autentycznego doświadczenia wojennego oraz bezpośredniego zetknięcia ze śmiercią na polu chwały.

Po zakończeniu wojny Mishima postanowił, że zostanie pisarzem. Pod wpływem ojca skończył jednak studia prawnicze i podjął pracę w ministerstwie finansów. Wytrzymał tylko rok, literatura zwyciężyła, tym bardziej że jego młodzieńcze utwory spotkały się z żywym



Mishima podczas debaty na uniwersytecie w Tokio
FOT. SHINCHOSHA/JAPAN-FORWARD.COM

zainteresowaniem krytyki. Mógł zacząć utrzymywać się z pisarstwa.

W 1952 r. po raz pierwszy przyjechał do Europy, odwiedził Grecję, która zawsze go fascynowała. Podróż ta wywołała w nim prawdziwą przemianę. Drobny i chorowity, w marmurowych statuach antycznych bóstw i atletów odkrył „nieśmiertelność piękna”. Jak tłumaczy miłośnik twórczości Mishimy, znany rosyjski pisarz Boris Akunin, „słabowitego, owładniętego mrocznymi wizjami młodego człowieka nieuchronnie popychało ku Słońcu, ku fizycznemu i duchowemu zdrowiu, ku harmonii ciała i rozumu”. A sam Mishima wspominał: „Grecja wyleczyła mnie z nienawiści do samego siebie, obudziła we mnie wolę zdrowia w rozumieniu nietzscheańskim”. Efektem wizyty w Grecji była także piękna „Ballada o miłości” (1954), inspirowana mitem o Dafnisie i Chloe.

Tymczasem Mishima postanowił stworzyć się na nowo, „na swe własne przeciwieństwo”. Rozpoczął forsowne ćwiczenia fizyczne, oprócz pływania

poświęcił się kulturystyce, kendo i karate. Krew, pot i łzy przyniosły chyba zamierzony efekt, skoro za najszcześniejszy dzień w swoim życiu uznał ten, gdy encyklopedyczne hasło o kulturystyce opatrzone jego zdjęciem.

Jak wymawia się „Gombrowicz”?

W tym samym czasie prowadził bogate życie towarzyskie, wdawał się w romanse (przez moment jego narzeczoną była Michiko Shōda, późniejsza żona cesarza Akihito). W czerwcu 1958 r. ożenił się z Yoko Sugiyamą, urodziło im się dwoje dzieci. Jedną z anegdot z życia tego wyjątkowego małżeństwa przytacza Philip Shabecoff z „New York Timesa”, który przeprowadził kilka rozmów z pisarzem. W trakcie którejs z nich, poświęconej literaturze współczesnej, Mishima zawołał do żony w kuchni, by przypomniawszy mu, jak się wymawia nazwisko „Gombrowicz”. Polak był jednym z jego ulubionych autorów.

Przede wszystkim jednak Yukio Mishima tworzył, pełen pasji i determinacji, utwory dłuższe i krótsze, powieści, wiersze i dramaty. Mówi się, że codziennie pisał jeden utwór sceniczny, głównie jednoaktówki, w każdym razie na pisaniu spędzał każdy wieczór. W 1956 r. ukazała się jego najslawniejsza książka „Złota pagoda”, będąca literacką interpretacją głośnego podpalenia świątyni Kinkaku-ji przez buddyjskiego mnicha. Na początku lat 60. rozpoczął tetralogię „Żyźne morze”, którą zakończył tuż przed dramatyczną śmiercią. Był trzykrotnie nominowany do Literackiej Nagrody Nobla, którą sprzedał „sprzątnął” mu jego mentor z młodości, inny wielki japoński pisarz Yasunari Kawabata.

Umiłowanie ojczyzny

Tymczasem jednym z najbardziej znanych utworów Mishimy okazało się niedługie opowiadanie „Umiłowanie ojczyzny”. Autor przyznawał: „To dla mnie niezapomniane opowiadanie. Ma



Miecz samuraja i „Umiłowanie ojczyzny”, najważniejsze dzieło Mishimy FOT. ARCHIWUM

niecałe pięćdziesiąt stron, ale skupia w sobie najważniejsze elementy mego pisarstwa, i jeśli ktoś miałby przeczytać tylko jeden mój utwór, powinien sięgnąć właśnie po »Umiłowanie ojczyzny« (przeł. Beata Kubiak Ho-Chi). Oparte na prawdziwych wydarzeniach tzw. incydentu Niniroku z lutego 1936 r., kiedy młodzi oficerowie w imię wierności cesarzowi i japońskim tradycjom, przeciw „wester-nizacji” kraju, podjęli nieudaną próbę zamachu stanu, jest wielowymiarową historią jednego ze spiskowców, który po klęsce popełnił wspólnie z żoną rytualne samobójstwo. Opowieści o wierności cesarzowi i wspólnej sprawie towarzyszy poruszający opis piękna młodej pary, która odchodzi z tego świata w zmysłowej, erotycznej aurze, we wzajemnym szacunku i miłości, a przy tym w sposób wstrząsający i brutalny, bo seppuku polega przecież na rozcinaniu własnego brzucha.

„Umiłowanie ojczyzny” było wyjątkowe nie tylko ze względu na walory artystyczne i poruszającą tematykę. Przeszło do historii także w związku z ekranizacją z 1966 r., w której to sam Mishima stanął za kamerą (był także scenarzystą), a do tego zagrał główną rolę młodego oficera. Film pokazywany był na wielu międzynarodowych festiwalach, zdobywając entuzjastyczne recenzje także w Japonii. Nie zdawano sobie sprawy, że symboliczne, aktorskie seppuku Mishimy stanowiło zapowiedź prawdziwej tragedii, która już wkrótce miała się stać udziałem pisarza.

Mundury od Pierre’a Cardina

W drugiej połowie lat 60. Mishima, do-tychczas postrzegany jako modny, nieco nawet kosmopolityczny pisarz, zaczął przejawiać coraz większe zainteresowanie polityką, sytuując się na pozycjach konserwatywnych i monarchistycznych, procesarskich. Nie przydało mu to, rzecz jasna, sympatii Akademii Szwedzkiej, ale zbliżył się do mundurowych kręgów Japonii, w 1967 r. przechodząc nawet kompletny trening wojskowy w Japoń-

skich Siłach Samoobrony, czyli formacji stanowiącej defensywne oddziały zbrojne Japonii.

W październiku 1968 r. Mishima powołał do życia składające się z prawicowych studentów Stowarzyszenie Tarcz, Tatenokai, jako odpowiedź na lewicowe zamieszki w Tokio i innych miastach Japonii. Mundury dla członków stowarzyszenia zaprojektował podobno sam Pierre Cardin, ale zdziwiłby się chyba, do czego miały posłużyć. Tymczasem rozpoczęły się forsowne treningi, głównie obejmujące musztrę, ćwiczenia wytrzymałościowe oraz sztuki walki. Studenci, podobnie jak ich lider Yukio Mishima, mieli okazję ćwiczyć pod świętą górą Fiji z Japońskimi Siłami Samoobrony.

Pisarz stworzył ideologię stowarzyszenia na podstawie własnych przemyśleń na temat kondycji współczesnej Japonii. Oddanie cesarzowi, przywrócenie tradycyjnych japońskich wartości, powrót do kodeksu samurajów, wreszcie walka z komunizmem jako ideologią, która nie tylko pokonała Japonię w 1945 r., lecz także stanowiła zagrożenie dla społeczeństwa japońskiego dwie dekady później.

Czy jesteście mężczyznami?

25 listopada 1970 r. Yukio Mishima wraz z czterema współpracownikami ze Stowarzyszenia Tarcz wkroczyli do siedziby Sił Samoobrony w Ichigaya. Byli umówieni z komendantem gen. Kanetoshim Mashitą. Na miejscu wzięli generała jako zakładnika, związali go i zabarykadowali się w jego gabinecie. Próba odbicia zakładnika zakończyła się fatalnie dla kontratakujących – Mishima i jego towarzysze sprawnie odparli atak swoimi mieczami, raniąc kilku żołnierzy (późniejsza sprawa sądowa wykazała, że Mishima kazał zadawać ciosy tylko

końcem miecza tak, by nie były śmiertelne). Przedstawili warunki uwolnienia generała – zgromadzenie wszystkich żołnierzy z bazy na placu i możliwość przemówienia do nich z balkonu.

Żądanie zostało spełnione, Yukio Mishima rozpoczął przemówienie. Apelowano do honoru i patriotyzmu żołnierzy, pytał, czy są mężczyznami i czy przyłączą się do tych, którzy chcą bronić cesarza i narodu. Mówił: „Wierzyłem, że tylko w Siłach Samoobrony udało się zachować prawdziwą Japonię, prawdziwych Japończyków, prawdziwy duch samurajski. Wierzę, że kiedy wy się przebudzicie, wraz z wami przebudzi się cała Japonia”. Odpowiedziały mu kpiny i szyderstwa, większość żołnierzy go zresztą wcale nie słyszała – wokół latały śmigłowce, jeździły karetki na sygnale i samochody. Zrezygnowany wykrzyczał jeszcze: „Widzę, że nie jesteście mężczyznami. Nie można na was liczyć”. Na koniec trzykrotnie zawołał tradycyjnie: Tennō-heika banzai i wrócił do gabinetu.

Biografowie właściwie zgadzają się, że to musiało tak się skończyć. I że Mishima zdawał sobie z tego sprawę, traktując swój coup d'état teatralnie i demonstracyjnie, z seppuku jako nieuchronnym finałem. Nie liczył, że żołnierze przejdą na jego stronę i przejmą władzę, chciał raczej pokazać na swoim przykładzie, iż postawa honorowego samuraja wciąż jest w Japonii możliwa i pożądana.

Do głosu dochodzą psychologowie i krytycy literaccy, którzy do dziś szukają prawdziwych motywów dramatycznych wyborów pisarza. Bez względu na powstające kolejne analizy, czyn Mishimy i Masakatsu Mority (oprócz pisarza seppuku popełnił także jeden z jego uczniów, pozostali zostali aresztowani) obrósł legendą, która wciąż inspiruje kolejnych pisarzy i artystów, rządzącej środowiska polityczne. O życiu Mishimy powstały m.in. dwa filmy fabularne, sztuka i balet, w Japonii powołano muzeum literatury jego imienia. Najwyraźniej żarna kultury popularnej są w stanie przemielić i przyswoić każdy mit, nawet tak brutalny jak wypływające na zewnątrz jelita znanego pisarza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pisząc artykuł, korzystałem m.in. z eseju Borisa Akunina „Yukio Mishima, czyli jak unicestwić świętynię”, opublikowanego na łamach dwumiesięcznika „Arcana” (2008, nr 3-4, przeł. P. Kosmala) oraz z publikacji prof. Beaty Kubiak Ho-Chi.



Jakub Ostromęcki

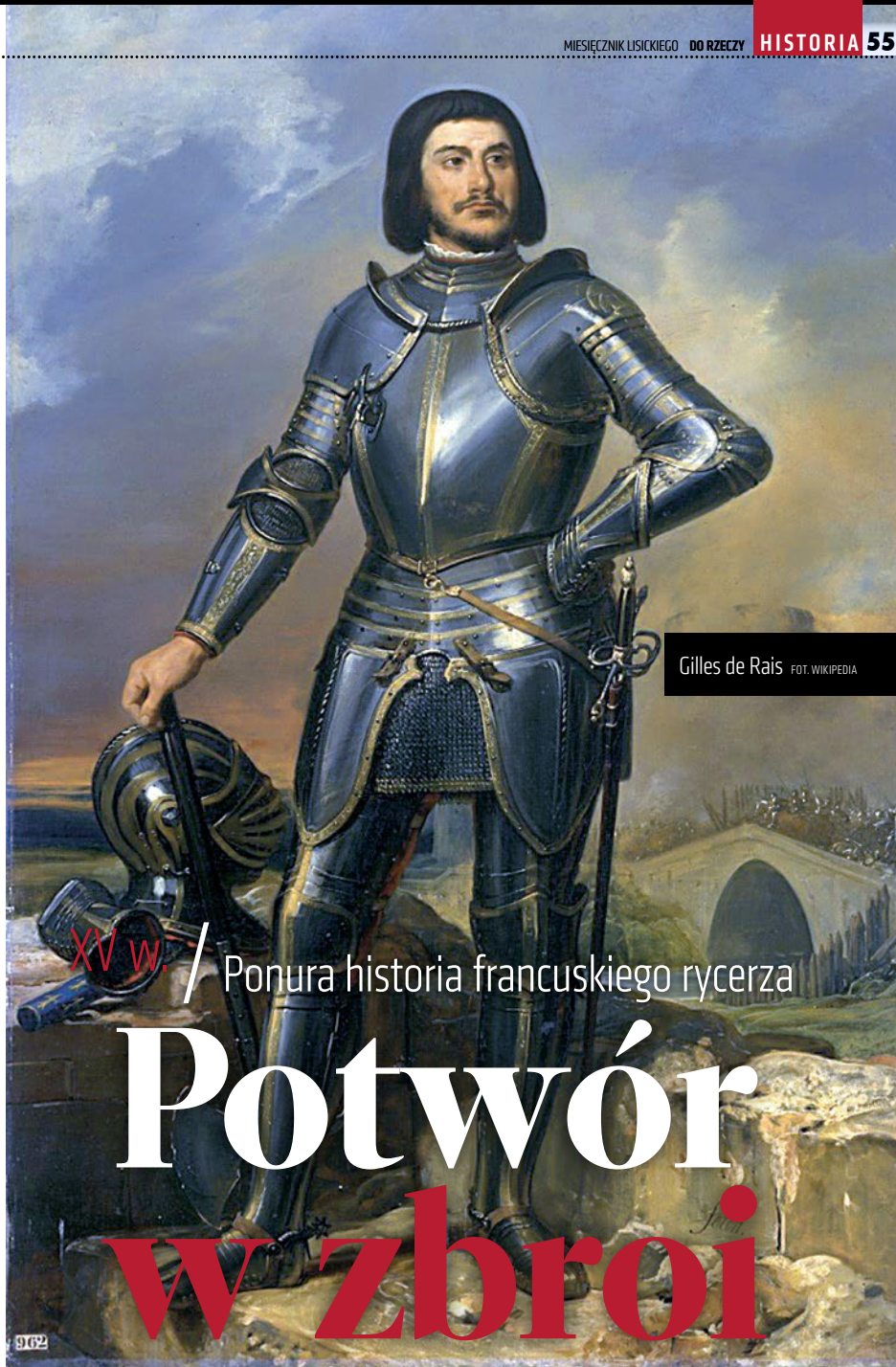
Gilles de Rais był pedofilem, sadystą i mordercą, którego ofiarą padły dziesiątki chłopów

Dzieci zaczęły znikać w 1431 r. Jednym z pierwszych był syn Roussinów. Wyszedł paść krowy. Nie wrócił na noc. Na ich pastwisko przyjeżdżał często konno giermek de Sille i brał ze sobą chłopaka, aby nosił do zamku Macheoul mleko. Rodzice pomyśleli, że mały pewnie znowu tam poszedł. Po kilku dniach zaczęli się denerwować na dobre. Zbrojni z zamku uspokajali jednakowoż: „Pan de Rais zabrał go ze swoją świtą i wróci za kilka miesięcy”.

Potem zaginął 12-letni chłopiec o nazwisku Jeudon. Uczył się na kuśnierza u niejakiego Wilhelma Hilareta mieszkającego w pobliżu Machecoul. Pewnego razu do warsztatu wpadli giermkowie z zamku: de Briquerville i wspomniany już de Sille. Zbrojnym swojego pana się nie odmawia, rzemieślnik kazał więc Jeudonowi iść z nimi i wracać jak najszybciej. Więcej już go nie zobaczył. „Gdzie mój terminator?” – spytał któregoś dnia zbrojnych. „Nie wiemy. Ale pewnie jest w Tiffauges. Paziem go zrobiją”.

Innym wieśniakom wmawiano, że ich dzieci mogli porwać wciąż grasujący w pobliżu bandyci, Anglicy czy maruderzy – przecież wojna się nie skończyła. Dzieci nie zostały jednak żadnymi paziami, śpiewakami w chórze ani giermkami. Nie zostały porwane przez bandytów ani Anglików. Zamordował je Gilles de Rais, jeden z większych panów feudalnych Królestwa Francji. Działo się to między 1431 a 1440 r., w zamkach Machecoul, Champtoce i Tiffauges. Przed śmiercią herbowy kat obcował z ofiarami w ohydny sposób.

Gilles de Rais mógłby być archetypem mrocznego rycerza, gdyby nie to, że określenie to, wyświechtane na tysiącach stron powieści fantasy, zaczęło od lat wonieć cepelią. Zło, jakie tkwiło w tym człowieku, było bardzo prawdziwe,



Gilles de Rais FOT. WIKIPEDIA

XV w / Ponura historia francuskiego rycerza

Potwór w zbroi

cielesne i – jak to zwykle bywa – straszniejsze od tego opisywanego w mitach czy baśniach. Okultysta i alchemik – to jeszcze otoczyłoby go dziś awanturnicznym nimbem, ale przede wszystkim sodomita, pedofil i morderca. Gilles de Rais był człowiekiem obrzydliwym.

Zło kielkuje

Na chwilę przed śmiercią miał wypowiedzieć następujące słowa: „Ojcowie i matki, którzy mnie słuchacie, błagam

was, strzeżcie się przed wychowaniem waszych dzieci w gnuśności. Jeśli ja sam dopuściłem się tyłu i tak wielkich zbrodni, to dlatego, że w młodości pozwalało mi zawsze robić, co mi się żywnie podobało”. Brzmi jak moralitet, ale nad urodzonym w 1404 r. młodym Gilles’em i jego ujawniającymi się od małego dziwnymi skłonnościami rzeczywistości nikt nie sprawował należytej kontroli.

W monografii rycerza autorstwa Michela Herubela czytamy: „Wilhelmina Sukienniczka znajdowała częstokroć chłopca stojącego w łóżeczku z oczami

■ w ślup, pianą na wargach, wymachującego zaciśniętymi piąstkami, jak gdyby usiłował wyrwać się z uścisku wściekłych bestii lub rozszalałych demonów. Aby go uspokoić, musiała mamka stawić czoło jego niezwykłej mocy i dopiero cała podrapana pazurami [...] układała go jakoś z powrotem w pościeli”. Ojciec zginął ranyony przez dziką, gdy Gilles miał 11 lat, a jego młodszego brata René – osiem. W tym samym roku umarła matka chłopców. Najbliższy im wuj Amaury

w tym samym roku leżał w błotach Azincourt przeszyty angielskimi strzałami.

Do dalszych krewnych odesłano z jakiegoś powodu tylko René, a Gilles został pod opieką dziadka, Jana de Craona, człowieka zainteresowanego głównie zaokrąglaniem swoich i tak wielkich lenn, a nie wychowaniem wnuka. De Craon spędzał codziennie kilka godzin w kaplicy, słuchając chóru mnichów, po czym udawał się potajemnie na spotkania z guślarzami przygotowującymi tajemne i magiczne eliksiry.

Za towarzyszy Gilles miał jedynie nieokrzesanych trenerów walki kopią i fechtunku. Miłości i wychowania nie było w tym za grosz, pojawiła się za to wielka fortuna. „W młodości byłem natury delikatnej” – mówił o sobie. I choć nauczył się wszystkiego, co rycerz powinien, to bardziej niż do kopii ciągnęło go do biblioteki. Gilles znał biegle łacinę i szybko zainteresował się „Żywotami Cezarów” Swetoniusza. Nie zajęty go oczywiście rozdziały o rozważnych i racjonalnych Flawiuszach czy pryncypialnym Oktawianie Auguście, ale te traktujące o największych degeneratach: Tyberiuszu czy Kaliguli. Okrucieństwa przez nich popełniane cytował z pamięci.

Gilles’a przyłapano kilka razy na oddawaniu się „samotniczej rozkoszy”, ale gorsze, że nakryto go też na molestowaniu młodego pazia. Skończyło się tylko na połajankach. Wniosków nie wyciągnął nikt. Dziadek nauczył wnuka tylko jednego – braku szacunku dla prawa. Zdobywając kolejne lenna, uciekał się do porwań, wymuszeń, szantażu, przekupstwa. Wraz z młodym Gilles’em uderzyli pewnego roku konno na Adama de Cambrai, królewskiego wysłannika, który przybył wyegzekwować nakaz



Jean-Antoine-Valentin Foulquier „Gilles de Rais i jego ofiary”

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

wypuszczenia porwanej przez Gilles’a szlachcianki. Inna sprawa, że panna owa została rychło poślubiona przez Gilles’a chcącego w ten sposób ukryć swoje skłonności i zapewnić ciągłość rodu.

U boku świętej

Rycerz nie uniknie walki, nawet jeśli będzie przedkładał książki nad miecz. De Rais debiutował w 1420 r. w lokalnej feudalnej wojence rodu Penthièvre’ów przeciwko księciu Bretanii Janowi V, po stronie tego ostatniego. Dowodził oddziałem kilkudziesięciu najemników i giermków. Musiał sobie radzić całkiem nieźle, skoro po zwycięstwie Jana V asystował przy jego triumfalnym wjeździe do Nantes. Dla Jana de Bueila, wodza i zarazem pisarza, był jednak okrutnikiem, łupieżcą i bandytą. To dałoby się jednak powiedzieć o większości dowodzących ówczesnymi najemnikami niezależnie od szerokości geograficznej.

W połowie lat 20. XV w. Gilles de Rais walczył przeciwko Anglikom, bo tak zdecydował jego senior, książę Jan. Tym samym de Raisowie podnoszą kopie dla Karola VII, którego przedstawiciela pogonili kilka lat wcześniej spod swojego zamku. Gilles będzie się trudnił wojaczką przez najbliższe 10 lat z przerwami. Jako jeden z pierwszych wedrze się na mury trzymanego przez Anglików zamku Le Lude. Podobno pojmał tam angielskiego dowódcę Blackburnea, ale Herubel pisze, że „zabił go w sposób niezbyt godny rycerza”. Cios w plecy? W krocze? Pasowałoby to do natury de Raisa.

Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu ów skrzywiony młodzieniec ciągnął ku Joannie d’Arc. Święta nie wyczuła wokół

siebie zdrajców, takich jak tłusty i śliski La Trémoille. Dlaczego miałyby wyczuć psychopatę, którego wszak podniecenie widokiem krwi i trupów niewiele na pierwszy rzut oka mogło różnić się od zwykłego szału bojowego ogarniającego każdego rębajkę pod słońcem? Gilles de Rais opisany został jako jeden z głównych dowódców Dziewicy Orleańskiej. To duża przesada. Był jednym z wielu. Odpowiadał za zaopatrzenie

w czasie deblokady Orleanu, dowodził zdobyciem kilku warowni wokół miasta, potem wysłano go jako dowódcę eskorty do opactwa Saint-Rémy po cudowny olejek używany w koronacjach francuskich królów. Próbował wraz z kilkoma innymi wodzami uwolnić Joannę d’Arc z niewoli angielskiej, ale utknął przy przeprawie pod Louviers raptem 30 km od Rouen. W 1429 r. został mianowany marszałkiem – był to bardziej tytuł niż funkcja wojskowa.

Podczas wojny w 1427 r. na służbę de Raisa trafił służący o przydomku Poitou. Ów kształtny i gładki pacholik zostanie na krótko kochankiem rycerza, a po latach będzie dla niego wynajdował ofiary w przynależących do zamków wsiach. Wielki pan zadawała się nie tyle homoseksualnym seksem, ile dotykaniem młodego ciała swojego sługi. Od 1435 r. Gilles de Rais przebywa już głównie w swoich dobrach, ku zgubie tamtejszych dzieci.

Komnaty grozy

Ofiary pochodziły z wiosek wokół Tiffauges, Machecoul i Champtoce, ale zdarzył się też chłopiec z rycerskiej rodziny przywieziony aż z okolic Normandii. Porywano ich w różny sposób – czasem widziano ich w towarzystwie zbrojnych z zamku patrolujących pola, tudzież Perrine Martin, ohydnej starej baby służącej na zamku. Bywało też, że dzieci nie wracały z zamku wysłane tam uprzednio przez matkę po jałmużnę.

Protokół przesłuchania mordercy nie nadaje się do czytania przez ludzi o zbyt dużej wrażliwości. Czytamy tam:

„Powiedział i wyznał też, iż w sposób najbardziej haniebny oddawał nasienie na brzuchy rzeźzonych dzieci, tak przed,

jak i po ich śmierci, a także podczas ich konania, którym to dzieciom niekiedy i on sam, a niekiedy jego współnicy [...] zadawali różnego rodzaju katusze. Raz oddzielali głowę od ciała pugiłami, sztyletami i nożami, to znów uderzali je gwałtownie po głowie kijem lub innymi tępymi przedmiotami, kiedy indziej znów wieszali je w jego komnacie na żerdzi lub haku przy użyciu powrozów i dusili je; a kiedy konały, ów Gilles popełniał z nimi występki sodomii w wymieniony sposób. Które to już martwe dzieci całował, te zaś, co miały najpiękniejsze główki i najpiękniejsze członki, zostawiał do podziwiania i z okrucieństwem kazał otwierać ich ciała i napawał się widokiem ich wewnętrznych organów, i bardzo często, kiedy rzezone dzieci konały, siadał im na brzuchy i znajdował przyjemność w oglądaniu ich agonii”.

Ciała zamordowanych były od razu palone w osobistej komnacie rycerza. Około 40 ciał pozostawiono jednak w jednej z wież na zamku Champtocé, gdzie przeleżały kilka lat, ulegając mumifikacji niewykryte przez nikogo. W ostatniej chwili przed przekazaniem zamku swojemu seniorowi de Rais kazał je stamtąd zabrać i spalić w Machecoul. Popioły wrzucano do latryn lub do fosy.

W czasie śledztwa biskup Nantes nie mógł uwierzyć, że de Rais popełniał swoje zbrodnie bez żadnego podszeptu, pretekstu, inspiracji.

„Nie potrzebowałem żadnych rad. Zbrodnie te były przedmiotem mojej własnej wyobraźni. Dokonałem ich jedynie dla rozkoszy zmysłowej, z pociągu do rozpusty”.

„Urodziłem się pod taką gwiazdą, że nikt na świecie nigdy nie uczyni, nie potrafi nigdy uczynić tego, co ja uczyniłem. Ledwo mogę podjąć zakazane rzeczy, jakich się dopuszczam”.

W przypływie jakiejś niepojętej paranoi, patologicznego narcyzmu, a może zwykłej obłudy feudał ufundował w swoich dobrach kapitułę pod wezwaniem Świętych Młodzianków, której członkiem również sam się ogłosił. Na zamkach utrzymywał zaś dziecięcą

chór. Gdy akurat nie wystarczało ofiar spośród wieśniaków, de Rais molestował małych śpiewaków. Poitou zeznał, że de Rais nie zabijał jednak owych dzieci z chóru, „ponieważ bardzo je cenił, a dzieci zobowiązane były trzymać w tajemnicy wszystkie te wydarzenia”. Przy tym procederze asystowali „kantorzy”: Rossignol i Buchet.

Milczenie świadków kosztuje. W połowie 1435 r. de Rais zaczął wyprzedawać po kawałku swoje dobra. Żył ponad stan. Otaczał się świtą wielką nawet jak na tak znaczącego możnego, płacąc sługom niespotykane gdzie indziej sumy. Wystawiał sztuki teatralne, w których sam kazał obsadzać się w roli głównego bohatera.

Gilles de Rais, chcąc podreperować swój stan posiadania, zaczął parać się alchemią i przyzywaniem demonów pod kierunkiem florenckiego czarownika Franciszka Prelatięgo, naprawdę zwykłego hochsztaplera. Rytuwały przebiegały schematycznie, według zasad opisanych w grimoire'ach: Na podłodze komnaty marszałek i mag kreślili kręgi, litery i krzyże, a potem rozpoczynali inwokacje. Demon jednak milczał. De Rais oferował mu zatem rękę, serce i oczy jednego z zamordowanych dzieci. I to na niewiele się zdało. Demon zwany Barron miał oświadczyć, za pośred-

nictwem maga oczywiście, że nie spełni żądań rycerza, gdyż ten nie jest w stanie zaoferować swojej duszy. Samego demona de Rais nigdy nie widział, ale jeden z jego sług zeznał, że w czasie, gdy oczekiwał pod komnatą, na dachu dało się słyszeć odgłosy „czegoś, co bardzo chciało dostać się do środka zamku, było ciężkie, miało cztery łapy”. Inny jednak pachołek stwierdził, że w czasie inwokacji Florentczyka... zasnął z nudów.

Dla naiwnego de Raisa Prelati stworzył specjalną miksturę dającą szczęście, którą kazał rycerzowi mieć zawsze przy sobie. Przez okrągły miesiąc ten nosił ją na szyi w specjalnej ampułce, ale w końcu wyrzucił owo smarowidło precz. Hochsztaplera jednak nie przepędził. Pracownię magiczną trzeba było naprędce zniszczyć, gdy do zamku ni stąd, ni zowąd zjechał sam następca tronu Francji – późniejszy Ludwik XI. To był koniec przygód Gillesa z czarami.

Gilles de Rais został aresztowany 15 września 1440 r. na polecenie biskupa Nantes Jana de Malestroita po trwającym wiele miesięcy śledztwie, w którym jednym z ważniejszych świadków, dziś powiedzielibyśmy – świadkiem koronnym, stał się były ksiądz Eustachy Blanchet, sługa de Raisa, który uciekł od niego przerażony tym, w co wplątuje go jego pan. Tak potężnego rycerza nie można jednak było po prostu aresztować na podstawie decyzji jakiegoś „sądu złożonego z klechów”. Biskup przekonuje więc do swoich działań seniora de Raisów, czyli Jana V, a następnie zastawia na rycerza pułapkę.

W czasie finalizowania transakcji sprzedaży zamku specjalnie podpuszczeni nabywcy prowokują de Raisa do gwałtownej reakcji. Morderca atakuje w kościele jednego z nich – duchownego Jana de Ferrona, po czym wtrąca go do lochu. Zamach na duchownego to już wystarczający powód do aresztowania. Zrazu hardy i arogancki, Gilles de Rais 21 października 1440 r. przyznaje się do winy i prosi o przebaczenie – jeszcze zanim pokazano mu narzędzia tortur. Litościwie zostaje więc uduszony przed spaleniem na stosie, na który powędruje też większość jego obrzydliwych sług.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Ekzekucja Gilles'a de Rais

FOT. WIKIPEDIA



Władysław Studnicki FOT. NAC

elit opiniotwórczych z takim aplauzem oklaskuje swojego wodza naczelnego i ministra spraw zagranicznych, ulegając nastrojowi narodowej megalomanii i przekonaniu o własnej sile zdolnej pokonać potęgę Niemiec (bo o agresji sowieckiej nikt nawet nie wspomina). Studnicki miał w dodatku czelność przypominać nie tak dawny jeszcze klimat „silnych, zwartych i gotowych” i tę ich propagandę o głodzie w Niemczech, złym uzbrojeniu i potędze Francji gotowej nam przyjść z pomocą: „Wkrótce zobaczyliśmy, na ile to wszystko było prawdą. Na początku wojny byłem w Rabce. Poważny gospodarz, góral, mówi mi: »«Krakowski Kurier Ilustrowany» pisał, że w Niemczech głód. Przyszli Niemcy, nie tak wyglądają głodni, byli silni, wypasieni. Cyganiły nas gazety, już ja żadnej gazecie wierzyć nie będę«. [...] Przyszła w końcu katastrofa, jakiej nie znały jeszcze nasze dzieje” (z listu W. Studnickiego do M. Grydzewskiego, 23 października 1952 r.). Kto dziś pamięta o zapewnieniach z końca 1938 r., że „Polska jest mocarstwem”, a „Zwycięstwo Cieszyńskie – to nowy etap historycznego pochodzenia Polski Piłsudskiego w coraz to lepszą, choć nie łatwiejszą może, przyszłość”.

Falsz zarzutów

On pamiętał i za tę dobrą pamięć także musiała przyjść zapłata. Aż do dziś podejmowane są próby uwikłania Studnickiego w kolaborację z Niemcami, połączone z zarzutem antysemityzmu (co ma sugerować ideologiczne pobratymstwo Studnickiego z niemieckimi rasistami), chociaż on sam, z charakterystyczną dla siebie autoironią, powtarzał podczas wojny, że „pertraktować będzie on dopiero z czwartą Rzeszą”. Tak oto jeden z niewielu Polaków, który przed wojną pochylał się nad lekturą „Mein Kampf” (i to zanim jeszcze Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec) i podjął próbę zrozumienia natury niemieckiego nazizmu (choć głównie w obszarze polityki zagranicznej), pisząc o tym na łamach prasy, jest wyklinany przez obrońców tych wszystkich, którzy w politycznych deklaracjach lat 30. XX w. ścigali się w zapraszaniu hitlerowskich notabli do wygłaszania w Polsce wykładów, pochwałach pod adresem niemieckiego kanclerza, nie znajdując ani chwili

Klęska II RP / Spór o Władysława Studnickiego

Polski wyrzut sumienia



Sławomir Cenckiewicz

/ Władysław Studnicki jest jedną z osi fundamentalnego sporu o dziejowe konsekwencje błędów popełnionych przez polską elitę państwową w 1939 r.

Po upadku Polski w 1939 r., po jej kolejnych katastrofach wojennych i powojennych, po utracie na zawsze ziem wschodnich wszystko, co napisał Władysław Studnicki przed klęską i po niej, traktowane jest jak wyrzut sumienia i musi być odebrane jak oskarżenie. Mądrość przed klęską jest szczególnie niewybaczalna po klęsce! Zwłaszcza wówczas, kiedy jeden człowiek

„mający zdolności prorocze” (określenie Stefana Kisielewskiego) jest w stanie wczesną wiosną 1939 r. przewidzieć szybki koniec Polski, sojusz niemiecko-sowiecki, a w konsekwencji rozbiór Polski przez Niemcy i Związek Sowiecki, szybki upadek Francji, wojnę Niemiec z Sowietami, przejście Moskwy do obozu alianckiego, zdradę Zachodu, zabór ziem wschodnich...

Jeden człowiek nie może mieć przeciwko racji, skoro zdecydowana większość

na przestudiowanie jego obłąkańczych poglądów publicznie wyłożonych na kartach „Mein Kampf”. Na nic się tu zdają znane od lat źródła historyczne i werydykty historyków, brzmiące wyjątkowo jednorodnie świadectwa Józefa Frejlicha i Jana Nowaka-Jeziorańskiego: „prof. Władysław Studnicki nie splamił się w czasie okupacji żadną współpracą z hitlerowcami, mimo że należał do ludzi, którzy ugodę polityczną z silniejszym mieli niejako we krwi”.

Więzienia i pobicia, choroby i udręki, utratę własnego domu i bliskich, jakich doświadczył Władysław Studnicki od Niemców, broniąc prześladowanych przez nich Polaków i niszczonej z premedytacją narodowych dóbr kultury materialnej, kwituje się dziś bezkarnie każdą dostępną obelgą! Studnicki nigdy nie brał udziału w tej indywidualnej licytacji cierpienia i przeżyć wojennych, bo zdawał sobie sprawę – i o tym mówił publicznie – jaki wielki ogrom nieszczęśliwych spadł na obywateli Rzeczypospolitej podczas drugiej wojny światowej. Czasem można nad tym ubolewać, że Studnicki nie potrafił zadbać o pamięć o własnej martyrologii, zwłaszcza wtedy, kiedy czytamy, że „główny twórca decyzji rządu polskiego podjętej w styczniu 1939 r. zapłacił tę samą cenę, co miliony Polaków” (słowa Marka Kornata) (sic!).

Władysław Studnicki jest zatem jedną z osi fundamentalnego sporu o dziejowe konsekwencje błędów popełnionych przez polską elitę państwową w 1939 r. W dyskusji o wyborze między dwiema przeciwstawnymi doktrynami geopolitycznymi (i blokami) walczącymi w 1939 r. (i później) o dominację nad „europejskim środkiem” tkwi cała „kontrowersyjność” Studnickiego i jego obrońców. Studnicki wybrał, a jego obrońcy uznali, że miał rację. Pierwsza doktryna bloku brytyjsko-sowieckiego (później także amerykańskiego), mimo spektakularnej i całkowitej klęski w wymiarze polskim (ze względu na czynnik sowiecki), cieszy się historycznym konsensusem i stanowi komponent polskiej „politycznej poprawności” od lewa do prawa, druga (blok państw Osi i ich wielu sojuszników w Europie) zasługuje zaś na w pełni zrozumiałe, jedynie potępienie epitety (głównie ze względu na ludobójczy charakter niemieckiego nazizmu i politykę Zagłady realizowaną przez III Rzeszę, ale już po 1 września 1939 r.).

Tym samym nie istnieje w zasadzie możliwość przypomnienia (bez negatywnych konsekwencji lub z licznymi zastrzeżeniami) o jakichkolwiek zasługach Studnickiego i tych politykach czy myślicielach, którzy potrafili go docenić już za życia, choćby nawet nosili największe nazwiska.

Kryterium prawdy

Wszystkie towarzyszące tej specyficznej „dyskusji” „argumenty” – a to, że obowiązkiem Polski było „staniecie po stronie demokracji zachodnich” i „obrona cywilizacji europejskiej przed totalitaryzmami”, że „w warunkach appeasementu dyplomacja Becka nie miała żadnej alternatywy” i „trzeba się bić o niepodległość nawet bez sojuszników”, usuwanie jego książek z historycznych konkursów (w kategorii źródeł historycznego) czy okładanie samego Studnickiego wyzwiskami typu „wariat”, „rzecznik wasalizacji Polski”, „hitlerowiec”, „miłośnik III Rzeszy”, „podobny do Bieruta”, „antysemita” i „kolaborant” są jedynie arsenałem posiłkowym w całym długim procesie delegitymizacji postaci Studnickiego. Jest to poniekąd zjawisko typowe dla niszczących debatę publiczną i historyczną „demokratycznych wojen totalnych”, od lat opisywanych w literaturze politologicznej. Stają się one szczególnie intensywne i brutalne, jeśli dotyczą oceny przeszłości, zwłaszcza polityki zagranicznej, wojen czy ideologii.

„Wojna, podobnie jak i cała polityka, zostaje w erze demokratycznej totalnie zmoralizowana, co prowadzi do gorączkowego poszukiwania »winy«, czyli tych, którzy »pierwsi zaczęli« – pisał w 1994 r. Tomasz Gabiś. – Kwestia »winy« była nieistotna w epoce klasycznych wojen gabinetowych, natomiast w erze demokratycznej jest sprawą zasadniczą, ponieważ tzw. społeczeństwo będące w demokracji »podmiotem« polityki jest zdolne do widzenia spraw polityki

zagranicznej i wojny tylko w kategoriach moralnych, dlatego musi mieć »winowajcę« wywołującego nienawiść, gniew czy oburzenie. Wojna, która byłaby tylko, tocząca się »poza dobrem i złem«, grą strategiczną mającą na celu obezwładnienie przeciwnika i poszerzenie swojej władzy, byłaby nie do zniesienia dla demokratycznej »opinii publicznej« zdolnej widzieć politykę jedynie przez pryzmat emocji, uczuć, uprzedzeń i kryteriów moralnych”.

Władysław Studnicki jest może największą u nas ofiarą tak rozumianej nowej wojny. Rozliczni apologety „polityki równowagi”, którzy zamiast stosować kryterium prawdy materialnej, podpierają się pozycją uczonych i piszą o obowiązku obrony „kierownictwa politycznego państwa” z 1939 r. oraz „dumy z II Rzeczypospolitej” (jakby duma z Polski stała w sprzeczności z krytyką przywództwa politycznego i państwowego), są jedynie akuszerami „demokratycznej wojny totalnej”, świadomie zastępując rzeczową dyskusję o przeszłości Polski emocjami i moralnym szantażem („Anglia czy III Rzesza?”, „Ja wybieram niepodległość i politykę suwerenną, a nie bycie lokajem Hitlera”, „Wolisz Hitlera od Churchilla?”, „Zaakceptowałbyś zagładę Żydów?”, „Przegrana Polski u boku Niemiec to przecież mały Katyń w każdym polskim mieście”, „Żyrowalibyśmy zbrodnie Hitlera”, „Czy wszyscy Polacy z wyjątkiem Studnickiego i Bocheńskiego byli głupi?” itd.).

Wyznawcy ministra Becka stają zawsze przed fundamentalnym problemem, jakim jest istnienie w przeszłości Władysława Studnickiego i jego szkoły geopolitycznego myślenia. Najczęściej jedynie w formach publicystycznych dają asumpt swojej niechęci czy wręcz nienawiści do jego osoby i dorobku oraz tych wszystkich, którzy odważyli się o nim przypomnieć. Istnieje pod tym względem zasadnicza różnica nawet między debatą historyczną w PRL i w pierwszych latach III Rzeczypospolitej (nie mówiąc już o sporach emigracyjnych) a tym, co wokół Studnickiego dzieje się w ostatnich latach. To ostatnie jednak winno doczekać się zupełnie odrębnego studium...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



WŁADYSŁAW STUDNICKI
„POLSKA ZA LINIĄ CURZONA”
WYDAWNICTWO NOWA KONFEDERACJA

Fragment obszernego wprowadzenia do książki W. Studnickiego „Polska za linią Curzona”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Nowa Konfederacja.



Krzysztof Masłoń

/ Powieściom Tadeusza Dołęgi-Mostowicza nigdy nie brakowało czytelników, tak jak filmom zrealizowanym na podstawie jego książek – widzów

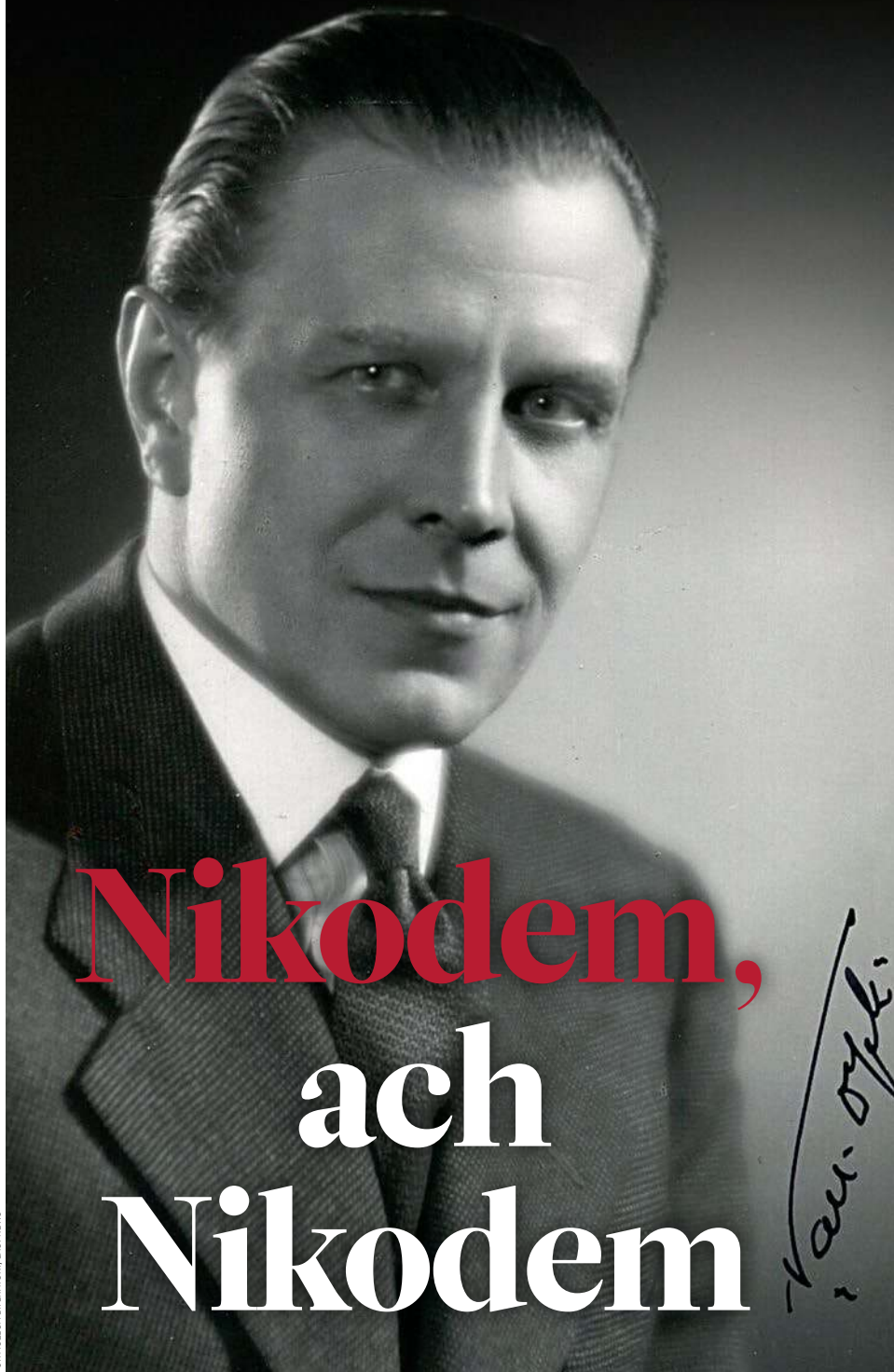
Był ulubieńcem szerokiej publiczności, rozdawał autografy i przysyłał zdjęcia panienkom, mężatkom i wdowom zauroczonym jego słowami. Znał wszystkich i wszyscy go znali. Zarabiał krocie i krocie przepuszczał. Napisał jedną z najistotniejszych książek II Rzeczypospolitej, czyli „Kariery Nikodema Dyzmy”, a jednak krytycy z „nazwiskiem” nie dostrzegali go, a „Wiadomości Literackie” nie zauważały. W tych ostatnich zaistniał dwukrotnie; jeden jedyny raz Grydzewski poprosił go o napisanie wspomnienia o zmarłym Zbigniewie Uniłowskim, ponadto w rubryce listów do redakcji wydrukowano jego komentarz odnośnie do zdjęcia przez cenzurę dwóch odcinków drukowanej w „ABC” „Kariery Nikodema Dyzmy”.

Autor zastrzegł najpierw, że rzecz cała dzieje się „może dziś, może za lat dwadzieścia, a może nawet przed majem 1926 r.”, a następnie wyjaśnił, że zakwestionowana została scena bicia aresztowanej dziewczyny w areszcie policyjnym: „Delikwentkę rzucają najpierw z rąk do rąk (tzw. piłka), następnie zaś owijają mokrym prześcieradłem i wymierzają kilkanaście uderzeń harapem”. W opisie tym doszukano się przestępstwa, czyli podania kłamliwych wiadomości. „W zrozumieniu słuszności tej zasady – pisał dalej Dołęga-Mostowicz – teraz już wiem, jak należy zmienić opis badania. Oto przed komisariat zajeżdża luksusowa limuzyna, a z niej wysiada aresztowana Mańka Barcik. Warta prezentuje broń. Na progu uśmiechnięty komisarz wręcza aresztowanej pęk tuberoz, po czym podaje jej ramię i wprowadza do buduaru, gdzie już przygotowano »Cordon rouge« i ostrzygi.

FOT. MUZEUM LITERATURY EAST NEWS

1898–1939 /

O autorze „Kariery Nikodema Dyzmy” i „Znachora”



Nikodem, ach Nikodem

Kari. Dyzm.

Z sąsiedniego pokoju dolatują dyskretne dźwięki kołysanki granej przez orkiestrę policyjną. Po wytwornej kolacji aresztowaną owija się w kaszmirskie szale i sześciu policjantów muska ją gałązkami mimozy. Nagle zwyrodniała i rozwścieczona aresztantka gwałtownym ruchem zdejmując z lewej nogi morderczą pończochę, rzuca się na policjantów i masakruje ich tym strasznym narzędziem zbrodni. Przy życiu cudem zostaje tylko jeden i błagając o litość, wręcza aresztowanej pięknie oprawiony tom kodeksu karnego z dedykacją (Orkiestra gra arie z »Rycerskości wieśniaczej«).

W końcu pisarz zadeklarował: „Oświadczam, że nigdy nie byłem nie tylko endekiem, lecz żadnym partyjnikiem partyjnym czy partyjnikiem bezpartyjnym nie byłem, nie jestem i nie będę”. Nie uwierzono mu, pamiętając, że zaczynał od pism zbliżonych do endecji czy wręcz endeckich i choć z czasem ten balast polityczny zaczął nieco mu ciążyć, zwykle jednak lądował w tytułach prawnicowych czy za takie uważanych, np. „Prosto z Mostu”.

A w kręgu Narodowej Demokracji i chadecji znalazł się już na początku swej kariery dziennikarskiej w Warszawie, dzięki znajomościom swojego wuja, majątnego inż. Zbigniewa Rytla i jego wpływowego brata Waława-Wiatora Rytla, księdza kapucyna, nawiasem mówiąc tego, który wyspowiadał idącego na śmierć Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcę Gabriela Narutowicza, i udzielił mu ostatniego namaszczenia.

Bojkot recenzencki

Może trudno to pojąć, ale najbardziej pożytecznego pisarza II Rzeczypospolitej traktowano niczym grafomana, jego nazwisko wymieniając jednym tchem z Antonim Marczyńskim, Pawłem Stašką, Markiem Romańskim, Mieczysławem Jarosławskim i innymi autorami drukowanych w odcinkach powieści sensacyjnych. Z czasem, gdy Mostowicz porzucił fabuły sensacyjne na rzecz obyczajowych, dogryzano mu, że pisze dla kucharzy. A najczęściej stosowano, znaną do dziś, metodę krytycznego ostracyzmu, no bo skoro nie pisały o książce „Wiadomości Literackie”, to zdaniem miłośników humoru Słonimskiego i „Boya” jej nie było. I nic do rzeczy nie miało to, że dla



Roman Wilhelmi jako filmowy Nikodem Dyzma FOT. INPLUS/EAST NEWS

powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza wykupywano stutysięczne nakłady gazet, a „Wiadomości...” trafiały do, góra, 8 tys. czytelników. Ale jakich...

Nie chcę się wdawać w głębsze analizy tego zjawiska, szczególnie zainteresowanych odsyłam do świeżo wydanej przez Iskry książki Jarosława Górskiego o autorze „Kariery Nikodema Dyzmy” – „Parwienisz z rodowodem”. Wynika z niej, że Mostowicza wpisano w trywialny obieg literatury, zupełnie nie zważając na fakty. Nie chciano widzieć w nim pisarza, wciąż wypominając mu dziennikarską działalność, a nawet w takich wydarzeniach jak pobicie go w 1927 r. przez bandziorów na zlecenie sił policyjnych doszukując się... reklamiarstwa. Skądinąd niewykluczone, że w tej bandyckiej akcji maczał palce spopularyzowany ostatnio przez serial „Król”, nakręcony według prozy Szczepana Twardocha, szef milicji warszawskiej PPS, Józef Łokieć zwany „Łokietkiem”, brawurowo zagrany przez Borysa Szyca.

Zresztą, wszystko, co robił Tadeusz Dołęga-Mostowicz, zdaniem ówczesnego salonu zasługiwało na wzgardę, bieda była jednak tylko ta, że niepostępowi Polacy uwzięli się, by go czytać. I przepadali za tym, co pisał i jaki był. A o publicity dbał jak mało kto, choć czasami przesadzał, tak jak wtedy, gdy rozsiewał plotki o już, już nadchodzącym jego sukcesie w Hollywood. Naprawdę, co słusznie punktuje Jarosław Górski, trudno było

myśleć serio o amerykańskiej karierze, skoro książki autora „Znachora”, owszem, były tłumaczone na obce języki, ale na angielski akurat nie.

Po wojnie też książki Mostowicza przez długie lata były wysoce podejrzanym, a w latach 1951–1953, z małymi wyjątkami, wycofywane z bibliotek. Jako wybitnie szkodliwe.

Rozumni odbiorcy

Piotr Kuncewicz, krytyk – zdawałoby się – otwarty na literaturę popularną, jeszcze w wydanym w 1991 r. pierwszym tomie gigantycznej „Agonii i nadziei. Literatura polska od 1918” autorowi „Kariery Nikodema Dyzmy” poświęcił pięć zdań. Oto one: „Do innego już pokolenia należał Tadeusz Dołęga-Mostowicz (1898–1939), pisarz niezmiernie popularny, którego przecież grafomanem nazwać nie można. Jako dziennikarz i publicysta wyraźnie widział osobliwość i śmieszność swoich czasów – a także czasów tych mity. Dyskusja na jego temat na dobrą sprawę trwa do dzisiaj, a oceny wcale nie są jednoznaczne – jednoznaczne jest tylko niezmiennie powodzenie czytelnicze. Najbliższe dzieła to »Kariery Nikodema Dyzmy« (1932) oraz cykl »Znachor« (1937) i »Profesor Wilczur« (1939). Książki Mostowicza były często przeniesione na ekran, także i po wojnie.”

■ Rzeczywiście były. Głównie za sprawą Jana Rybkowskiego, który wziął się, by wreszcie przenieść na ekran „Kariere Nikodema Dyzmy”. Zaczęło się w 1956 r. od falstartu, jakim był „Nikodem Dyzma” z fatalnie obsadzonym w głównej roli Adolfem Dymszą. Film ogląda się dziś z trudem, satyra na przedwojenną Polskę budzi zażenowanie, a jedyne, co warte jest zauważenia, to niektóre pomniejsze role i epizody, w których możemy podziwiać m.in. Edwarda Dziewońskiego jako wiceministra rolnictwa Jana Ulanickiego, Jarema Stępowskiego jako wysłannika premiera, Ryszarda Filipskiego w roli złodzieja, Stanisława Bareję jako kamerdynera Leona Kunickiego, a jako boya w Hotelu Europejskim... Romana Polańskiego.

Rybkowski okazał się człowiekiem upartym i świadomo-

przedwojenną; w kwietniu 1939 r. odbyła się premiera filmu „Doktor Murek” w reżyserii Juliusza Gardana, z muzyką Władysława Szpilmana (w czołówce figurującego jako Spielman) i z Franciszkiem Brodniewiczem w roli głównej.

W II Rzeczypospolitej na ekran przeniesiono niemal wszystko, co wychodziło spod pióra Mostowicza. Niestety, wszystko się nie zachowało, a niektóre obrazy nie zostały dokończone. Taki był los przemontowywanej i pokazywanej w latach okupacji hitlerowskiej „Złotej Maski”, „Przygód pana Piorunkiewicza”, które miał reżyserować Eugeniusz Cękałski, ale zdjęcia przerwał wybuch wojny, oraz „Testamentu profesora Wilczura”, trzeciej części historii zapoczątkowanej „Znachorem”, która na ekranach kin pojawiła się w 1942 r.

amerykańską Polonię. Świetnie przyjęto „Znachora” także w Czechosłowacji, za to wyraźnie nie spodobał się we Francji, gdzie w recenzjach pisano o „dzikim kraju, w którym ludność leczy się u znachorów, a filmy robi się muzealną techniką”. Nawiasem mówiąc, w Polsce krytycy również kręcili nosem na „Znachora”, co w przyszłości miało się nie zmienić, gdyż kiedy na początku lat 80. powieść po raz wtóry zaadaptował na potrzeby filmu Jerzy Hoffman, utyskiwano, że reżyser całą historię potraktował serio, zamiast ironicznie zdystansować się od niej. Na szczęście zarówno czytelnicy, jak i widzowie mają swój rozum.

A kończąc przegląd filmowych adaptacji utworów Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, dopełnijmy go: „Prokurator Alicja Horn” (1933), „Ostatnią brygadą” – na ekranach funkcjonującą jako „Prawo do szczęścia” (1938), „Profesorem Wilczurem” (1938), kontynuacją „Znachora” ze świetnym Jackiem Woszczerowiczem w roli Jemioła i „Trzema sercami” (1939). Uff, dużo tego.

Fascynacja filmem

Tadeusz Dołęga-Mostowicz zarabiał dzięki filmowi, ale wcale nie takie krocie, jak można by się tego spodziewać. Zyski przynosiło mu raczej sprzężenie zwrotne,

będące następstwem koordynacji w czasie druku książek w czasopiśmie, następnie edycji książkowych, wreszcie realizacji filmowych, odnośnie do których miał, uzasadnione, pretensje, do czasu poddając się jednak presji produkcyjnej. W końcu 1938 r. powiedział jednak „dosyć”; miał mocną, ugruntowaną pozycję i nie musiał znosić upokarzających go, jako autora, scenariopisarskich przeróbek powieści, wypaczających niekiedy ich sens, jak to np. było przy „Prawie do szczęścia”, w którym Anatol Stern, jeden z macherów przedwojennego kina, bynajmniej nie tylko futurystyczny poeta, nadto sobie poszalał.

Mostowicz był jedną z osób, które przyczyniły się do powstania Towarzystwa Rozwoju Filmu Polskiego. Mogło to być zaskakujące – i było! – dla żydowskich producentów i reżyserów, z którymi wcześniej pracował. Ochłodzi-



Reklama filmu w „Światowidzie” z 1933 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

my ułomności „Nikodema...”, powrócił po 14 latach do tej samej powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, wspólnie z Markiem Nowickim reżyserując jeden z najlepszych seriali polskich – „Kariere Nikodema Dyzmy” z bajeczną kreacją Romana Wilhelmiego w roli tytułowej. Serialu nie ma potrzeby omawiać, znają go bowiem wszyscy. To prawdziwy majstersztyk.

Dla porządku przypomnijmy również, że po wojnie sfilmowany został także w 1963 r. przez Stanisława Lenartowicza „Pamiętnik pani Hanki” z Lucyną Winnicką, a w serial telewizyjny Witolda Lesiewicza z Jerzym Zelnikiem w roli głównej zmienił się „Doktor Murek”. Ten ostatni miał wcześniej swoją ekranizację

A skoro padł już tytuł „Znachor”, to koniecznie trzeba poświęcić nieco miejsca filmowym adaptacjom tej powieści, popularnej jak żadne inne dzieło Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. Nic dziwnego, że film zrealizowany przez Michała Waszyńskiego z Kazimierzem Junoszą-Stępowskim w roli głównej stał się największym przebojem kinowym 1937 r. To był zresztą samograj. Jarosław Górski w „Parweniuszu z rodowodem” przypomina, że powieść Mostowicza drukował Feliks Fikus (ojciec Dariusza) w „Wielkopolaninie” jeszcze półtora roku po publikacji pierwszego odcinka powieści w stołecznym „Czerwoniaku”. Podobnie bez końca publiczność domagała się seansów tego właśnie, a nie innego filmu, oglądanego przez wszystkich, jak Polska długa i szeroka, a i poza granicami Rzeczypospolitej, np. przez

ły się więc jego stosunki np. z Michałem Waszyńskim czy Juliuszem Gardanem. A Mostowicz, któremu bardzo zależało na powołaniu do życia szkoły filmowej, swoim wykładem zainaugurował w lutym 1939 r. kurs wiedzy filmowej, będący pierwszym ku temu krokiem. Na Towarzystwo Rozwoju Filmu Polskiego, w którego władzach dla Żydów nie było, z miejsca obrazili się lewicowcy zgrupowani wokół START-u (Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego), co nie przeszkodziło Eugeniuszowi Cękałskiemu, z tegoż START-u, zabrać się do reżyserowania „Przygód pana Piorunkiewicza”. Czy sam pisarz zyskał wiele na tym wyraźnym zbliżeniu do sfer rządzących? Chyba nie, choć wywołuje sprzeciw zdanie Jarosława Górskiego, jakoby akces ten spowodował niechęć do Dołęgi-Mostowicza „i jego niedawnych przyjaciół z kręgów endeckich, i filmowców żydowskiego pochodzenia oraz miłośników kina artystycznego, ambitnego”. No, oczywiście, jeśli w ślad za PRL-owską propagandą będziemy niczym prawdę objawioną powtarzać peany na cześć Jakubowskiej, Lejtesa i Forda, to ostatnia część cytowanego zdania będzie do przyjęcia. Ale wtedy i tylko wtedy.

Autor „Kariery Nikodema Dyzmy” filmem był zafascynowany. Stanowił dla niego ważne, dodatkowe źródło zarobkowania, ale równie doceniał jego niesłychanie nośną rolę kulturotwórczą, wyczuwając w nim także ogromne, a nieznane jeszcze możliwości techniczne. Stąd nie ograniczał się do podpisywania stosownych umów i rachunków, bywał na planie, przyjaźnił się z aktorami, sam rwał się do reżyserowania filmów, ale najbardziej zależało mu na tym, by same mu pisać scenariusze, a nie z przymusu zgadzać się na dowolne przerabianie opowiadań i powieści przez osoby przypadkowe, pozbawione smaku artystycznego.

Nie było to wcale łatwe, przypomnieć bowiem warto, że złożony przez Mostowicza scenariusz „Znachora” pierwotnie został odrzucony, a spotkał się m.in. z zarzutem braku w nim dramatyzmu (!). W końcu takim filmem, nad którym niemal w pełni sprawował pieczę był dopiero „Testament profesora Wilczura” (w reżyserii Leonarda Buczkowskiego). Niemal równoległe pisarz zdążył doprowadzić do realizacji „Białego Murzyna” (też przez Buczkowskiego), według własnego scenariusza napisanego na

podstawie XIX-wiecznej powieści Michała Bałuckiego pod tym samym tytułem.

Dwa czeki podróżne

Czy pisarz przeczuł nadchodzącą szybkimi krokami wojnę? Gdyby ograniczyć się do jego publicystyki i felietonistyki, trzeba byłoby zaprzeczyć, wydaje się jednak, że były to tylko próby zaklinalnia rzeczywistości. Z książki Jarosława Górskiego wynika raczej coś przeciwnego: „Pamiętnik pani Hanki” opowiada w istocie o tańczeniu na wulkanie, z czego Mostowicz świetnie zdawał sobie sprawę. W przeciwnym razie, tak zawsze hojny dla rodziny (m.in. finansował studia w SGH, a potem też wydatnie pomagał bratu, Władysławowi), nie odmówiłby pomocy w kupnie w rodzinnym Głębokiem nowego domu dla ociemniałego ojca, ciotki i siostry. A jednak zasugerował ewentualną przeprowadzkę i kupno domu w okolicach Warszawy, dla ówczesnego województwa wileńskiego widząc smutną bolszewicką przyszłość.

Dla siebie przyszłości, jak miało się okazać, nie miał już wcale. Zginął we wrześniu 1939 r. w mundurze żołnierskim, jak przystało na kombatanta wojny 1920 r., w której z bolszewikami walczył w 13. Wileńskim Pułku Ułanów. Był prawdopodobnie jedynym polskim żołnierzem, który zginął z rąk sowieckich na słynnym moście w Kutach nad Czeremoszem, które udało się na uchodźstwo władze II Rzeczypospolitej. Istnieje wiele, z pewnością zbyt wiele wersji jego śmierci. Najprawdopodobniej zastrzelony został z karabinu maszynowego 20 września. Co wtedy robił jeszcze w Kutach? Przyjechał ciężarówką po chleb,

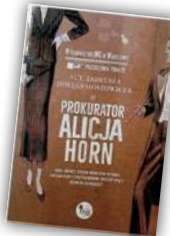
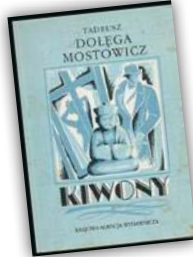
według jednych, dla polskich żołnierzy, którzy przeszli już granicę, a według drugich, by pozostawioną w koszarach żywność rozdać głodującej ludności. Nie zdążył przed wjeżdżającymi właśnie do Kut trzema tankietkami z czerwoną gwiazdą.

Miejscowa ludność z dokumentów znalezionych przy zabitym wiedziała, kogo chowała 22 września na miejscowym cmentarzu. Po latach prof. Zygmunt Antoszewski, lekarz, a wtedy młodziutki syn właściciela zakładu pogrzebowego, przekazał rodzinie dwa tysiączłotowe czeki podróżne pisarza, jego prawo jazdy i dowód rejestracyjny samochodu, legitymację automobilklubu, książeczkę wojskową i fotografię kobiety z dzieckiem. Był przekonany, że to żona Tadeusza Dołęgi-Mostowicza i jego synek, tymczasem było to zdjęcie jego bratowej i bratanka. Ślub autora „Znachora” planowany był na 25 listopada 1939 r., na dzień 18. urodzin jego wybranki, o 23 lata młodziej Katarzyny Piwnickiej.

Prawie 40 lat później, w listopadzie 1978 r., prochy Tadeusza Dołęgi-Mostowicza spoczęły na warszawskich Powązkach. Katarzyna Piwnicka, zwana Kate, nie doczekała tego. Zmarła na raka dwa lata wcześniej.

Jedna z dwóch jego siostr w 1939 r. znalazła się na terenach zajętych przez Sowieców. Kraj Rad szczęśliwie udało się jej opuścić z armią gen. Andersa. Na emigracji, w Londynie, w 1948 r. wyszła za mąż za Felicjana Sławoja-Składkowskiego (dziewięć lat później, po śmierci pierwszej żony ekspremiera II RP, wzięli ślub kościelny). W 1927 r., gdy Tadeusz Dołęga-Mostowicz został pobity przez „nieznanych sprawców”, ministrem spraw wewnętrznych był... tenże sam Felicjan Sławoja-Składkowski. Gdyby pisarza nie dosięgła sowiecka kula, zostałby jego szwagrem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Nie sposób w recenzji streścić tej liczącej pół tysiąca stron książki. Autor zbierał informacje z całego, bogatego życia człowieka, który odegrał i nadal jeszcze czasem stara się odgrywać rolę tytułowego demiurga; w tym przypadku siłą sprawczą polskiej rzeczywistości od lat 60. do dziś. Analizuje liczne publikacje bohatera. Zarazem eseje, książki i artykuły pisane przez Adama Michnika (rocznik 1946) nawet w więzieniach, publikowane poza cenzurą w podziemiu i na emigracji, a po 1989 r. głównie w stworzonej przezeń „Gazecie Wyborczej” dotyczyły najistotniejszych w debacie publicznej kwestii ideologicznych i politycznych. Roman Graczyk (rocznik 1958) „GW” zna doskonale, bo był w niej jednym z czołowych publicystów w latach 1993–2005, a odszedł, nie mogąc pogodzić się z linią gazety w sprawie lustracji.

Znaczący jest opis rodziny, z ojcem Ojzaszem Schechterem i matką Heleną Michnik – przedwojennymi komunistami żydowskiego pochodzenia – przyrodniczymi braćmi oraz z podobnej na ogół proveniencji środowiskiem sąsiadów (ekskluzywne aleje Przyjaciół i Róż), kolegów i przyjaciół. Czytamy o początkach działalności politycznej w Klubie Poszukiwaczy Sprzeczności pod patronatem Jacka Kuronia, w liceum i na studiach. Pierwsze aresztowania i kłopoty dyscyplinarne na wydziale historycznym Uniwersytetu Warszawskiego umocniły nieformalny status Michnika jako przywódcy tej grupy. Autor pisze: „[...] należał do najzdolniejszych ze zdolnych. Stąd jego dominująca pozycja w rówieśniczym środowisku [...]”. Członków, zwolenników i sympatyków tej grupy odnajdziemy podczas ostatniego trzydziestolecia w elitach władzy III RP. No i – w „GW”.

Przed relegowaniem z UW w 1968 r. Adam był moim kolegą na roku. Pamiętam ujmującą radość sympatycznego chłopca po zdaniu na piątkę trudnego egzaminu z historii starożytnego Rzymu u prof. Izy Biezuńskiej-Małowist (pod drzwiami gratulował mu mediewista prof. Marian Małowist). Pięć lat później, po skończeniu studiów, powszechnie lubiana koleżanka, mieszkająca przy al. Przyjaciół, zaprosiła z tej okazji mnie wraz z kilkoma kolegami na spotkanie. Zastaliśmy miejscowe towarzystwo patrzące na nas z dystansem. Poza, oczywiście, Adamem, jak zawsze uśmiechnię-



FOT. STEPHAN ROHL/WMPEDIA

Książka miesiąca / Biografia Adama Michnika

Czar prysł...

tym, uprzejmym i bezpośrednim. Znowu minęło kilka lat. Po skończonym dyżurze w „Kurierze Polskim” jechałem autobusem na basen Warszawianki i szczęśliwy czytałem własny artykuł na kolumnie miejskiej. Aż ktoś położył mi rękę na ramieniu. Słyszę: „Cześć, Maciek!”. Patrzę w górę: Adam. „Cześć!”. A kiedy wychodził, ruszył za nim i wysiadł wysoki, gibki cień. Czy znowu go aresztują na 48 godzin? – pomyślałem. Może będą wrzeszczeć, może uderzą... To ja tu sobie czytam „Kurierek”, jadę pływać, a on cierpi...

Ta myśl nieraz przychodziła mi do głowy w latach 70. i 80., a lektury zakazanych publikacji sprzyjały powstawaniu heroicznej legendy Adama Michnika. Zwłaszcza jego wezwanie do pojednania tzw. lewicy laickiej z ugrupowaniami patriotyczno-konserwatywnymi oraz docenienie roli Kościoła katolickiego w antykomunistycznym oporze pozwalały marzyć o podjęciu przez tego właśnie człowieka misji pokonania sowyizmu i dokonania autentycznej integracji narodowej. Od maja 1989 r. co rano czytałem „GW”. Jednak od „wojny na górze”, „lewego czerwonego” oraz publikacji „Polacy – Żydzi: czarne karty powstania”, opublikowanego przed 50. rocznicą Powstania Warszawskiego, coraz mniej i mniej chętnie. Wreszcie przestałem w ogóle.

Inni jednak czytali i czytają nadal, aby wiedzieć, co tego dnia mają myśleć. Zgroza. Tak wrastała w umysły pogarda dla rzekomego dyktatu „ciemnogrodu”, „moherów”, „czarnych”, „kurdupli”, „kurchty”. Patriotyzm oznaczał szowinizm, a historia ojczyzny – dzieje narodowego wstydu.

Do tych czasów nawiązuje w kolejnych rozdziałach Graczyk, ale nie wiem, czy w pełni zdawał sobie sprawę, jak taka publicystyka bolała rodaków. Autor unika wszelkich emocji, i to mu się chwali. Stara się pisać rzeczowo i obiektywnie, a że pisze znakomicie, jego biografia zasługuje na szczególne uznanie. Myślę również, że przez książkę przewija się od początku do końca wątek zawiedzionych nadziei, rozczarowania Adamem, który wielu uwiódł intelektem i osobistym urokiem, a następnie zawiódł. I czar prysł... ©

Maciej Rosalak



ROMAN GRACZYK
„DEMIURG.
BIOGRAFIA ADAMA MICHNIKA”

ZONA ZERO

Kulisy zdrady Polski

To jedno z najbardziej pasjonujących i najważniejszych źródeł historycznych wydanych w ostatnich latach. Iwan Majski był wieloletnim ambasadorem Związku Sowieckiego w Wielkiej Brytanii. W swoim dzienniku odsłania kulisy wielkiej rozgrywki między Wielką Brytanią a Związkiem Sowieckim, której ofiarą padła Polska.

Pamiętna doświadczeń z pierwszej wojny światowej Wielka Brytania od samego początku dążyła do zawiązania sojuszu z Moskwą. To Armia Czerwona – w wymarzonej scenariuszu – miała utworzyć front wschodni i przyjąć na siebie główne uderzenia Hitlera. A co za tym idzie – oszczędzić Brytyjczykom przelewania ich własnej krwi. Sojusz ze słabą Polską nigdy nie był w Londynie brany poważnie.

Ow wymarzony scenariusz zrealizował się w czerwcu 1941 r., gdy Hitler napadł na Stalina. Wielka Brytania natychmiast zaoferowała wówczas Sowiecom sojusz. A na jego ołtarzu złożyła Polskę. Londyn bez wahania zgodził się uznać zabór połowy terytorium II RP, którego Sowieci dokonali na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow.

Jednym z najciekawszych fragmentów „Dzienników Majskiego” jest opis podpisania paktu Sikorski-Majski (30 lipca 1941 r.). „Sikorski zwrócił się do mnie po francusku – pisał bolszewik. – Bardzo się cieszył, że

podpisujemy układ. Dawno doszedł do wniosku, że Polska nie może bez końca lawirować między sąsiadami ze wschodu i z zachodu. Musi wybrać: albo z Niemcami przeciw Rosji, albo z Rosją przeciw Niemcom. Sikorski zawsze uważał, że Polska powinna iść z Rosją przeciw Niemcom”.

Nieszczęsny, naiwny gen. Sikorski! Nie rozumiał, biedaczysko, że właśnie przesądza się los Rzeczypospolitej. Że Polska wcale nie będzie „szła z Rosją”, ale została właśnie wydana na pastwę sowieckiego molocho. Bolszewicy w trakcie negocjowania paktu kategorycznie odmówili zrzeczenia się zaboru 17 września. Dla każdego, kto potrafił trzeźwo myśleć, jasne było, że zwycięstwo koalicji anglo-sowieckiej nad Niemcami może oznaczać tylko jedno. Finis Poloniae. ©© *Piotr Zychowicz*

Obszerny artykuł Piotra Zychowicza o „Dziennikach Majskiego” ukaże się wkrótce na łamach tygodnika „Do Rzeczy”.



GABRIEL GORODETSKY (OPRAC.)
„DZIENNIKI MAJSKIEGO.
AMBASADOR STALINA
ODSŁANIA KULISY
DYPLOMACJI”

BELLONA

politycznych – i opiekująca się więźniami Stefania Sempołowska. Pojawia się też Józef Piłsudski. Nie brak w tej powieści wątków miłosnych, zdrady dokonanej przez cyniczną denuncjatorkę, scen z celi i kaźni. Lektura wciąga i porusza. ©© *(t.s.)*



WACŁAW HOLEWIŃSKI
„POGROM 1907”

PIW



VALERIE HANSEN
„ROK 1000”
DOM WYDAWNICZY REBIS

POCZĄTEK GLOBALIZACJI

Autorka upatruje początek globalizacji ok. roku 1000. Ludzi żyło wtedy ćwierć miliarda, świat opanowały wielkie religie, a połączyły go – jak zauważa – drogi handlowe. Amerykę Płn. odkryli zaś wikingowie. Oto spotykają oni dziewięciu tubylców, ośmiu od razu zabijają, a ostatni ucieka i sprowadza odsiecz. Wtedy – na dobry początek transatlantycznej globalizacji – ubity pada wódz wikingów. ©© *(m.r.)*



MAX CZORNYJ
„MIŁOŚĆ I WOJNA”
FILIA

WOJNA I MIŁOŚĆ W ŁODZI

Popularny autor kryminałów Max Czornyj tym razem akcję powieści postanowił osadzić w okresie poprzedzającym wybuch II wojny. Akcja rozgrywa się w wieloletniej Łodzi. Czy jest możliwa miłość ponad wojennymi, nacjonalistycznymi podziałami? Czy jednostki muszą podporządkować swoje szczęście i interesy – interesom ogółu? Ważny, uniwersalny temat. Świetnie napisana książka. ©© *(g.k.)*



OPRAC. JÓZEF SIEROCIŃSKI
„ARMIA POLSKA WE
FRANCJI. DZIEJE WOJSK
GENERAŁA HALLERA NA
OBCZYŻNIE”

LTW

O HALLERCZYKACH

Przedwojenne wydanie tej książki kosztuje kilkaset złotych. Świetnie zatem, że otrzymujemy reprint publikacji, która nadal jest cennym źródłem dla historyków i miłośników historii. Bogato ilustrowaną publikację opracował członek „Sokoła” w nowojorskim Brooklynie, organizator rekrutacji Polaków z USA do Armii Polskiej we Francji, a następnie adiutant gen. Józefa Hallera, jej dowódcy. ©© *(t.s.)*

Polski rok 1907

To już trzecia książka z powieściowego cyklu Wacława Holewińskiego, doskonale przybliżającego i przypominającego tak niesłusznie zapomniane lata rewolucji 1905–1907, ludzi tamtego czasu, jego klimat i wydarzenia. Była to rebelia przeciw caratowi, ale toczyła się też w tym czasie krwawa wojna polsko-polska, podczas której strzelały do siebie bojówki socjalistów i narodowców. Holewiński w świetnym, powściągliwym stylu przedstawia losy swoich bohaterów, Polaków z różnych sfer, Żydów i Rosjan. Bohaterami trzeciej części są bojownicy PPS: Michał Trzos, Henryk Baron i Józef Montwiłł-Mirecki, Stanisław Patek – obrońca w procesach



Żołnierze i oficerowie 5. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej FOT. IPN

Życie Wyklętych

Stanisław Płużański przedstawia trudne życie codzienne żołnierzy antykomunistycznej konspiracji, wykorzystując także swoje rozmowy z kilkunastoma z nich. „Młodość to jedyny warunek przetrwania w tak ekstremalnych warunkach” – stwierdzał jeden z partyzantów. Byli ciągle w ruchu, by uniknąć dekonspiracji i obław. Rzadko kiedy kwaterowano we wsiach więcej niż jeden dzień, zwykle w stodołach, wyjątkowo w łózkach. „To gryzło wtedy najczęściej, żeby choć jedną nocy pod pierzyną przespać się” – relacjonował członek jednego z oddziałów. Byli nie tylko niedożywieni, lecz także czasami głodowali przez kilka dni. Starano się

płacić za żywność, jednak czasami z braku pieniędzy zabierano ją po prostu chłopom. Problemem było zaopatrzenie się w buty, szybko zużywające się podczas ciągłych marszów.

Autor nie pomija „skazy na pancerzach”, by użyć sformułowania będącego tytułem książki Piotra Zychowicza, ani nie upiększa rzeczywistości. Z rąk podziemia antykomunistycznego ginęli – oprócz Polaków – także Białorusini i Żydzi, jednak w znakomitej większości dlatego, że popierali władzę komunistyczną bądź służyli w jej aparacie, szczególnie



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI
„MRÓZ, GŁÓD I WSZY. ŻYCIE CODZienne WYKLĘTYCH”

FRONDA

szczególnie w 1947 r., po utracie nadziei na odzyskanie niepodległości, rozpadnięciu się oddziałów na małe grupy, niekontrolowane przez dotychczasowych dowódców. ©© (t.s.)

Jeniec Szujski nie składał hołdu...

Mimo że od 30 lat można nareszcie pisać prawdę o stosunkach z naszym potężnym wschodnim sąsiadem, mało było książek, które tak przejrzysto i konkretnie opowiadałyby historię stosunków z Moskwą jak rozmowa z wybitnym znawcą tematu, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego Andrzejem Chwalbą. Oczywiście, nie jest to naukowa synteza dziejów Polski i Rosji, ale założenie rzetelnego i zarazem przystępnego przybliżenia całości polsko-rosyjskich stosunków zostało spełnione jak nigdy dotąd.

Forma rozmowy bardzo temu sprzyja. Narracja toczy się wartko, a pytania –

również z kategorii historical fiction – na ogół drążą temat. Zwłaszcza że dotyczą one kilku sytuacji dziejowych, gdy korzystny dla nas zwrot w biegu wydarzeń wydaje się możliwy. To na przykład: okres końca XIV w. i sojuszu Litwy z Tatarami; moskiewska smuta na początku XVII w.; urzeczywistnienie Rzeczypospolitej Trojga Narodów w połowie XVII w.; wykorzystanie wszystkich szans w powstaniu 1830–1831.

Ozdobą są szczegóły, na przykład wyjaśnienie bzdury, jaką jest u nas nazywanie „hołdem ruskim” postawienia ujętych przez Żółkiewskiego braci Szujskich przed sejmem w październiku

1611 r. Otóż były car Wasyl IV nie składał hołdu królowi polskiemu, tylko... prosił o litość jako jeniec. W owym momencie formalnie obrany carem był natomiast król Władysław Waza... ©©

Maciej Rosaluk



ANDRZEJ CHWALBA, WOJCIECH HARPULA
„POLSKA – ROSJA. HISTORIA OBSESJI, OBSESJA HISTORII”

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Rozejm AK i UPA na Podkarpaciu

Długi okres oczekiwania na 6. numer „Cieszanowskich Zeszytów Regionalnych” bezwzględnie się opłacił. Szczególnie usatysfakcjonowani mogą czuć się czytelnicy zainteresowani problematyką stosunków polsko-ukraińskich. W piśmie bowiem opublikowany został znakomity tekst Mariusza Moszkowicza poświęcony współpracy ukraińskiego podziemia OUN-B oraz sierż. Tadeusza Czubryta „Zagończyka”, antykomunistycznego konspiratora, dowódcy 4. Kompanii Obwodu Lubaczów AK/DSZ podporządkowanego OL „Warta” Lwowskiego Obszaru AK i jednocześnie komendanta posterunku MO w miejscowości Folwarki.

Kontakty Czubryta z OUN-B zaczęły się w marcu 1945 r. i zostały zainicjowane przez stronę ukraińską w osobie Mykoły Wynnychyca „Zira”, wówczas prowadnika jarosławskiego okręgu OUN-B „Baturyn”.



Najprawdopodobniej 13 kwietnia 1945 r. pomiędzy Niemstowem a Lublińcem Nowym doszło do pierwszego ich spotkania. Ustalono na nim, że kolejne rozmowy odbędą się za dziewięć dni. 22 kwietnia 1945 r. w Lublińcu Starym na plebanii u współpracującego z ukraińskim podziemiem ks. Adama Ślusarczyka „Romana” spotkali się Tadeusz Czubryt „Zagończyk”, Władysław Czubryt, Jan Kłos „Gałązka”, Władysław Mikulski „Burza”, Antoni Paślawski „Piorun”, Stanisław Czarniecki „Drabik”, Stanisław Wolanin „Wolski” oraz Mykoła Wynnychuk „Kornijczuk”, Ołeksandr Łaszyn „Łuh”, prowadnyk rejonu IV okręgu II OUN „Baturyn” (w spotkaniu poza księdzem brały udział dwie inne nieznane z imienia i nazwiska osoby). Tematem negocjacji były m.in. kwestie dotyczące przerwania walk, uspokojenia terenu, wspólnej walki z bandytyzmem.

Te problemy i wiele innych znalazły się w raporcie, który po zakończeniu

rozmów sporządził dla mjr. Bolesława Tomaszewskiego „Ostrogi”, zastępcy dowódcy OL „Warta”, sierż. „Zagończyk”. Major odniósł się pozytywnie do części przedstawionych zagadnień. Ponieważ niektóre z propozycji ukraińskich wykrczały poza kompetencje „Zagończyka”, „Zir” przekazał mu list skierowany do dowódcy AK, sugerujący konieczność podjęcia rozmów na wyższym szczeblu. Wspomniane spotkanie zaowocowało krótkotrwałą współpracą „Zagończyka” z „Kornijczukiem”.

Przerwała ją przypadkowa śmierć Czubryta, która nastąpiła 12 lipca 1945 r.

MARIUSZ MOSZKOWICZ
„KWESTIA WSPÓŁPRACY TADEUSZA CZUBRYTA »ZAGOŃCZYKA« Z CZŁONKAMI UKRAIŃSKIEGO PODZIEMIA”

„CIESZANOWSKIE ZESZYTY REGIONALNE” 2020, NR VI

w jednej z restauracji w Narolu. Tam próbowali go zatrzymać i doprowadzić na przesłuchanie Bogumił Iwanajko „Czarny”, komendant posterunku MO w Cieszanowie, i milicjant Stanisław Repak „Pniak”. „Zagończyk”, nie chcąc się oddać w ich ręce, sięgnął po broń i został zastrzelony. Z restauracji wyprowadzono i następnego dnia zamordowano narzeczoną Czubryta, Ukrainkę z pochodzenia, Wierę Czerwińską. Obaj funkcjonariusze działali na polecenie lokalnych władz podziemia antykomunistycznego, a rozkaz doprowadzenia i przesłuchania „Zagończyka” wydał ppor. Marian Polakowski „Warda”, komendant rejonu V obwodu AK/DSZ. Zresztą ów oficer wykorzystał kontakty Czubryta z „Wyrem” do zawarcia porozumienia z kierownictwem OUN-UP w maju 1945 r.

Trudno dzisiaj stwierdzić, dlaczego chciano poddać „Zagończyka” przesłuchaniu. Jakikolwiek by były to powody, faktem jest, że zginął człowiek, który starając się przetrwać i ograniczyć terror UPA wobec polskiej ludności, wskazał swym przełożonym drogę, którą sami niebawem zaczęli podążać. I dlatego warto pamiętać o tej niezwykle ciekawej postaci. ©©

Arkadiusz Karbowiak

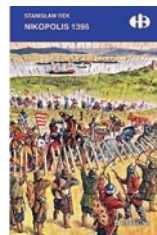
HISTORYCZNE BITWY

Nikopolis 1396

Ta bitwa zakończyła się sromotną klęską wojsk chrześcijańskich pod wodzą króla węgierskiego (w przyszłości także króla niemieckiego, cesarza) Zygmunta Luksemburskiego. Fakt pokonania dumnego rycerstwa Francji, Burgundii, Węgier, Włoch, Niemiec, Anglii i innych krajów przez Turków osmańskich jest bezsporny. Podobnie jak ucieczka licznych oddziałów, przede wszystkim Wołochów, z pola walki, wzięcie do niewoli wielu rycerzy i żołnierzy, a także rzeź części jeńców na rozkaz Bajazyda II. Natomiast spory dotyczyły sfery ocen oraz uściślenia faktów związanych z wyprawą Zygmunta i bitwą pod naddunajskim Nikopolis w 1396 r.

Autor ma rację, gdy za „ostatnią krucjatę” uznaje wyprawę króla węgierskiego i polskiego Władysława III pod Warnę w 1444 r. Stuprocentową rację ma też, widząc w krucjatach obronę, a nie agresję chrześcijaństwa. Wreszcie – krytycznie opierając się na źródłach – określa liczbę wojsk: ok. 60-tysięcznej armii Zygmunta i 94-tysięcznej armii Bajazyda. Przyczynę klęski upatruje – jak i zresztą inni – w niesubordynacji i lekkomyślności zakutego w stal rycerstwa zachodniego, które na własną zgubę wyrwało się do ataku (w końcu pieszo i pod górę) na ufortyfikowane pozycje oraz strzały piechoty tureckiej. Zbyt ulega jednak urokowi Zygmunta, usprawiedliwiający jego błędy w prowadzeniu wyprawy, brak rozpoznania sił i pozycji przeciwnika, a wreszcie – nienarzućenie swej woli zachodnim rycerzom oraz zwlekanie z odsieczą dla nich. Czyta się jednak doskonale. ©©

Maciej Rosalak



HISTORYCZNE BITWY STANISŁAW REK „NIKOPOLIS 1396”

BELLONA

Geopolityka / Starcie w nowej przestrzeni

Kierunek kosmos!



Jacek Bartosiak

/ – Kontrola kosmosu oznacza kontrolę świata – mówi Lyndon B. Johnson. Czeka nas wielka rywalizacja o przestrzeń kosmiczną między USA a Chinami

Zimna wojna wzmocniła rywalizację technologiczną. Mocarstwa rywalizowały na tzw. demonstrowanie zdolności, których kolejne przełomy były wyznaczane technologią: rakiety, samoloty, radary, okręty, optyka, układy scalone, mikroczipy, loty w kosmos, broń jądrowa i termojądrowa. Można wyliczać bez końca.

Gdy na przełomie lat 70. i 80. było już widać, że Sowieci przegrali, Amerykanie zaczęli odpuszczać. Przestali latać zało-

gowo na Księżyc, zadowolając się lotami na łatwą do osiągnięcia niską orbitę Ziemi, ewentualnie mało spektakularnymi lub innowacyjnymi misjami robotów. Za pomocą starej, choć poprawianej technologii jeszcze z lat 60. i 70. XX w.

Do tego nastąpiła era globalizacji. Fukuyama ogłosił koniec biegu historii. Można było po prostu robić pieniądze. Dotarliśmy do błogiego dla Zachodu okresu jednobiegunowej chwili (lub jednobiegunowego koncertu) i supremacji Stanów Zjednoczonych na globie oraz rządów zachodniego modelu społeczno-ekonomicznego.

Koniec rywalizacji sprowadził jednak potężny uwiad strategiczny, na pewno jeśli chodzi o penetrację kosmosu. Niezwykle atrakcyjne medialnie wahadłowce okazały się mało wydajnym środkiem wnoszenia w przestrzeń kosmiczną. Amerykanie utknęli na niskiej orbicie okołozemskiej, stając się zależni w transporcie na międzynarodową stację kosmiczną od innych. NASA stała się symbolem przerostu biurokratycznego i wydatkowego. Za kadencji Obamy pojawiły się pomysły całkowitej jej likwidacji i zamknięcia programu kosmicznego.

Żadnej istotnej konkurencji, żadnej wizji, nie mówiąc o uruchomieniu nowego projektu na skalę podobną do Projektu Manhattan, Apollo czy nuklearnej triady Eisenhowera. To były realne wysiłki modernizacyjne i zmieniały świat, cementując potęgę USA!

Zwłaszcza że cena progowa (finansowa i technologiczna) wejścia w kosmos jest na tyle duża, iż stać na nią tylko silne mocarstwa. Tym bardziej potrzeba wielkich wizji, wielkich strategii, a tymczasem symptomem fiaska USA jest nośna rakietą SLS opracowywana dla NASA. Ekstremalnie kosztowna, jednorazowa, mało wydajna – służy głównie kongresmenom z Georgii i Alabamy do utrzymania modelu społeczno-ekonomicznego w ich okręgach wyborczych, gdzie ludzie są zatrudnieni w zlokalizowanych tam fabrykach.

Powyższy przykład to symptom strukturalnej słabości systemu politycznego supermocarstwa, rozsadanego przez tego rodzaju partykularyzmy. I to w sytuacji, gdy Elon Musk i jego wizjonerski SpaceX muszą płacić za starty z amerykańskich portów kosmicznych,



zacji mocarstw takie państwa nie mogły swobodnie z niego korzystać. Mogły tylko w okresach, gdy był jeden hegemon akwenu i on był arbitrem zasad, na jakich się ruch na akwenu dokonuje. W kosmosie na razie nie ma jednego arbitra.

Podobne dyskusje toczyły się w trakcie wielkich odkryć geograficznych. Do kogo należą odkrywane ziemie i ich owoce? Na jakich zasadach korzysta się z oceanu światowego? Do kogo należą Atlantyk i linie komunikacyjne do „nowej ekonomii”? Takie debaty kończyły się zawsze tak samo. Decyduje siła i zwycięskie mocarstwo narzuca swoją wolę, stając się arbitrem „nowej ekonomii”. Wielka Brytania taką partię rozegrała fazami i iście mistrzowsko, stawiając kropkę nad i pod Trafalgarem.

W dobie ostatniej globalizacji chcieliśmy na Zachodzie uwierzyć, że bieg historii da się kontrolować, ujarzmić, oswoić, a ludzie się zmienili. I że tym razem będzie na pewno inaczej.

Nie będzie. W grudniu 2019 r. Amerykanie powołali do życia siły kosmiczne.

Jak oznajmił prezydent Donald Trump w decyzji o powołaniu amerykańskich sił kosmicznych: „Kosmos jest nową domeną pola walki i amerykańska przewaga w niej jest absolutnie konieczna; o ile teraz przodujemy, to nie przodujemy jednak wystarczająco, ale wkrótce to się zmieni i siły kosmiczne mają nam pomóc kontrolować najważniejszy i ostateczny obszar dominacji, jaką jest przestrzeń kosmiczna”.

Jak dodawał Trump w kolejnych przemówieniach: „Kosmos to nowa przestrzeń, nowy graniczny obszar [»new frontier«], a Amerykanie są potęgą kosmiczną i korzystają z kosmosu; a do tego potrzebna jest dominacja w kosmosie”.

Zatem to Stany Zjednoczone mają być strażnikami nowego oceanu światowego, arbitrem zasad, na jakich dokonują się podróże kosmiczne i strategiczne przepływy ruchu ludzi, towarów, inwestycji, technologii, danych, wiedzy. W tym celu Amerykanie chcą kontrolować projekcję siły z kosmosu na ziemię i dalej z orbit okołoziemskich w kosmos oraz jednocześnie kontrolować systemy obserwacyjne okołoziemskie i komunikacje na Ziemi i dalej w kosmos.

Rywalizacja USA i Chin będzie nieporównywalna z niczym wcześniej. Przebudzone do życia Chiny to wielka potęga. Nigdy w historii na Ziemi nie funkcjo-

nowały jednocześnie potężne Chiny i potężne Stany Zjednoczone. Spotkałem się nawet w świecie z alarmistycznymi głosami, że nie ma miejsca na Ziemi dla obu jednocześnie.

Gdy mocarstwa europejskie walczyły o dominację w Europie, a odkrycie nowych szlaków przez Atlantyk do Ameryki i Azji wokół Afryki tworząc „nowe ekonomie”, zużywały pozyskane zasoby do walk o dominację nad ich rdzennym światem – czyli Europą.

W starciu mocarstw tak potężnych jak USA i Chiny o panowanie nad Ziemią i jej zglobalizowaną gospodarką dość szybko punktem ciężkości staną się nie tylko dotychczasowe łańcuchy wartości i dotychczasowe technologie. Rywalizacja w naturalnym odruchu szukania nowych pól i domen przeskoczy na łańcuchy wartości przyszłości i technologie przyszłości, które stworzą przemysł i produkcję w XXI w. – 5G, druk 3D, produkcję rozproszoną, produkcję w przestrzeni kosmicznej w warunkach próżni, tanią i nieograniczoną energią słoneczną, komunikację z kosmosu na Ziemię, eksplorację surowców kosmicznych, nowe napędy. Nowa ekonomia tradycyjnie powstaje z przełomu, opartego na nowych surowcach, nowych technologiach produkcji i nowym skomunikowaniu. Eksploracja kosmosu daje obietnicę tego wszystkiego naraz.

Nowy wyścig będzie dotyczył budowy „nowej ekonomii”, ale warunkiem do tego jest dominacja wojskowa. Właściwie jedno umożliwia drugie. A w kosmosie nie ma nagrody za drugie miejsce. Kto zyska kontrolę dostępową, ten może nie dopuścić innych chętnych.

Nie wolno też się łudzić. Żadna ze stron nie podda się bez walki. Amerykanie stoczą bitwę z całą pewnością. Chińczycy też nie odpuszczą. Zaakceptowanie żądań Waszyngtonu zostałyby uznane za zgodę na nowe traktaty nierównoprawne, które doprowadziły do wieku upokorzenia wielkich Chin przez obce mocarstwa. Chiny mają bowiem prawo do wzrostu, zwłaszcza że ostatnie 40 lat to bodajże najlepszy okres z czterech tysięcy lat historii Państwa Środka. Dlaczego więc coś zmieniac? Zwłaszcza gdy żąda tego państwo, które istnieje ledwie od 250 lat, co z perspektywy Chińczyka oznacza krótką chwilę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

a i tak nikt inny stamtąd nie startuje. Pociągające tylko, że być może Elon Musk jest nowym Kolumbem, a jego konkurent w wyścigu o kosmos z firmy Blue Origin – Jeff Bezos – to nowy Vasco da Gama.

Wizja końca historii i rzekomego końca rywalizacji geopolitycznej zdawała się potwierdzać ostateczne zwycięstwo liberalizmu. Wizja pięknych stosunków między ludźmi wiązała ręce, zwłaszcza Amerykanom, do odważniejszych działań w kosmosie. Okazało się, że pięknie brzmią słowa, iż kosmos i jego bezgraniczne możliwości oraz zasoby to dziedzictwo całej ludzkości. Tym samym krępując inwestycje państwowe i poważne inwestycje prywatne, które finansowałyby kosmiczne eksploracje. No bo kto będzie za nie płacił, a kto korzystał z owoców eksploracji?

Wystarczy przypomnieć, jak było na Ziemi z eksploracją mórz i oceanów, do których kosmos jest strukturalnie (z punktu widzenia korzystania i kontroli) bardzo podobny. Tylko mocarstwa mają zdolność podróży kosmicznej. Kraje jej nieposiadające przypominają państwa bez dostępu do morza. W dobie rywali-



Rafał A.
Ziemkiewicz

/ Felieton

Marcowe

Qui pro Quo

To się powtarza rok w rok, bez względu na to, czy to rocznica okrągła czy nieokrągła (w tym roku akurat nieokrągła, 53.). Marzec 1968 r. celebrowany jako formacyjne przeżycie pokolenia „komandosów”, potomków komunistów stalinowskich, przeważnie wynarodowionych Żydów, którzy chcieli poprawić dzieło ojców i przywrócić komunizmowi jego leninowskie oblicze i przeżyli szok, że komunistyczne państwo, zamiast docenić, spałowało ich i powsadzało do więzień. Co więcej, sięgnęło przeciwko nim nie tylko po pały i paragrafy, lecz także po propagandę antysemicką. Przecież komunizm miał być od antysemityzmu wolny, to właśnie ta obietnica przyciągnęła w służbę Partii ich rodziców, w ich do dziś żywym dyskursie samousprawiedliwienia za udział w zbrodniach systemu bodaj centralnym punktem był zawsze argument, że, mówiąc słowami Marii Dąbrowskiej, „wszystko lepsze

pamfletom partyjnych publicystów, których nazwiska nikomu już dziś nic nie mówią, poza liderami michnikowszczyzny wciąż przyrównującymi do nich swoich wrogów.

Dla partyjnych przywódców Marzec był bowiem nie lada szokiem: oto zbuntowało im się pokolenie urodzone i wychowane już w PRL, „okute w powiciu”. Trzeba było albo przyznać się do kłęski systemu, albo znaleźć jakieś wyjaśnienie. Jedyne, jakie Gomułka umiał znaleźć, brzmiało: Żydzi! W głębokim przekonaniu, że to do Polaków przemówi, zmajstrowano więc „narrację” o „bananowej młodzieży”, rozpuszczonych dzieciach żydowskich stalinistów, które wywołały całą tę burdę. Udział mas w buncie zmarginalizowano, a nagłośnione w mediach represje i pamflety ukierunkowano przeciwko tym, którzy do przyjętego założenia pasowali. Najlepiej pasowali ci, którzy mieli albo rodziców komunistów, ale takich już w odstawce, jak Michnik, albo odpowiednie nazwiska, takie

/ Marzec '68. Teza, że całe zło stalinizmu to Żydzi i byle się ich pozbyć, a socjalizm i PZPR będą OK, **narodu nie przekonała**

od tego endeckiego ciemnogrodu” – a tu nagle masz, właśnie ich komunistyczna partia urządziła im ciemnogrodzki pogrom.

Wrzeszy samej dramat młodych komunistów-idealistów wychowanych na Kuroniu, Modzelewskim i Kołakowskim, jak również motywowana antysemicko wewnątrzmafijna dintojra w PZPR to skraj marcowego zrywu. Jego istota zaś jest celowo spychana w niepamięć przez wpływowe do dziś „ośrodki opiniotwórcze”. Masy młodych ludzi, które poderwały się do buntu bynajmniej nie w imię „prawdziwego” socjalizmu, tylko w imię wolnej Polski, pozostały anonimowe i zepchnięte w cień grupki rewizjonistów, którzy – paradoksalnie – swe późniejsze znaczenie zawdzięczają właśnie decyzjom, jakie w Marcu podjęli wobec nich zniechęcony Gomułka i jeszcze bardziej zniechęcony Moczar, oraz antysemickim

jak Blumsztajn czy Dajczgewand. I tak oto „komandosi” stali się w komunistycznej propagandzie przywódcami i solą buntu. Polacy w to uwierzyli, tyle że – i tu Gomułka z Moczałem przeżyli szok kolejny – zamiast, jak Partia się spodziewała, odrzucić bunt jako żydowski spisek, zobaczyli w piętnowanych Żydach swoich bohaterów. Co pozwoliło im potem odegrać kierowniczą rolę w opozycji i przy Okrągłym Stole.

Wistocie więc Marzec nie był żadnym dowodem polskiego antysemityzmu, tylko przeciwnie. Antysemicka retoryka partii nie uratowała, buntu nie skompromitowała, a teza, że całe zło stalinizmu to Żydzi i byle się ich pozbyć, a socjalizm i PZPR będą OK, narodu nie przekonała. Coroczne rocznicowe wmawianie nam przez spadkobierców komunistycznych rewizjonistów ich wersji jest zwykłym fałszowaniem historii. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Dobre czasy na razie nie wrócą

Nasza „Historia Do Rzeczy” nie donosi o politycznych swarach, sporach i skandalach. Jeśli jednak chcę zwrócić państwu uwagę na niedawny incydent, który zdarzył się w trakcie mszy za duszę Jana Lityńskiego, działacza opozycji, to tylko dlatego, że stanowi on pewną cezurę w podejściu polskich polityków do wspólnej opozycyjnej przeszłości. Osobom, które przeoczyły całą sprawę, streszcmy krótko to, co zdarzyło się 10 marca br. w Warszawie. Po informacji o mszy za Lityńskiego w kościele św. Andrzeja przy pl. Teatralnym w Warszawie Zofia Romaszewska, która obecnie doradza prezydentowi Andrzejowi Dudzie, postanowiła przybyć na mszę, reprezentując głowę państwa na uroczystości i pogrzebie. Jak można przypuszczać, przybyła nie tylko w urzędowym charakterze, lecz także dlatego, że Romaszewska razem z Lityńskim działali wspólnie w opozycji w latach 70. i 80.

Gdy Romaszewska przysłała do kościoła, poinformowano ją, że nie ma jej na liście, którą sporządziła rodzina, a z powodu obostrzeń COVID-owych w świątyni obowiązuje ograniczenie liczby wiernych. Romaszewska przyznała, że nie było jej na liście uczestników uroczystości, ale – jak dodała – „dotychczas nie było w Polsce takiego obyczaju, żeby zapraszać na pogrzeby. Zaprasza się na śluby”. Romaszewska uznała to za godny pożałowania incydent. Szybko publicyści liberalni zaczęli reagować na rozgoryczenie Romaszewskiej. Na przykład Monika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej” pisała: „Są obostrzenia związane z covidem, tłumaczył to ksiądz Michalczyk (proboszcz parafii św. Andrzeja). Rozumiem, że niektórzy uważają, że te rządowe obostrzenia to hucpa, ale są tacy, którzy ich przestrzegają. Proponuję zaprzestać

ataków na rodzinę Janka Lityńskiego i uszanować żałobę”.

Jeszcze dalej w krytyce Zofii Romaszewskiej posunął się Bronisław Komorowski, w którego kancelarii Jan Lityński pracował w charakterze doradcy. W programie Moniki Olejnik były prezydent powiedział: „O co tu się obrażać? Jeszcze robić przykrość rodzinie z tego tytułu. Co mieć pretensję, że w ogóle pogrzeb organizuje? Zamiast grzecznie postać sobie albo zgłosić się odpowiednio wcześniej, żeby być zapisaną na listę [...], przychodzi pani Zofia Romaszewska na 5 minut przed rozpoczęciem mszy i dziwi się, że jej nie traktują w sposób ekstranadzwyczajny. To jakiś przerost egotyczny absolutnie”.

/ Były prezydent Komorowski uznał, że 81-letnia Zofia Romaszewska winna stać godzinę przed kościołem...

Słuchając tej gorszącej wymiany opinii, aż trudno zdecydować się, od którego wątku zacząć. Spróbujmy może od pierwszej kwestii. Czy były prezydent Komorowski, mężczyzna wciąż w sile wieku, wie, co mówi, wskazując, że Zofia Romaszewska, licząca sobie 81 lat, winna stać godzinę przed kościołem?

Kolejna kwestia, która jest w tej sprawie najbardziej uderzająca. Dotychczas pogrzeby byłych opozycjonistów były raczej momentem, w którym dawni koledzy z ruchu dysydenckiego wnosili się ponad aktualne różnice poglądów politycznych, aby zademonstrować, że

łączy ich dobre wspomnienie czasów, kiedy nawzajem sobie pomagali i razem solidarnie występowali przeciw PRL-owskiej władzy. Jan Lityński nie krył, że jest bardzo krytyczny wobec ekipy dobrej zmiany, i Zofia Romaszewska tym bardziej mogła uznać, że jej przybycie na mszę za jego duszę będzie gestem pojednania, a nie szukaniem konfliktu.

Traf chciał, że akurat cały konflikt nałożył się na okres pandemii, kiedy wprowadzony jest limit wiernych mogących przebywać w świątyni. Każda rodzina organizująca taką publiczną mszę winna mieć świadomość, że wobec takich ograniczeń winno się pomyśleć szczególnie o osobach w zaawansowanym wieku, które mogą przybyć na taką uroczystość z powodu wspólnego działania z Lityńskim w czasach opozycji. Wyobraźmy sobie, że być może na uroczystości mógł chcieć przyjść jakiś emerytowany dziś 70-letni robotnik Ursusa czy któregoś z zakładów pracy Radomia, chcący podziękować za pomoc Lityńskiego robotnikom represjonowanym po wybuchu czerwca 1976 r. Czy on także według prezydenta Komorowskiego miał stać ponad godzinę na placu przed warszawską świątynią?

Nigdy nie jesteśmy w stanie uniknąć sytuacji konfliktu przy okazji podniosłych uroczystości. Szczególnie jeśli dawni koledzy z opozycji są dzisiaj w przeciwstawnych obozach. Dotychczas jednak zwyciężała logika, której aktualne spory przesuвано na margines wobec czegoś, co nazywa się wzniośle „majestatem śmierci”. Linia kontrowersji, która wybuchła po wydarzeniu 10 marca br., pokazuje, że zaciętrzewienie pcha cieżę polityków w zupełnie innym kierunku. I w tym sensie smutne wydarzenie nad grobem Jana Lityńskiego przejdzie zapewne do annałów zimnej wojny politycznej w Polsce lat 2005–2021. ©©



Tomasz Stańczyk

Byli powstańcami i legionistami, polskimi żołnierzami z własnego wyboru

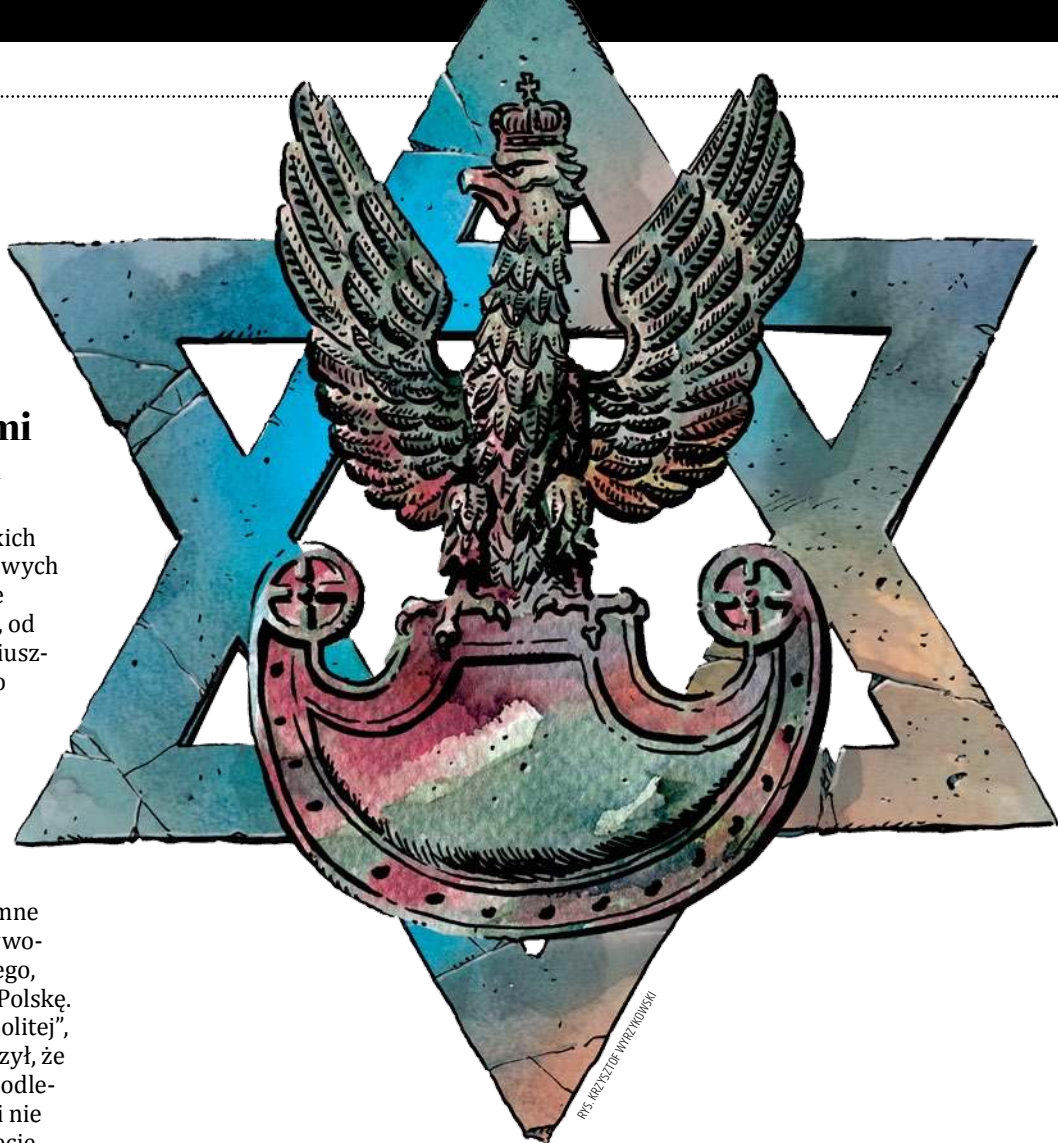
W każdym z polskich zrywów narodowych i w każdej walce o niepodległość, od powstania kościuszkowskiego aż do

końca drugiej wojny światowej, brali udział Żydzi. Nie było ich wielu, stanowili małą część społeczności żydowskiej. Nie można się temu dziwić. Polacy i Żydzi żyli w dwóch odrębnych światach, a między obiema nacjami panowały wzajemne uprzedzenia, niechęć, urazy. Przywoływany przez Marka Gałęzowskiego, autora książki „Żydzi walczący o Polskę. Zapomniani obrońcy Rzeczypospolitej”, Władysław Bartoszewski tłumaczył, że dla mas żydowskich kwestia niepodległości Polski była „raczej odległa i nie znajdowała się w ogóle w ich świecie wartości i wyobrażeń”.

Bartoszewski uzasadniał to przede wszystkim odrzucaniem przez większość polskich Żydów asymilacji i dążeniem do zachowania własnej odrębności jako wartości nadrzędnej, a często wręcz do izolacji od nieżydowskiego otoczenia. Równocześnie stwierdzał, że i Polacy, „mając z Żydami liczne związki wynikające z praktycznego życia – nie kwapili się do przełamania barier obcości. Każda ze stron miała też skłonność do poczucia wyższości wobec drugiej”.

Z tym większym więc szacunkiem trzeba odnosić się do tych Żydów, którzy – mimo takich uwarunkowań – identyfikowali się z polskimi dążeniami niepodległościowymi, byli gotowi wziąć udział w walce, zaryzykować swoje życie na równi z Polakami. Byli bowiem polskimi patriotami.

Wydawać by się mogło, że pochodzili przede wszystkim z rodzin zasymilowanych, spolonizowanych, nierzadko chrześcijańskich. Marek Gałęzowski stwierdza jednak, że większość Żydów biorących



1794–1945 / Udział Żydów w walkach o niepodległość Polski

Izraelici z pochodzenia, Polacy z przekonania

udział w walkach o niepodległość Polski wyznawała wiarę mojęszową i była przywiązana do swojej rodzimej tradycji i kultury. Zauważa też, że jeśli udział Żydów w polskiej irredencji był niewielki, to nie można pominąć faktu, że przecież także niewielu Polaków było czynnie zaangażowanych w ruch niepodległościowy. Dominowały postawy bierności, obojętności, choć, oczywiście, przy braku akceptacji rządów państw zaborczych. Gałęzowski przypomina dość gorzkie słowa Józefa Piłsudskiego, że Polacy, owszem, pragną niepodległości, ale chcieliby, żeby „niepodległość kosztowała dwa grosze wydatków i dwie krople krwi – lecz niepodległość jest dobrem cennym, ale i bardzo kosztownym”. Piłsudski był bardzo zawiedziony, rozżalony i zły, że jego „agitacja militarna”, jego budowanie kadr przyszłej armii polskiej, szkolącej się w Związku Strzeleckim i Strzelcu, natrafiały na nikły odzew, a w każdym razie nie na taki, na jaki liczył.

Rabin, publicysta i historyk

Książka poświęcona jest Żydom, którzy chwycili za broń, by walczyć o Polskę, jednak autor pisze także o tych, którzy w tej samej intencji chwycili za pióro, dążąc do wzajemnego zrozumienia i zbliżenia Polaków oraz Żydów. To właśnie oni swoimi odezwaniami, deklaracjami, artykułami, publicystyką pobudzali swoich rodaków do wzięcia udziału w polskich powstaniach, a także organizacjach paramilitarnych, spośród których wywodziło się wielu żołnierzy Legionów.

Żydowski pułk Berka Joselewicza, formowany u schyłku powstania kościuszkowskiego, nie zdołał zaistnieć jako pełnowartościowa jednostka bojowa. Może ważniejsze niż tworzenie żydowskiego oddziału była skierowana do rodaków odezwa płk. Joselewicza:

„Powstańcież! Otwórcie zamknięte oczy! Czemuż to nie mamy pracować, zyskać wolności, tak pewno i szczerze nam obiecanej, jak i innym ludziom na



MAREK GAŁĘZOWSKI „ŻYDZI WALCZĄCY O POLSKĘ. ZAPOMNIANI OBROŃCY RZECZYPOSPOLITEJ”

ZNAK HORYZONT

świecie? Ale wprzód trzeba na nią zasłużyć [...]. Obudźcie się, pomóżcie odzyskać uciemiężoną dotąd Polskę. Wierni bracia! Walczymy za ojczyznę, póki w sobie mieć będziemy kroplę krwi”.

Marek Gałęzowski stwierdza, że Berek Joselewicz stał się wzorem dla Żydów, którzy później pragnęli wziąć udział w walkach o niepodległość, poczynając od tych, którzy, tak jak Joselewicz, znaleźli się w szeregach Legionów Dąbrowskiego. Józef Berkowicz, syn Berka, otwierał zaś listę tych Żydów, którzy z domu wynieśli polski patriotyzm.

Wybitną rolę odegrał rabin Ber Dow Meisels w przedpowstaniowej Warszawie. W pierwszym kazaniu w synagodze wezwał do „łączenia się z Polakami i asymilacji”, używał języka polskiego w kazaniach i zarządził wprowadzenie języka polskiego do żydowskich szkół. A znajomość języka polskiego obalała barierę – nie tylko językową – jaka istniała między Żydami a Polakami, umożliwiała dostęp do polskiej kultury, literatury, myśli patriotycznej i niepodległościowej. W podobnym duchu działali kaznodzieja Markus Jastrow, który nauczył się polskiego, oraz Izaak Kramsztyk. Ten ostatni głosił: „Nieśmy cześć Bogu w świętej mowie praojców naszych, ale w życiu obywatelskim przywłaszczmy sobie mowę krajową. Starajmy się o usuwanie

wszelkiej zapory, która rozdziela przez tyle wieków mieszkańców jednego kraju, dzieci jednej ziemi”.

Postawa Meiselsa, Jastrowa i Kramsztyka miała duże znaczenie dla udziału Żydów w powstaniu styczniowym. Ci, którzy zdecydowali się na walkę partyzancką, nie wynieśli przecież polskiego patriotyzmu z domu ani z rosyjskiej szkoły. A wśród powstańców byli m.in.: Henryk Wohl, odpowiadający w Rządzie Narodowym za finanse, Władysław Rawicz, naczelnik cywilny województwa podlaskiego, i Leon Kahane, adiutant płk. Karola Kality „Rębajły”, jednego z dowódców oddziałów powstańczych.

W pierwszych latach XX w. na umyśle i decyzje młodzieży polskiej, ale też żydowskiej, wpływał w kierunku niepodległościowym Wilhelm Feldman, krytyk literacki, publicysta. Marek Gałęzowski pisze o nim: „Zerwawszy przed laty więzy z ortodoksyjnymi Żydami (z takiej rodziny się wywodził), ten osiadły w Krakowie pisarz i krytyk literacki, podobnie jak Studnicki »samotny filar irredenty«, poświęcił wszystko szerzeniu hasel niepodległościowych. Temu służyła »Krytyka« redagowana z pomocą wspierającej go z poświęceniem żony Marii. Opiniotwórcza, czytana nie tylko w kręgu niepodległościowym, słusznie została nazwana »prawdziwą ostoją idei irredentystycznej«”.

Feldman uważał, że musi swoje przekonania wcielić w czyn. Toteż gdy latem 1914 r. w obliczu naciągającej wojny, nastąpiła mobilizacja strzelców, nie najmłodszy ani niecieszący się dobrym zdrowiem Feldman założył mundur strzelecki i brał udział w ćwiczeniach. Ostatecznie nie wyruszył ze strzelcami, nie został żołnierzem Legionów, z którego nie byłoby pociechy, natomiast zajął się tym, czym zajmował się przed wojną – agitacją dla sprawy polskiej. Został kierownikiem prasowego przedstawicielstwa Naczelnego Komitetu Narodowego, politycznego zwierzchnika Legionów, w Berlinie.

Marek Gałęzowski wskazuje także na duży wpływ na umyśle młodzieży, również żydowskiej, wybitnego



Wilhelm Feldman; rysunek Stanisława Wyspiańskiego
FOT. WIKIPEDIA

■ historyka Szymona Askenazego, autora biografii księcia Józefa Poniatowskiego. Askenazy opisywał swego bohatera w sposób patetyczny, poetyczny i romantyczny, co poruszało szczególnie młodych czytelników. O Askenazym napisał zaś Jan Lechoń, że „jedną miał tylko dumę: że jest Polakiem, jedno tylko pragnienie służyć Polsce”. Służył zresztą nie tylko jako autor dzieł historycznych, lecz także jako dyplomata, minister pełnomocny przy Lidze Narodów, broniący stanowiska Polski, czasami w polemice ze swoimi rodakami, przedstawicielami innych państw.

Rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej obchodzono 50. rocznicę wybuchu powstania styczniowego. We Lwowie na wystawie prezentowano wówczas cykl obrazów Aleksandra Sochaczewskiego (Lejba Sondera), obrazujących los polskich zesłańców na Sybirze, a wśród nich najbardziej znany jest obraz „Pożegnanie z Europą”. Sochaczewski był członkiem konspiracji przed powstaniem styczniowym i na krótko przed jego wybuchem został zesłany na Syberię.

Szkoła i poezja romantyczna

Marek Gałęzowski obszernie pisze o Żydach-legionistach, jest zresztą autorem fundamentalnej książki „Na wzór Berka Joselewicza. Żołnierze i oficerowie pochodzenia żydowskiego w Legionach Polskich”. Jednym z legionistów był Henryk Hertz-Barwiński. Jego stryj Leon Hertz był uczestnikiem powstania styczniowego. Niewielu było jednak takich Żydów-legionistów z tradycją patriotyczną wyniesioną z domu. Skąd więc decyzję przyłączenia się do związków strzeleckich, a potem do Legionów? „Z patriotyzmu kształtowanego przez szkołę i otoczenie polskie w warunkach autonomii galicyjskiej – tłumaczy Gałęzowski. – Znaczący wpływ miały też pręźnie rozwijające się ruchy młodzieżowe, które w atmosferze swobody, nieznaney w pozostałych zaborach, mogły prowadzić jawną działalność. Ta rozpaczała się od samokształcenia i wycieczek krajoznawczych, z czasem przeszła w dyskusje polityczne i w końcu doprowadziła do powstania organizacji wojskowej”.



Legionista Henryk Hertz-Barwiński ze stryjem Leonem, powstańcem styczniowym FOT. WYDAWNICTWO ZNAK HORYZONT

Dzięki polskiej szkole w Galicji młodzież żydowska poznawała poezję romantyczną, utwory Mickiewicza iłowackiego, a także Ujejskiego. One także kształtowały jej patriotyzm.

W szeregach Legionów

Marek Gałęzowski ustalił, że w Legionach służyło ponad 650 ochotników żydowskich, znanych z nazwiska. „To niemało – stwierdza. – Znacznie więcej niż legionistów wszystkich innych narodowości razem wziętych”. Co 10. z nich poległ.

„Niemało wszyscy ci ochotnicy uważali się za Polaków wyznania mojżeszowego. Chociaż przeważnie mówili w języku polskim, co nie zawsze było równoznaczne z poprawną jego znajomością, to w większości pochodzili z rodzin niezasymlowanych, pielęgnujących tradycję żydowską i nieukrywających swojego wyznania ani pochodzenia”.

W XX w. nastąpiła przemiana Żydów z narodu kupców, handlarzy i rzemieślników w naród żołnierzy. Odbываła się także na polu bitew stoczonych przez Legiony Polskie. Marek Gałęzowski przytacza liczne przykłady bohaterstwa i poświęcenia Żydów-legionistów. Byli oficerami, podobnie jak wspomniany Hertz-Barwiński, żołnierzami, mundury legionowe nosili lekarze i sanitariusze. Dowódca jednego z pułków, Leon Berbecki, pisał o postawie mjr. Mieczysława

Kapellner-Kaplickiego podczas najbardziej krwawej bitwy stoczony przez Legiony – pod Kostiuchnówką: „W czasie dwudniowego ognia huraganowego, po rozbiciu granatem ziemianki, którą zamieszkiwał, przeszedł do następnej, jednakowo narażonej, gdzie z całym spokojem i zaparciem się siebie pracował dalej, dając przykład wybitnej brawury. Z największym poświęceniem opatrywał osobiście rannych, nieraz w pierwszej linii, pełniąc w dalszym ciągu swoje obowiązki. Mjr dr Kaplicki odwagą swoją i wybitnym poczuciem obowiązku wobec Ojczyzny zyskał ogólne uznanie przełożonych i miłość żołnierzy”.

Autor przytacza też relacje o bohaterkiej postawie sierż. Stanisława Apfela podczas bitwy pod Jastkowem. Legioniści ponieśli wówczas bardzo duże straty. „Pole między nami a okopami wroga oświetlone było jak w dzień luną pożaru. [...] Z wysłaniem patrolu celem ich [rannych – przyp. red.] pozбиierania czekano, aż pożar przygaśnie. Wówczas sierżant sanitarny 3. kompanii III baonu Stanisław Apfel (Czaszka) na ochotnika poszedł sam jeden pod okopy wroga na pewną niemal śmierć lub niewolę; opatrywał kilkudziesięciu kolegów, po czym wrócił szczęśliwie po patrol i nosze i w ciągu kilku godzin wszystkich pozbiierał z pobojozwiska”.

Do starszego pokolenia należał Adolf Sternschuss, miłośnik sztuki polskiej, jej kolekcjoner, członek Towarzystwa im. Jana Matejki. Postarał się o przeniesienie z armii austriackiej do Legionów. Z racji wieku skierowano go do pracy w Departamencie Wojskowym NKN. Sternschuss chciał jednak walczyć i postarał się o przeniesienie go na front. Poległ w boju Legionów pod Kukłami. Zginęli wówczas dwaj oficerowie-Żydzi – Bronisław Mansperl „Chaber” i Józef Blauer „Kratowicz”.

Pisząc o uczestnikach powstań i legionistach, Marek Gałęzowski stwierdza: „Żydzi – polscy żołnierze – chcieli być Polakami, bo im się tak podobało. Nie uważali, że muszą w tym celu wyrzekać się swojej religii i tradycji, a szlachetnie spośród Polaków tego od nich nie oczekiwali. Służba w powstaniu styczniowym, a pół wieku później w Legionach Polskich wyprzedzała u żydowskich ochotników, tak jak i polskich, z przeświadczenia, że to walka zbrojna jest jedynym sposobem wybijania się ojczyzny na niepodległość. Ich ojczyzny”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

POLITYCZNA

kawa

R
REPLIKA

Zaprasza:

Tomasz Sakiewicz

niedziela

w samo południe

12:00

oglądaj również na www.tvrepublika.pl



1831 r. / Powstanie listopadowe (2)

Jan Henryk Rosen „Bitwa pod Stoczkiem” FOT. WIKIWAND

Zmarnowana wiosna zwycięstw



Maciej Rosalak

/ Wygrane bitwy tworzyły okazje do ostatecznego triumfu w wojnie z Rosją. Jakby celowo nie wykorzystał ich polski wódz naczelny...

Gdy wojsko moskiewskiego cara – przed miesiącem zdetronizowanego króla Polski – nie zdołało zająć Warszawy w końcu lutego 1831 r., polskie serca ożywiła nadzieja odzyskania wolności. Po krwawej bitwie pod Olszynką Grochowską

(„HDR” nr 97), w której liczniejsza armia wroga poniosła dotkliwsze straty od naszej i odeszła spod stolicy, dalsze zwycięstwa wydawały się w zasięgu ręki. Dosłownie, bo gen. Iwan Dybicz rozdzielił swe mocno nadszarpnięte dywizje, aby lizały rany dzień, dwa dni marszu od Warszawy. A żołnierze

Królestwa Polskiego, którzy wykazali w polu wyższość nad żołdatami, pałali chęcią ostatecznego ich pokonania.

Okazji nadarzyło się kilka. Już wcześniej – zamiast natychmiastowego po nocy listopadowej marszu na Litwę, aby połączyć się z korpusem litewskim – pierwszy dyktator (gen. Józef Chłopicki) wysłał wiernopoddańcze poselstwa do Mikołaja I. Po bitwie o Olszynkę – zamiast całymi siłami ruszyć za Dybiczem – drugi dyktator (gen. Jan Skrzynecki) pokrzyżował na przełomie lutego i marca ofensywny plan Prądzyńskiego. Wreszcie, gdy miesiąc później ofensywa ruszyła, wydzielone, ograniczone siły wystarczyły na świetne wprawdzie, ale nie rozstrzygające zwycięstwa. Tenże niewydarzony

„polski Kunktator” (jak sam Skrzynecki się nazywał) oszczędził w maju rosyjskie gwardie, aby nie urazić cara (!).

Pod względem strategicznym ostatecznie zdecydowała pod koniec maja przegrana pod Ostrołęką, gdzie stoczono drugą po Olszynie i ostatnią walną bitwę powstania listopadowego. Nasz wódz tak długo z nią zwlekał, aż sam wpadł w pułapkę, którą pod Ostrołęką zastawił na niego Dybicz (zresztą tuż przed śmiercią na cholere). Szanse na wygraną w polu istniały jednak jeszcze przed Ostrołęką, i to ich utrata miała kluczowe znaczenie dla całej wojny. A polskie zwycięstwa odniesione zimą i wiosną dowodzą, jak wysoki poziom wykształcenia i jak wielki hart ducha wykazywali polscy oficerowie liniowi i żołnierze oraz jak skutecznie potrafili walczyć pod rozkazami tych, którzy naprawdę chcieli zwyciężyć.

Stoczek Łukowski

Jednym z dowódców, który rzeczywiście dążył do zwycięstwa, okazał się już 14 lutego pod Stoczkiem Łukowskim gen. Józef Dwernicki. Zwycięskie dla nas starcia pod Dobrem, Wawrem i Białoleką, które w drugiej połowie lutego poprzedzały na przedpolach Pragi wielką bitwę pod Olszynką, były zwrotami zaczepnymi przeciw ofensywie Dybicza na Warszawę. Nie miały większego znaczenia strategicznego, ale istotne znaczenie moralne – zarówno dla wojska, jak i dla społeczeństwa. Okazało się bowiem, że zaprawiona w bojach, ostrzelana armia rosyjska, żyjąca nadal w chwale potęgi, która zgniotła Napoleona, jest do pokonania w bezpośredniej walce z Polakami. Takie też znaczenie miała bitwa pod leżącym bardziej na południe Stoczkiem w ziemi czerskiej.

Dwernicki znalazł się tu w drodze na Wołyń, gdzie podążał, by wspomóc antyrosyjski ruch tamtejszej szlachty polskiej. Wiódł grupę złożoną z 14 szwadronów jazdy (2,2 tys. szabel), trzech batalionów piechoty (2,5 tys. bagnetów) oraz sześciu dział. Pod Stoczkiem ruszyło nań 12 szwadronów strzelców konnych z dywizji gen. Fiodora Geismara (dwa pułki; 2,1 tys. szabel, 10 dział). Polacy ustawili na skrzydłach po sześć szwadronów jazdy, a w centrum artylerię chronioną czworobokami piechoty. Czekali na pewnych siebie, lekceważących nas Rosjan,

wyjeżdżających trójkami z leśnych duków. Rosyjski dowódca wysunął na przód swe 6- i 10-funtowe działa – liczniejsze i o większych kalibrach od 3-funtowych polskich – a kawalerią zamierzał zgnieść polskie skrzydła.

Jak było do przewidzenia, walka artyleryjska – mimo znakomitego wykształcenia polskich kanonierów, którzy potrafili strzelać częściej i prędzej zmieniać kierunek ognia – szybko wykazała przewagę wroga. Zabici i ranni zaczęli padać też w szeregach pieszych batalionów. Aby zapobiec stratom, Dwernicki wysłał dwa szwadrony ułanów do ataku pod górę na wychodzących z lasu od strony Seroczyna strzelców z Perejasławskiego Pułku Strzelców Konnych. Ich dowódca gen. A. Paszkow – zamiast kontratakować ze wznesienia – kazał podwładnym oddać przedwczesną, więc nieskuteczną, salwę. Okazało się to dla nich zgubne. Impet naszych jeźdźców, znakomicie posługujących się lancami, zmiotł strzelców do lasu, z którego akurat trójkami wychodziły kolejne szwadrony. W szeregach wroga powstał zamęt, który przerodził się w panikę. Podczas ucieczki strzelcy ginęli i topili się w pobliskim stawie. Gubili przy tym świeżo otrzymane piki, gorsze i krótsze od polskich, którymi jeszcze nie potrafili się posługiwać.

Geiszar znajdował się przy drugim – Wirtemberskim – pułku szaserów, zdążającym od strony Toczysek. Też nie zdążył sformować szyków bojowych ani nie mógł pomóc sąsiadom. Na niego polski dowódca wysłał cztery szwadrony, ale armatnie kartacze i salwy strzelców konnych zatrzymały tym razem naszą szarżę. Wtedy 52-letni gen. Dwernicki – tak jak wielu najlepszych wodzów w historii – wyczuł decydujący moment w boju i sam na czele ochotniczego Pułku Krakusów im. Tadeusza Kościuszki poprowadził gwałtowną szarżę. Rosyjska obrona pękła, a strzelcy konni próbowali albo uciekać do lasu, albo się bronić. Kto nie zdążył czmychnąć, ten ginął lub się poddawał.

Triumf Polaków był całkowity. Stracili oni

46 zabitych i 59 rannych, natomiast Rosjanie – wedle danych polskich – blisko 500 zabitych, rannych i wziętych do niewoli (tych ostatnich – 230). Dane rosyjskie mówią o 280 zabitych, rannych i zaginionych oraz o ośmiu zdobytych przez Polaków działach (owe działa przypominają słowa pieśni z 1836 r.: „[...] armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękami czarnymi od pług [...]”. Notabene ułożył je polski patriota Gustaw Ehrenberg, nieślubny syn cara Aleksandra I).

Na tle błędów popełnionych przez Geismara tym bardziej jaśniej zalety dowódcze Dwernickiego, a niewielka zwrotność i słabe wykształcenie rosyjskiej kawalerii uwypuklają znakomite wykształcenie i dowodzenie jazdy polskiej. Zanim nasz generał został zmuszony do wycofania się z Wołynia do Galicji, gdzie internowali go Austriacy, zwyciężył jeszcze w starciach pod Nową Wsią (19 lutego), Puławami (2 marca), Kurowem (3 marca) i Poryckiem (11 kwietnia).

Trzeba jednak zwrócić uwagę, że choć pod Stoczkiem przewaga liczebna była po naszej stronie (rzadka sytuacja w całej kampanii), to artyleria wroga była znacznie silniejsza (a tak zdarzało się z reguły). Przypomnijmy, że to zwycięstwo i kilka innych o znaczeniu taktycznym nie zmieniły wyniku wojny, że mimo większych strat przeciwnika zachowywał on swoje formacje i rychno pojawiał się znowu na polu walki. Dotyczy to zarówno Geismara, ubezpieczającego południową flankę głównych sił rosyjskich, jak i operującego na północ od nich korpusu Grigorija Rosena.

Ignanie

Pierwszym starciem podczas naszej ofensywy wiosennej była 31 marca druga bitwa pod Wawrem. Nasze wojska prowadzone przez Skrzyneckiego łatwo pokonały poobijane oddziały znanego nam już spod Stoczka gen. Geismara, które tego samego dnia dołączyły do korpusu Rosena.



Medal z podobizną generała Ignacego Prądzyńskiego

FOT. ARCHIWUM

■ Dziesięć tysięcy Rosjan (w tym 2 tys. jazdy i 20 dział) zajęło pod wsią Dęba Wielkie (dziś w powiecie mińskim) dogodną pozycję obronną chronioną lasami i mokradłami, czekając na posiłki. Skrzynecki miał pod rozkazami trzy razy więcej żołnierzy, ale chociaż nakazał zbyt płytkie obejścia na skrzydłach, a artylerii nie zdołał ustawić na odpowiednich pozycjach.

Dopiero dzielny dowódca dzielnego pułku czwartaków gen. Ludwik Bogusławski z własnej inicjatywy szerokim łukiem obszedł bagna i zaatakował wrogów od południa. Kiedy ich skrzydło pękło, z inicjatywy gen. Wojciecha Chrzanowskiego polska jazda pod dowództwem gen. Kazimierza Skarżyńskiego uderzyła przez most w centrum nieprzyjacielskiego zgrupowania. Zostało ono rozbite, wzięto 12 dział, 900 żołnierzy rosyjskich dostało się do niewoli, a większość w popłochu uciekła. Skrzynecki zaś... nie zarządził pościgu, tracąc szansę całkowitego wyeliminowania korpusu Rosena z wojny.

Już 2 kwietnia z jego strażą tylną starł się pod Kałuszynem idący na czele polskiej armii korpus jazdy gen. Tomasa Łubieńskiego. O sukcesie Polaków przesądziła szarża 4. Pułku Ułanów pod dowództwem kpt. Władysława Zamoyńskiego. Nasz korpus rozbił kozaków i trzy bataliony piechoty, biorąc do niewoli 4 tys. jeńców.

Podobnie rozpoczęła się 10 kwietnia na pograniczu Mazowsza i Podlasia bitwa pod Iganiami, w której dowodził – po raz pierwszy nad dużym zgrupowaniem liczącym 11 tys. bagnatów i szabel oraz 16 dział – gen. Ignacy Prądzyński, do tychczas zajmujący się głównie planami strategicznymi i organizacją wojska. Otóż rankiem idący w awangardzie gen. Ludwik Kicki z 2. Pułkiem Ułanów (cztery szwadrony i dwa działa) natknął się pod Domanicami na trzykrotnie liczniejszą brygadę kawalerii wroga gen. Sieversa (trzy pułki huzarów i 10 dział). Błyskawiczna szarża dwóch szwadronów z płk. Michałem Mycielskim na czele rozbiła centrum wrogiego zgrupowania, które nie zdążyło nawet zmienić szyku odwrotowego na obronny. Działa z baterii mjr. Józefa Bema skutecznie powstrzymały próbę kontrszarży i rosyjscy huzarzy uchodzili, tracąc niemal pół tysiąca ludzi



(w tym kilkudziesięciu zabitych i 280 jeńców; pozostali zostali ranni). Nasi stracili dwóch zabitych i dwóch rannych.

Kilka godzin później Prądzyński dogonił pod Iganiami główne siły Rosena, liczące 16 tys. bagnatów i szabel. Szły do Siedlec, gdzie Rosjanie zmagazynowali 60 armat. Aby zatrzymać Rosena, Prądzyński – mając siły mniejsze w stosunku 2:3, ale licząc na nadejście kolejnych zgrupowań polskich – zaatakował siłami gen. Kickiego, znów wspieranego 4. Baterią Lekkokonną mjr. Bema. Ogień 28 cięższych dział rosyjskich z przeciwległego brzegu Muchawki niemal bezkarnie powodował straty w polskich szeregach. Aby nie narażać naszych artylerzystów, mjr Bem dostał rozkaz wycofania baterii. Jerzy Boguski („Przegląd Kawaleryjski” 1930, nr 61–62) przytacza pyszny dialog Bema z przełożonym:

„Majorze, trzeba ci zmienić pozycję, bo w tej co do jednego człowieka całą baterię utracisz! – Pan pułkownik każe mi pozycję odmienić? Słucham rozkazów! W nacieraniu zaprzodkuj! Stępa, kłusem, galopem, marsz – marsz!”

I tak dowódca baterii, nie bacząc na rosyjskie kule, zbliżył się na odległość skutecznego strzału ze swych 3-funtówek. O tej 4. Baterii Boguski pisze dalej: „Chłuba polskiej artylerii konnej, jeden z najdzielniejszych od początku do końca oddziałów powstania listopadowego, nie straciła [w znaczeniu: nie oddała wrogowi – przyp. M.R.] ani jednego działa w całej kampanji, dała znakomitych oficerów i dowódców...”

W rezultacie atak trwał i wreszcie nacierający na prawym skrzydle 8. Pułk Piechoty opanował wschodnią część Igań. Na to Rosen wysłał zza rzeki trzy bataliony jęgrów, które zaczęły wypierać 8. Pułk, a zarazem na naszym lewym skrzydle pojawiły się kolejne zgrupowania wroga, w tym jazda Sieversa. Wówczas Prądzyński batalionami pułków 1. i 5, które osobiście wiódł do ataku, uderzył zarówno na te zgrupowania, jak i następnie na tyły jęgrów dających się we znaki 8. Pułkowi. Ten manewr zmusił do powstrzymania ognia wrogą artylerię, która w przeciwnym wypadku musiałaby ostrzeliwać własną piechotę.

Gdy jęgrzy nie zdołali powstrzymać ogniem ataku Prądzyńskiego, biegiem ruszyli do mostu na Muchawce. Polacy ich jednak ubiegli i rozpoczęli się zażarty bój o przeprawę. Jedyne części Rosjan udało się dotrzeć na drugi brzeg. Łącznie złożyło broń lub zostało rannych 3 tys. żołdatów, a 1,5 tys. padło w walce. Polacy stracili ok. 400 żołnierzy zabitych i rannych. Rozbity Rosen wycofał się aż do Brześcia nad Bugiem.

I tak gen. Ignacy Prądzyński okazał się nie tylko utalentowanym strategiem, lecz także świetnym, potrafiącym zwyciężyć dowódcą dużego związku operacyjnego. Oficerowie i żołnierze nadal wykazywali męstwo, doskonałe wykształcenie i chęć walki. Odwagą i talentem błysnął wtedy Józef Bem.



Szabla kawaleryjska z epoki FOT. MNK

Pistolet skalkowy z okresu powstania listopadowego FOT. MNK



A Skrzynecki, który dopiero po bitwie zjawił się wraz ze swą grupą, ocalił Rosena od całkowitej klęski, uniemożliwił zajęcie Siedlec i 60 armat, które tak potrzebne były wojsku polskiemu. Po tym zwycięstwie Prądzyński nalegał na kontynuowanie ofensywy z udziałem głównych sił prowadzonych przez Skrzyneckiego. Pełne zwycięstwo nad Rosenem, a następnie zwycięskie rozstrzygnięcie całej kampanii wydawało się w zasięgu ręki, ale wódz... odmówił. Jak pisał o wojnie polsko-rosyjskiej lat 1830–1831 znakomity historyk wojskowości Wacław Tokarz, Skrzynecki prowadził wojnę, „unikając koncentracji większych mas w stanowczym miejscu, marnując wojsko na teatrach i wyprawach drugorzędnych, rozpraszając je, byleby samemu nie dowodzić większą armią. Nie był prawie w stanie zdobyć się na powzięcie określonego zamiaru operacyjnego; nie umiał sam napisać rozkazu dla armii”.

Katastrofalnym efektem skrajnej niedołności – żeby nie powiedzieć jeszcze dosadniej... – była rezygnacja z niemal pewnego zwycięstwa i rozbicia gwardyjskiego korpusu rosyjskiego. W połowie maja jego oddziały stały między Ostrołką i Łomżą, niedaleko głównych sił polskich. „Naprzeciw naszych 30 tysięcy bagnatów i szabel i 80 dział – stwierdził Tokarz – wystawić mogła armia rosyjska najwyżej 23 tysiące bagnatów i szabel oraz 70 dział; miał tu więc miejsce taki stosunek sił, o którym niepodobna było marzyć na początku tej wojny”. Pajac, który nadawał się jedynie do prowadzenia ataku na bagnety, ale nie do osiągnięcia zwycięstw w wojnie, znów jednak stanowczo odmówił. O dramatycznej scenie odmowy na nalegania Prądzyńskiego nocą z 17 na 18 maja czytamy, że „stała się naprawdę punktem zwrotnym w historii tej wojny, zapowiadała już wyraźnie, że przegramy ją, i wyjaśniała, dlaczego przegramy”. O nieszczęsnym finale powstania czytaj w następnym numerze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ptacom podobni...



Maciej Rosalak

Dokładnie tego dnia, gdy na Kremlu dogorywał Józef Stalin, sowieckim władzom przysporzył dodatkowych zmartwień polski pilot por. Franciszek Jarecki. Otóż raniem 5 marca 1953 r., zamiast wrócić z lotu ćwiczebnego na lotnisko w Redzikowie pod Słupskiem, wylądował na Bornholmie. Wcześniej w chmurach zniknął z formacji, odrzucił dodatkowe zbiorniki paliwa, zszedł na wysokość 200 metrów – czyli poniżej zasięgu sowieckich radarów – i poleciał wprost na duńską wysepkę. Został tam tylko małe trawiaste lądowisko, ale szczęśliwie i nadwyzczaj umiejętnie sprowadził na nie odrzutową maszynę, bo na poszukiwania odpowiedniego lotniska pod Kopenhagą zabrakło już paliwa. Sowieckie radary nie namierzyły go podczas lotu i dopiero znalezienie odrzuconych zbiorników stało się dowodem ucieczki. A trwała ona kilkanaście minut. Odległość od polskiego wybrzeża do Bornholmu wynosi 100 km, a odrzutowiec, który pilotował, osiąga w ciągu godziny odległość ponad 10-krotnie większą. Nawet z połową jego maksymalnej prędkości – kwadras wystarczy...

Pilotował bowiem najnowszego miga-15, dumę i nadzieję sił powietrznych Związku Sowieckiego, który zdążył już w Korei (z Chińczykami za sterami) napsuć krwi US Air Force. Był on też dwukrotnie prędszy i osiągał pułap dwukrotnie wyższy od amerykańskiej superfortecy B-29 – tej wypróbowanej w przenoszeniu bomb nuklearnych. Tym większe zmartwienie dla Sowietów i bardziej radosny prezent dla Amerykanów. Duńskie wojsko rozebrało go na części i dokładnie zbadało. Raport i tysiące zdjęć wysłano do NATO, a złożoną i sprawną maszynę zwrócono PRL. Franciszek Jarecki wyemigrował do USA. Otrzymał 50 tys. dol. nagrody za sprowadzenie na zachód sowieckiego miga, spotkał się z prezydentem Eisenhowerem, otrzymał amerykańskie obywatelstwo, trafił na okładki amerykańskich magazynów i stał się gościem popularnych programów rozrywkowych. W USA prowadził firmę produkującą części do rakiet wykorzystywanych w amerykańskim programie kosmicznym. Po nim zbiegli dwaj inni polscy piloci migów, ponownie w 1953 r. oraz w 1956 r.

Jednak już w grudniu 1948 r., oburzony represjami, jakim poddawano byłych żołnierzy Armii Krajowej, pilot Mieczysław Sadowski zorganizował ucieczkę samolotem pasażerskim PLL LOT marki Douglas DC-3 zwanym Dakota. W podróż z Katowic do Gdańska, która skończyła się na Bornholmie, zabrał przyjaciół pilotów – Tomasza Tomaszewskiego oraz Jana Konikowskiego – ich żony i synów oraz... nawigatora i funkcjonariusza UB, którzy zorientowali się w sytuacji pięć minut przed lądowaniem. W marcu 1949 r. ppor. mar. Arkadiusz Korobczyński z Samodzielnej Eskadry Lotnictwa Marynarki Wojennej, nie mogąc już znieść panującej w marynarce sowieckiej, wystartował do rutynowego lotu swoim iłem-2m3, ale zmienił kurs i wylądował na Gotlandii. Z kolei Andrzej Krajewski jesienią 1959 r. wylądował dwupłatowcem grudziądzkiego aeroklubu koło bornholmskiej stolicy Ronne. Towarzyszył mu żona i trzyletnia córeczka. Był on oficerem AK, partyzantem i powstańcem warszawskim, skazanym na sześć lat więzienia. Objęta go amnestia, ale nie mógł znaleźć pracy. Na Bornholm uprowadzone zostały też dwa samoloty pasażerskie LOT-u oraz kilkakrotnie samoloty sportowe i rolnicze. Morzem (patrz: str. 26) uciekło więcej Polaków, ale powietrzem – ptacom podobni – uciekali ku wolności prędzej... ©

XIX-XXI w. /

Naboje 9 mm Lugera oraz 40 S&W

John M. Browning
z karabinem maszynowym
Browning M 1918 FOT. WIKIPEDIA

Pistolet i niewidzialna ręka rynku



Tymoteusz Pawłowski

/ Czy o powrocie FBI do amunicji kalibru 9 mm zdecydowała niewidzialna ręka rynku? Nie. Zdecydowało równouprawnienie kobiet, które masowo zostały zatrudnione w FBI i policji

Rewolucja gospodarcza, która trwała w XVIII-wiecznej Europie, drastycznie zmieniła zastany porządek. Gwałtowne zmiany w przemyśle i rolnictwie wpłynęły na inne dziedziny życia. Inaczej zaczęły wyglądać: polityka, sposób prowadzenia wojny, pojmowanie takich pojęć jak „naród” i „społeczeństwo”. Pojawiła się również nowa nauka, która miała ustalić reguły rządzące wyłaniającym się z tej rewolucji zupełnie nowym światem i zupełnie nowymi ludźmi. Naukę tę od XIX w. nazywamy ekonomią, jednak

większość zajmujących się nią XVIII-wiecznych badaczy uważała się raczej za filozofów. Nie tyle zajmowali się rozliczeniami finansowymi, ile starali się określić motywy kierujące ludźmi i rynkiem. Jeden z nich – dziś chyba najślynniejszy – to szkocki wykładowca logiki oraz filozofii moralnej Adam Smith.

W 1776 r. wydał pracę pt. „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów”, w której przedstawił argumenty, że najlepszym modelem rozwoju gospodarczego jest wolny rynek. Ustalenia między kupującymi a sprzedającymi po-

winny zależeć tylko od nich, a instytucje zewnętrzne nie powinny go w ogóle kontrolować. Decyzje rządów – dotyczące nie tylko podatków, lecz także zakazów wynikających z przesłanek moralnych czy politycznych – są dla gospodarki z reguły szkodliwe. Ludzie chcą się bogacić, dbają więc o własny interes, a niejako przy okazji dbają również o rozwój gospodarczy państwa i społeczeństwa.

Komercja i polityka

Oczywiście nie można dorobku Adama Smitha trywializować cytatem, że „chciwość z braku lepszego określenia jest dobra”. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zawsze „niewidzialna ręka rynku” działa skutecznie, i przytoczył wiele przykładów jej nieskuteczności. Nie przeszkadza to jednak wcale, aby dziś uważano go za patrona liberalizmu gospodarczego i dzikiego kapitalizmu.

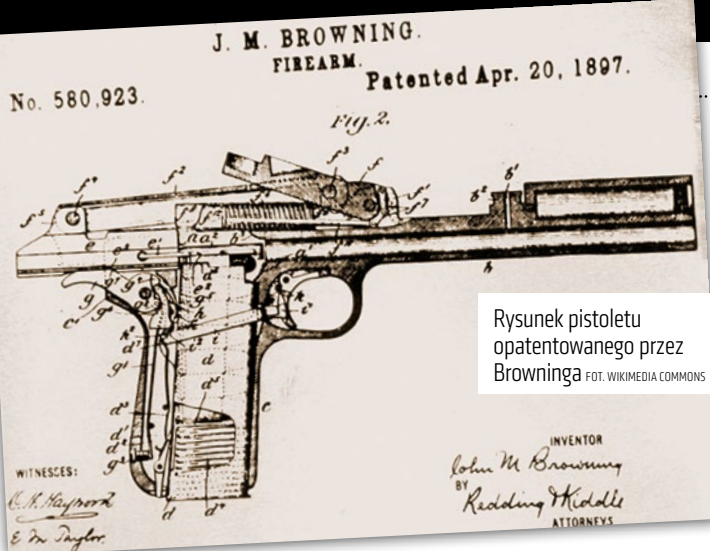
Pierwszą skuteczną bronią do samoobrony były rewolwery Samuela Colta. Zaczął je fabrykować w 1835 r., wyprodukował kilka tysięcy sztuk i zbankrutował w roku 1843. Nikt nie chciał kupować rewolwerów! Nawet na Dzikim Zachodzie. Działalność wznowił w 1847 r., tuż po rozpoczęciu wojny amerykańsko-meksykańskiej – umożliwiły to zamówienia rządowe.

Największym konkurentem Colta było przedsiębiorstwo Horace'a Smitha (niespokrewnionego z Adamem) i Daniela Wessona. W 1870 r. Rosja złożyła olbrzymie zamówienie w ich fabryce. Smith i Wesson zainwestowali w jej rozwój i stanęli na krawędzi bankructwa. Gdy tylko Rosjanie poznali technologię, zaczęli produkować bezlicencyjne kopie rewolwerów S&W, a umowa została zerwana. Interesy z Rosjanami są zawsze ryzykowne...

W 1886 r. we Francji wynaleziono proch bezdymny. „Bezdyminność” polegała przede wszystkim na tym, że broni nie trzeba było czyścić po oddaniu kilkunastru strzałów. Możliwe stało się skonstruowanie skutecznych pistoletów, które zasilano magazynkami. Dawało to olbrzymią przewagę nad bębnowymi rewolwerami, których ładowanie było kłopotliwe i powolne.

Pistolety bardzo szybko stały się popularne w Europie. Za ich sukcesem stał jednak Amerykanin – John Moses Browning. W XXI w. – niemal sto lat po jego śmierci – trudno znaleźć pistolet, który by nie korzystał z wymyślonych przez niego rozwiązań technicznych. Spośród używanych współcześnie kilku kalibrów amunicji pistoletowej większość została opracowana przez niego.

John Moses Browning na przełomie wieków XIX i XX opracował cztery naboje: .25 ACP, .32 ACP, .380 ACP oraz .45 ACP. Liczby oznaczają przybliżony rozmiar w częściach cala – w milimetrach jest to odpowiednio: 6,35, 7,65, 9 oraz 11,43 – a „ACP” oznacza „Automatic Colt Pistol”. W Ameryce pracował dla Colta, a w Europie – dla belgijskiej Fabrique Nationale. Europejczycy również starali się skonstruować skuteczny nabój pistoletowy.



Rysunek pistoletu opatentowanego przez Browninga FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Słabo im to wychodziło. Spośród kilkunastu do dziś przetrwał jedynie nabój 9 mm, autorstwa Austriaka, Georga Lugera. Luger i jego europejscy koledzy starali się skonstruować mocarne naboje do broni wojskowej. Browning zrobił naboje dla cywili. To on odniósł sukces. Przed pierwszą wojną światową w Europie wyprodukowano kilkanaście tysięcy pistoletów wojskowych i kilkaset tysięcy pistoletów Browninga.

Pistoletowy „New Age”

W czasie pierwszej wojny światowej walczące armie kupowały uzbrojenie, gdzie tylko mogły, trudno więc stwierdzić, jaki kaliber był standardem. Po drugiej wojnie światowej pistoletowym standardem stał się pistolet na 9-milimetrowy nabój Lugera. Przede wszystkim dlatego, że Niemcy w 1940 r. zdobyli belgijską Fabrique Nationale produkującą znakomite 9-milimetrowe pistolety Browning HP, które produkowano również w Kanadzie dla aliantów. Po wojnie armie większości państw NATO były uzbrojone w 9-milimetrowy Browning HP (z wyjątkiem US Army, uzbrojonej w archaiczne colty M1911, w kalibrze .45 ACP).

Nie oznacza to, że inne naboje Browninga straciły na popularności. Stało się tak dopiero w 1986 r., po strzelaninie w Miami Dade, podczas której pistolety i rewolwery agentów FBI okazały się mało skuteczne. FBI uznało wówczas, że czas opracować nowy nabój pistoletowy, który byłby skuteczny tak jak .45 ACP, ale wielkością zbliżony do 9 mm Lugera. (Wielkość miała znaczenie: magazynek colta M1911 jest 7-nabojowy, browninga HP – 14-nabojowy).

W 1990 r. zadebiutował nowy, „idealny” nabój, nazywający się „.40 S&W”. Nazwa wskazywała na jego kaliber – ok. 10 mm – oraz producenta. Błyskawicznie przezbrojono w niego FBI oraz inne agencje federalne, a później amerykańską policję. Stał się również dostępny i popularny w Europie. Jednak po dwudziestu kilku latach FBI – a za nim inne

agencje federalne oraz formacje policyjne – wróciło do naboju 9 mm. I to wcale nie dlatego, że .40 S&W jest zły – wprost przeciwnie, to balistycznie i technicznie nabój niemal idealny.

Otóż zamachy z 11 września 2001 r. sprawiły, że Stany Zjednoczone zaangażowały się militarnie na Środkowym Wschodzie. Trafiła tam nie tylko US Army, lecz także armia prywatnych kontraktorów. Żołnierze musieli korzystać z regulaminowych pistoletów na regulaminową 9-milimetrową amunicję NATO. Prywatni kontraktorzy – chociaż wiedzieli, że .40 S&W jest skuteczniejszy – używali pistoletów kalibru 9 mm, mogli bowiem korzystać z zapasów US Army.

Mogli jednak również kupować amunicję własnym sumptem: amunicję kalibru 9 mm, w olbrzymich ilościach. Firmy ją produkujące rozpoczęły walkę o lukratywny rynek, starając się stworzyć amunicję jak najbardziej skuteczną. Po kilku latach okazało się, że naboje kalibru 9 mm – dzięki nowoczesnym rozwiązaniom technicznym i niskiej cenie – dorównują „idealnym” nabojom .40 S&W.

Czy Adam Smith miał rację? Czy o amunicyjnym wyborze FBI i powrocie do kalibru 9 mm zdecydowała niewidzialna ręka rynku? Nie. Zadecydowały przemiany społeczne – równouprawnienie. W FBI i policji masowo zostały zatrudnione kobiety. Nabój 9 mm jest nabojem silnym, nabój .40 S&W – jeszcze silniejszym. Jego podrzut, odrzut i hałas są o kilkanaście procent większe. O te kilkanaście procent, o jakie mężczyźni są więksi od kobiet. Nie czuć tego może podczas rekreacyjnego strzelania, ale czuć bardzo wyraźnie, gdy podczas cotygodniowego treningu trzeba wystrzelić kilkaset sztuk. To troska o zdrowie żeńskiego personelu zdecydowała o powrocie do kalibru 9 mm. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

LEOPOLD KULA PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT 11 LISTOPADA 1896 ROKU W KOSINIE. JEGO DZIADEK BRAŁ UDZIAŁ W POWSTANIU STYCZNIOWYM, WIĘC LEOPOLD, PODOBNIIE JAK SIĘDMIORO JEGO RODZENIŃSTWA, BYŁ OD MAŁEGO WYCHOWYWANY W DUCHU PATRIOTYCZNYM. PO PRZEPROWADZCE RODZINY DO RZESZOWA ZAANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ SKAUTOWSKĄ. WRAZ Z KOLEGAMI TWORZYŁE PATROL „LISÓW”, OD CZEGO POCHODZIŁ JEGO PÓŹNIEJSZY PSEUDONIM.



TO WSZYSTKO, O CZYM MÓWIĘ DRUH ANDRZEJ, JEST WIELKIE, PORYWAJĄCE. WSZYSTCI W NASZYM ZASTĘPIE „LISÓW” KSZTAŁCIMY SIEBIE ZGODNIE Z TYM, CO NAM MÓWIĘ. ALE JA CHCIAŁBYM CZEGOŚ WIĘCEJ. SKAULTING DAJE NAM FUNDAMENTY, DAJE NAM ZROZUMIENIE, JACY POWINIENSI BYĆ W WOLNEJ POLSCE, ALE DLACZEGO NIE UCZY WALKI O NIĄ?

OKAZJĘ DO NAUKI WALKI O POLSKĘ DAŁA PRZYNALEŻNOŚĆ DO ZWIĄZKU STRZELCZKIEGO. LEOPOLD BYŁ JEDNYM Z PIERWSZYCH ABSOLWENTÓW ZORGANIZOWANEJ W RZESZOWIE SZKOŁY PODOFICERSKIEJ I W LUTYM 1913 ROKU ZOSTAŁ DOWÓDCĄ PLUTONU, A WKRÓTCE TAKŻE INSTRUKTorem. WYRÓŻNIAŁ SIĘ ZDOLNOŚCIAMI DOWÓDCZYMI I ORGANIZACYJNYMI.



...SZCZEGÓLNIIE OB. LISA STAWIAM ZA WZÓR PEŁNEGO POŚWIĘCENIA SIĘ SŁUŻBIE, KTÓRY NA KAŻDE WIEZWANIE STAJE DO WYJAZDU NA OCHOTNIKA, POMIMO ŻE JAKO UCZEŃ MA TYŁE ZAJĘTEGO PRACĄ SZKOLNĄ CZASU, A MIMO TO CZAS DZIELI I ODDAJE NADZWYCZAJ OCHOTNIE SŁUŻBIE NASZEJ.

GDY WYBUCHŁA I WOJNA ŚWIATOWA, „LIS” ZAJMOWAŁ SIĘ MOBILIZACJĄ I 4 SIERPNI 1914 ROKU WRAZ Z GRUPĄ 240 STRZELCÓW WYRUSZYŁ DO KRAKOWA, KTÓRY WYZNACZONO NA MIEJSCE KONCENTRACJI. NATOMIAST JUŻ 16 SIERPNI LEOPOLD ZOSTAŁ MIANOWANY DOWÓDCĄ KOMPANII 1. PP LEGIONÓW, ZAŚ 9 PAŹDZIERNIKA AWANSOWAŁ NA STOPIEŃ PODPORUCZNIKA.

PRAWDZIWIY CHRZEST BOJOWY MIAŁ MIEJSCE POD KRZYWOPOLTAMI, „LIS” PRZEPROWADZIŁ BRAWUROWY ATAK.



NAPRZÓD!
DO ATAKU!

JUŻ JAKO PORUCZNIK (AWANS OTRZYMAŁ 1 STYCZNIA 1915 ROKU) ZDOBYWAŁ DOŚWIADCZENIE W KOLEJNYCH STARCACH. POD ZERNIKAMI POPROWADZONY PRZEZ NIEGO ATAK DOPROWADZIŁ DO WYPARCIA ROSJAN Z ICH POZYCJI, NIE STRACIŁ PRZY TYM ŻADNEGO ŻOŁNIERZA. NATOMIAST W TRAKCIE WALK O WIEŚ JABŁONKA JEGO ODDZIAŁ WZIĄŁ DO NIEWOLI ŻOŁNIERZY ELITARNEJ ODESKIEJ BRYGADY ROSYJSKIEJ, Z KTÓRĄ STARŁ SIĘ RÓWNIIEŻ POD KUKLAMI.

ZDOBYTE DOŚWIADCZENIE PRZYDAŁO SIĘ PODCZAS BITWY POD KOSTIUCHNÓWKĄ. MARIAN KUKIEL TAK OPISAŁ JEGO ROLĘ „PORUCZNIK LEOPOLD KULA NADZWYCZAJNYM MĘSTWEM I ŚWIETNĄ INICJATYWĄ BOJOWĄ PRZYCZYNIŁ SIĘ WE WSZYSTKIE TRZY DNI BITWY DO OCALENIA BATALIONU, NAWET CAŁEGO 7. PUŁKU, OD ZAGŁĘDY”.

W 1917 ROKU PO ODMOWIE ZŁOŻENIA PRZYSIĘGI WIERNOSCI CESARZOWI NIEMIECKIEMU, ZOSTAŁ INTERNOWANY. PO POWROTCIE DO KRAJU, JUŻ JAKO MAJOR, ZOSTAŁ JEDNYM Z ZAUFANYCH I ULUBIONYCH OFICERÓW PIŁSUDSKIEGO, KTÓRY POWIERZAŁ MU KOLEJNE TRUDNE ZADANIA. OSTATNIM OKAZAŁ SIĘ ATAK NA ZAJĘTY PRZEZ UKRAJNCÓW TORCZYN. JUŻ PO ZDOBYCIU MIASTECZKA, IDĄC ULICĄ WRAZ Z ADIUTANTEM, NATKNAŁ SIĘ NA UZBROJONEGO ŻOŁNIERZA, KTÓRY Z BLISKĄ POSTRZELIŁ GO W PACHWINĘ, USZKADZAJĄC TĘTNICĘ, MIMO PRZEPROWADZONEJ SZYBKO OPERACJI, ZMARŁ W WYNIKU WYKRWAWIENIA.

ORSZAK POGRZEBOWY WYRUSZYŁ Z PLACU SASKIEGO W WARSZAWIE, A NASTĘPNIE SPECJALNYM POCIĄGIEM TRUMNĘ PRZETRANSPORTOWANO DO RZESZOWA, GDZIE ZŁOŻONO JĄ NA CMENTARZU POBITNO. POŚMIERTNIE LEOPOLD KULA ZOSTAŁ AWANSOWANY DO STOPNIA PUŁKOWNIKA.





**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Zapomniany trójmiejski Marzec '68

Dramatyczny i nieco specyficzny przebieg miał Marzec '68 w Trójmieście. Pierwszym zwiastunem „wydarzeń marcowych” była tu tzw. akcja listowa przeprowadzona najpewniej w końcu lutego 1968 r. przez bliżej nieokreślone środowisko studenckie. W kopertach adresowanych do Rad Wydziałowych Zrzeszenia Studentów Polskich trójmiejskich uczelni znalazło się pismo, podpisane „POW”, nawołujące „do wystąpienia pod pretekstem zdjęcia sztuki »Dziady« ze sceny Teatru Narodowego w Warszawie”.

Począwszy od 11 marca, atmosfera wśród studentów stawała się coraz bardziej napięta, zwłaszcza w akademikach Politechniki Gdańskiej. W domach studenckich odbywały się spotkania studentów, w czasie których dyskutowano o zajściach w Warszawie. Padały również propozycje zorganizowania podobnego wiecu na Politechnice Gdańskiej. Zapewne dla rozładowania atmosfery także 11 marca w domu akademickim przy ul. Wypsiańskiego zwołano posiedzenie Prezydium Komitetu Uczelnianego ZSP Politechniki Gdańskiej, na którym oficjalnie poinformowano o zajściach w stolicy. Kierownictwo ZSP podjęło wówczas decyzję o zorganizowaniu wiecu 12 marca o godz. 11. Władze uczelni wyraziły zgodę na organizację masówki. W zgromadzeniu wzięło udział ok. 4 tys. osób – w zdecydowanej większości studentów i kadry naukowej. Wiec zakończył się o godz. 13.35 powołaniem komitetu protestacyjnego, na czele którego stanął asystent PG Andrzej Biernas. Na koniec przywódca protestu zaapelował do zebranych o przybycie na godz. 18 do Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”, gdzie miało się odbyć spotkanie z goszczącym

**To w Trójmieście
KW MO wspólnie
z Mieczysławem
Moczarem podjęli
próbę obalenia
Władysława Gomułki**

w Gdańsku ministrem spraw zagranicznych Adamem Rapackim.

Jednak spotkanie z ministrem miało charakter zamknięty i wzięło w nim udział 400 działaczy ZSP i ZMS. Pozostających studentów, uczniów i robotników, którzy również przybyli pod KSW „Żak”, nie wpuszczono do budynku. Po godz. 18 półtoratysięczny tłum zaczął skandować „antysocjalistyczne hasła”: „Rapacki na balkon”, „Żądamy prawdy i demokracji”, „Precz z Moczarem” i inne. Następnie manifestanci przemaszerowali najpierw pod Dom Prasy, gdzie domagali się likwidacji cenzury, swobody wypowiedzi, a także ustąpienia przewodniczącego Rady Państwa Edwarda Ochaba i przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku Piotra Stolarka, później natomiast pod pobliski budynek KW PZPR. Tam, o godz. 20, doszło do brutalnej interwencji milicji i Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej.

W marcu 1968 r. w Gdańsku odbyła się największa w kraju manifestacja. 15 marca po południu, wzdłuż ul. Grunwaldzkiej, w rejonie Opery Bałtyckiej i konsulatu Chińskiej Republiki Ludowej w Gdańsku-Wrzeszczu, zebrał się 20-tysięczny tłum. Walki z milicją i wojskiem trwały do godz. 20. Liczba zatrzymanych w tym dniu manifestantów wyniosła 301 osób, z których większość stanowili robotnicy. Trójmiejski Marzec odróżnia jednak jesz-

cze co innego. Tu bowiem – jak się wydaje – Komenda Wojewódzka MO wspólnie z Mieczysławem Moczarem podjęli próbę obalenia Władysława Gomułki. Pod pozorem opisu nastrojów wśród mieszkańców Trójmiasta lokalni „esbecy” chcieli przekazać Warszawie własne sugestie na temat tego, kogo należy pozbawić władzy, a kto powinien objąć ster w państwie.

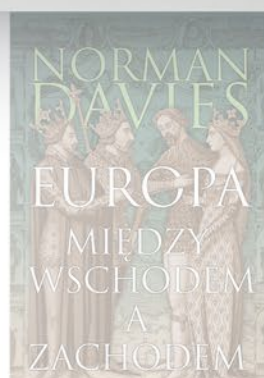
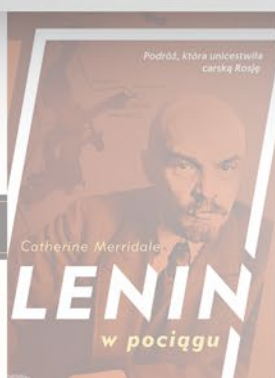
Od końca marca 1968 r. ów enigmatyczny język „bezpieki” wydaje się dominujący w raportach KW MO w Gdańsku. W jednym z nich czytamy m.in., że ton wypowiedzi pasażerów tramwajów, autobusów i pociągów elektrycznych „sprowadza się do pewnego rodzaju rozczarowania, ponieważ spodziewano się dużych zmian personalnych na czolowych stanowiskach w partii i rządzie, natomiast tow. Gomułka na ten temat nic nie powiedział”. Inny przykład: „Ogólnie wszyscy rozmówcy akceptowali stanowisko zajęte przez tow. Gomułkę w kwestii żydowskiej, jednak przyjęto to z poważnymi zastrzeżeniami, nie widząc zmian na stanowiskach najwyższych. Wiele wypowiedzi sprowadza się do stwierdzenia, że ze stanowisk partyjnych i rządowych należy usunąć wszystkich Żydów, ponieważ ci, którzy pozostaną na dotychczasowych stanowiskach, wcześniej czy później wciągną ponownie na stanowiska kierownicze swoich ziomków”. Nieszczerość I sekretarza KC PZPR i jego ekipy w walce z „syjonistami” miało też potwierdzać to, że „żony Gomułki, Spychalskiego i Jaroszewicza to Żydówki”.

W następstwie Marca '68 z terenu województwa gdańskiego wyjechało do Izraela i innych krajów (USA, Szwecja, Dania, Austria, RFN) 117 osób pochodzenia żydowskiego. Najwięcej z nich wyjechało w 1968 r. (47 osób) i w 1969 r. (44 osoby). ©©

Historia

w naszym wydaniu -

**PORUSZAJĄCA
I AUTENTYCZNA**



HORYZONT
znak

FOLIO: 170x240mm, EAN: 978-83-245-4722-0